

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Między
Niebem a Ziemią

JAN NOWICKI



Między Niebem a Ziemią



TOWER PRESS
Gdańsk 2000

Projekt okładki

Sebastian L. Kudas i Łukasz Filak

Ilustracje

Sebastian L. Kudas

W książce zamieszczono zdjęcia autorstwa

*Hanny Banaszak, Krzysztofa Klimca, Bogumiła Opióły,
Sebastiana Skalskiego, Zbigniewa Stokłosa i Janiny Wojtan*

Redakcja

Ludwika Topp

Korekta

Zespół

Skład i łamanie

Jerzy M. Kołtuniak

Wydanie pierwsze

© Copyright by Jan Nowicki & Tower Press, Gdańsk 2000

ISBN 83-87342-27-0

Piotr Skrzynecki i Jan Nowicki. Piotr – Warszawiak, Jaś – Kujawiak (Kujawiak, kujawiaczek – nie ma „ci ja”). Obaj krakauerzy z krwi i kości. Obaj odrobinę CK: alasz, Przybyszewski, chata w Bronowicach i obaj najzupełniej nie CK: otwarci, wątpiący, ciekawi świata. Obaj w obowiązkowych kapeluszach... Nic dziwnego, że się spotkali i zaczęli rozmawiać. I tak już zostało. Nie ma najmniejszego znaczenia, że któregoś dnia, kiedy wieże kościoła Mariackiego rzuciły długie cienie na Rynek i Sukienice, Piotr przeniósł się w wysokie i nieodgadnione sfery. Żaden to powód, by przerwać dialog. Może tylko rozmowę przy świecach i kieliszkach zastąpiła korespondencja. Ale to przecież detal, nic nieznacząca nieznaczącość.

Opowiada Piotrowi Jan Nowicki:

Opowiedział mi jeden gość, jak to kiedyś odważył się podążyć za dalekim szczekaniem. Szedł, szedł i przez cały czas czuł, że narasta w nim beznadziejne pragnienie spełnienia ostatnich chłopięcych oczekiwań. Przewędrował wiele dróg, przedzierał się przez gęste krzewy, mijał zamki z uśpionymi stadami kawek na wieżach. Aż wreszcie dotarł do celu. Tam strącił nietoperza, który w ciemnościach wkręcił mu się we włosy, pogłaskał psa i zajrzał przez małe okienko do wnętrza chatki. Na podłodze, wciśnięta w kąt, siedziała skulona niebieskooka księżniczka i pięknym głosem syreny, w pieśni bez słów – obiecywała manowce. Płakała. Wtedy uciekł, potracając po drodze psa, który przeciągłym skowytym zmylił mu powrotną drogę.

Piotr wszystko rozumie, bo wszakże wie z wysoka, że nikt tego Janowi Nowickiemu nie opowiedział, że to po prostu Jaś błądził tak jakiegoś wieczora po Krakowie.

Bowiem Kraków to dla obu panów Pola Elizejskie. Te mityczne, gdzie błędzą cienie, a księżniczka obiecuje manowce; i te paryskie, gdzie wielkiemu światu wydaje się, iż żegna się ze światem małym, a na talerze sypią się ostrzygi i w trzech smakach drób. Problem w tym, że Jan Nowicki nie chce tych światów rozdzielić. Oba są, oba realnie istnieją, po cóż więc udawać, że któregoś z nich nie ma. Ale uznawszy obydwu, stajemy w obliczu chaosu, migotania wartości; gorzej jeszcze – znajdujemy się na granicy kiczu. Ten Piotr gadający z Nieba, te Planty zmienione raz w ogród Hesperyd, to znów w wulgarny deptak, gdzie szarzy menele piją groszowe wino. Otóż nie ma w tym cienia sentymentalizmu. Świat jest taki i taki. Jaki zaś będzie naprawdę, decydujemy my sami. Swoim światem zechciał się Jan Nowicki podzielić.

No i co? *No i chodzi teraz pozbawiony dachu nad głową, a nocami znowu czeka na dalekie szczekanie psa. Zachwycające przez to, że przywołuje na myśl marzenia, które nigdy i nikomu – nie mogą się spełnić.* – Tutaj Pan jednak przesadził, panie Janie. Dane mi było napisać wstęp do Pana książki. A poza tym w moim ogrodzie zakwitła czereśnia. Odpis niniejszego przesyłam do Piotra.

Adres: Niebo.

Ludwik Stomma



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

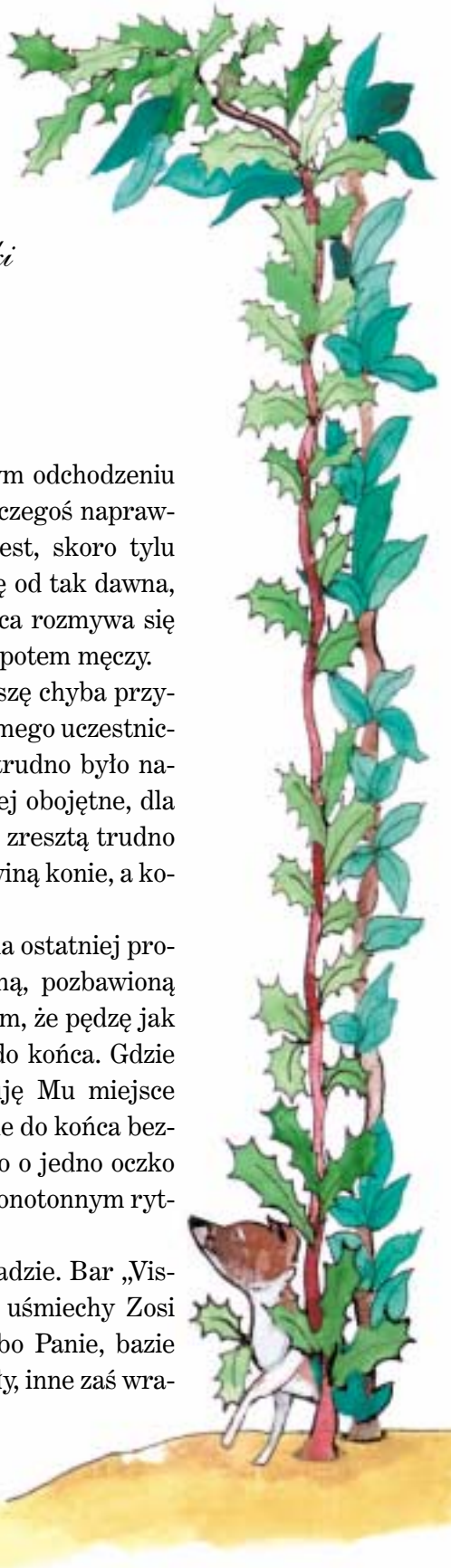
Kochany Panie Piotrze,

moim zdaniem (czy także Pańskim?) w naszym odchodzeniu na tak zwane „zawsze” trudno dopatrzeć się czegoś naprawdę dramatycznego. Oryginalne to też nie jest, skoro tyłu przed nami i tyłu po nas. Fakt ten powiela się od tak dawna, że pochylenie się nad sensem początku i końca rozmywa się w bliżej nieokreślonym błękanie, interesuje, a potem męczy.

Znając Pańską wyśmienitą pamięć, nie muszę chyba przypominać wszystkich szczegółów dotyczących mego uczestnictwa w czterokonnokarej imprezie, w której trudno było nadażyć, bo tempo w tym momencie Panu raczej obojętne, dla biegnących za Panem było zawrotne. Do dziś zresztą trudno ustalić dlaczego, bo ksiądz Tischner obarcza winą konie, a konie – księdza.

Panie Kochany, pamięta Pan przecież, jak na ostatniej prostej ktoś nadepnął mi do krwi na bezbronną, pozbawioną skarpety piętę, co w połączeniu z podejrzeniem, że pędzę jak idiota za pustą trumną, rozwścieczyło mnie do końca. Gdzie Pan wtedy był? Pozwoli Pan, że zaproponuję Mu miejsce w okolicach naszych serc. Niepewne, wiem, nie do końca bezpieczne, wstrętne zapominalskie, ale mimo to o jedno oczko stawiam je wyżej od Pańskiego kołysanego monotonnym rytmem resorów...

W Krakowie rozpadało się, jak to w listopadzie. Bar „Vis-à-vis” majaczy we mgle papierosów i tylko uśmiechy Zosi i Krysi zdają się świadczyć o normalności, bo Panie, bazie kwitną, niektóre ptaki zamiast odlecieć, zostały, inne zaś wra-



cają za wcześniej – czyli, jak to u nas, permanentny bałagan. W polityce dobrze, bo przestałem się nią interesować. W teatrze niepokój, który trudno nazwać twórczym, w moim domu za to – dużo pulsującego szczęścia, bo Pan już chyba wie, czym żona podnieca męża po dwudziestu latach małżeństwa?

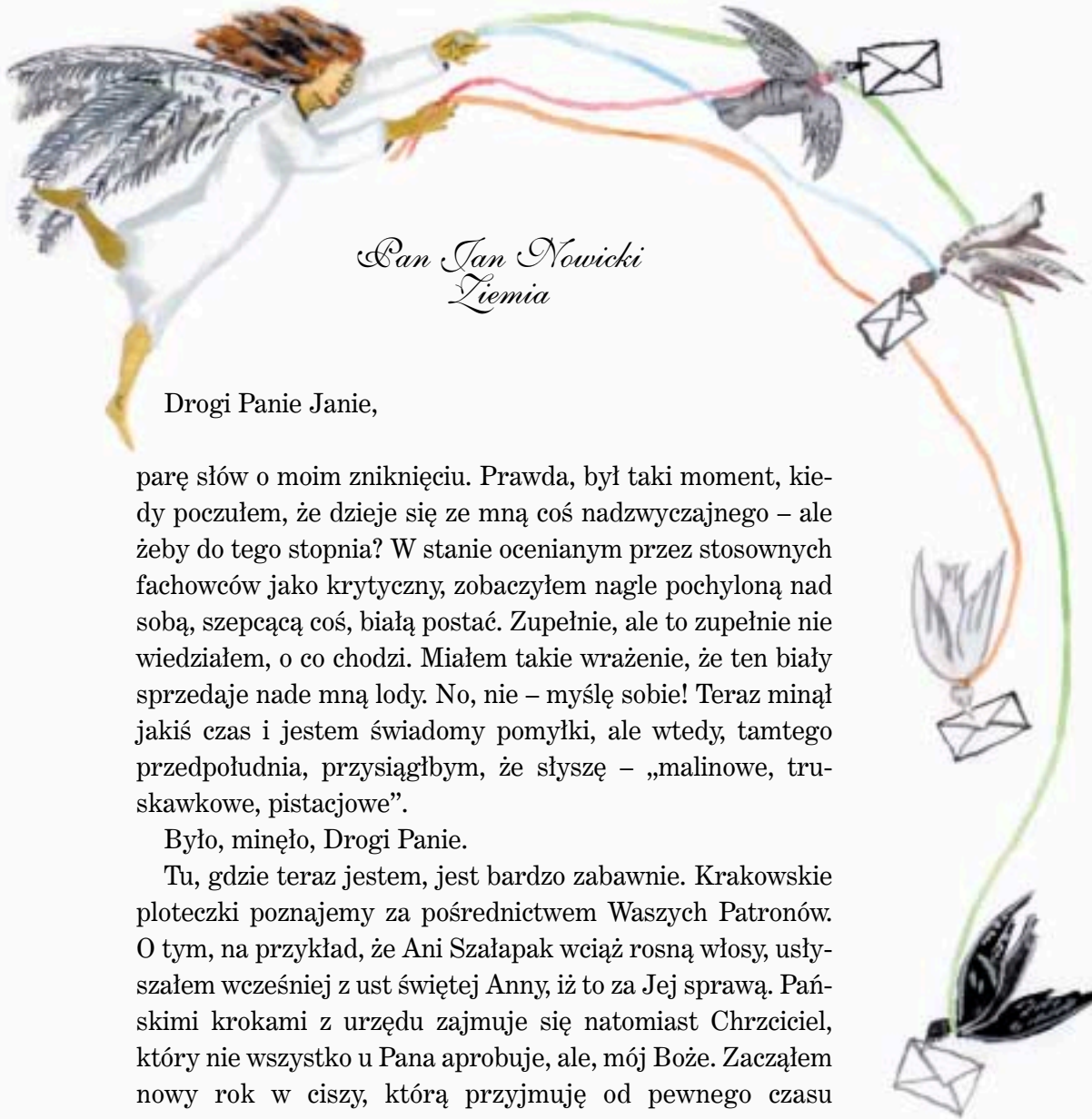
Każdym słowem, Drogi Panie! Każdym słowem!!!

Tinie, o której Pan powiedział, że jest potwornie brzydka, sprawiłem zgodnie z Pana ostatnią wolą trzy komplety ubrań, w których pies wygląda wprawdzie jak idiota, ale czego nie robi się dla irytującej skądinąd satysfakcji przyjaciela. Dawno nie widziałem Ani Szałapak, ale mówią, że dalej rosną jej włosy. Zniknął także Zbyszek Preisner – może praca, a może – zważywszy, że z zimą coś nie tak – dziwnie odmłodził. Tu na Ziemi biją się często i zabijają czasem. O chorobie wściekłych krów jeszcze Pan słyszał, ale po Pana wyjeździe docierają już wieści o wściekłej kurzej grypie.

Ściskam i czekam na wiadomości

Pański Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

parę słów o moim zniknięciu. Prawda, był taki moment, kiedy poczułem, że dzieje się ze mną coś nadzwyczajnego – ale żeby do tego stopnia? W stanie ocenianym przez stosownych fachowców jako krytyczny, zobaczyłem nagle pochyloną nad sobą, szepczącą coś, białą postać. Zupełnie, ale to zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi. Miałem takie wrażenie, że ten biały sprzedaje nade mną lody. No, nie – myślę sobie! Teraz minął jakiś czas i jestem świadomy pomyłki, ale wtedy, tamtego przedpołudnia, przysiągłbym, że słyszę – „malinowe, truskawkowe, pistacjowe”.

Było, minęło, Drogi Panie.

Tu, gdzie teraz jestem, jest bardzo zabawnie. Krakowskie ploteczki poznajemy za pośrednictwem Waszych Patronów. O tym, na przykład, że Ani Szałapak wciąż rosną włosy, usłyszałem wcześniej z ust świętej Anny, iż to za Jej sprawą. Pańskimi krokami z urzędu zajmuje się natomiast Chrzyciel, który nie wszystko u Pana aprobuje, ale, mój Boże. Zacząłem nowy rok w ciszy, którą przyjmuję od pewnego czasu z upodobaniem, pochylałam się nad lurą ziołowej herbaty i topiąc w niej lzę zazdrości, życzę Panu, Panie Janie, wszystkiego najgłębszego, schłodzonego z sokiem albo lepiej bez.

Wieczory spędzam czasem z moim imiennikiem, który jest tutaj ważną figurą. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że cieszę się u Niego specjalnymi względami – w niebieskich proporcjach, ma się rozumieć. Bo gdy kiedyś poprosiłem, żeby mi pozwolił potrząsnąć kluczami, to najpierw spojrzał na

mnie karząco, a potem powiedział, że dosyć się w życiu nadzwoniłem. Kapelusze pozwalają mi nosić, odebrano mi za to prawo do „szkaradek”. Ukrywam się trochę przed Aniołami, które mimo grupowej urody i absolutnego słuchu, zdradzają nieprzyjemną skłonność do plotkowania. Przywara ta bywa odgórnie karcona, ale chyba bez większego przekonania, z odzieniem ojcowskiego pobłażania.

Zresztą, Panie, one się jakoś tak przesadnie obrażają i zamiast śpiewać, zaczynają zaraz trzepotać skrzydłami jak stado gołębic.

À propos ptaków, ktoś mi tu doniósł – czy nie święta Krystyna? – że w czasie przejażdżki wokół Rynku, którą mi ofiarowaliście w dzień pogrzebu, miałem według czyjegóż pomysłu wpaść na moment do kościoła Franciszkanów, z którego patronem rzekomo łączą mnie więzy wspólnej miłości do wróbelków. To nieporozumienie! Donoszę Panu, że ze świętym Franciszkiem pozostaję tu w znakomitych stosunkach, ale bardziej ze względu na Jego wczesną młodość oraz Asyż i wspólny zachwyt dla pana Giotta. Ale z całą stanowczością podkreślam, że nigdy nie podzielałem i nie podzielałam Jego miłości do ptactwa. (A tak na marginesie – gratuluję ubranek dla Pańskiego, pożal się Boże, teriera).

Powinienem kończyć, bo ten Pański pomysł, żeby dzielić się naszą korespondencją z Czytelnikami „Przekroju”, wymusza pewną dyscyplinę. Nie jestem przekonany do Pańskiej koncepcji, ale spotkany na wczorajszym spacerze Marian Eile, gdy się o tym dowiedział, spojrział na mnie znudzony i tylko machnął ręką.

Serdecznie kłaniam się Panu

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Sublokatorka, marzec 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

może Pan nie lubić ptaków, ale proszę przynajmniej docenić ich przydatność. Przecież Pański list przyleciał do mnie ptakiem!

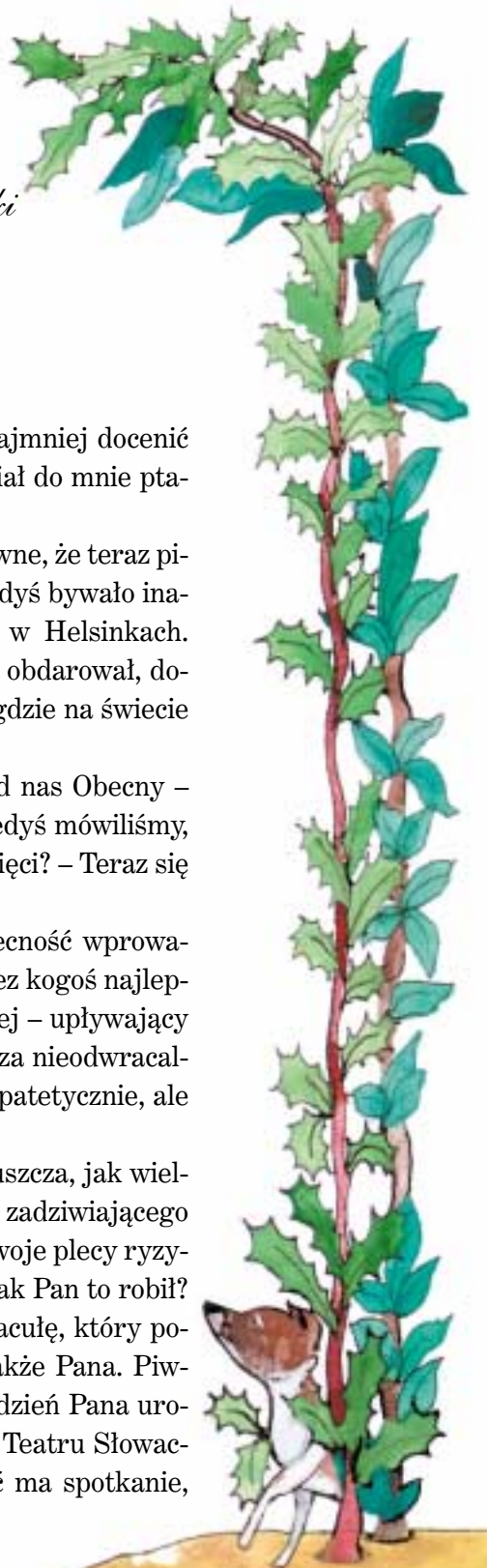
Jakie to miłe, że Pan się odezwał i jakie dziwne, że teraz pisze Pan wyraźniej. Więcej czasu – myślę. Kiedyś bywało inaczej, pamiętam kartkę od Pana otrzymaną w Helsinkach. Treści czterech zdań, jakimi mnie Pan wtedy obdarował, dochodziłem przez cały fiński miesiąc, który nigdzie na świecie nie bywa dłuższy.

Wyjechał Pan, a mimo to ciągle jest wśród nas Obecny – coraz większy i większy. Pamięta Pan, jak kiedyś mówiliśmy, że artysta najlepiej egzystuje w ludzkiej pamięci? – Teraz się to potwierdza.

Panie, korekty jakież Pan pod swą nieobecność wprowadza. Ostatnia dotyczy czasu – nazwanego przez kogoś najlepszym lekarzem. Nieprawda – jest coraz gorzej – upływający czas pozbawia nas złudzeń i twardo potwierdza nieodwracalność zdarzeń. Cholera, dzisiaj idzie mi jakoś patetycznie, ale w końcu dlaczego by nie?

Panie Piotrze Drogi, nawet Pan nie przypuszcza, jak wielka tajemnica oddziela nas od zrozumienia zadziwiającego faktu, że Pan, nie robiąc prawie nic, brał na swoje plecy ryzyko większości naszych marzeń i oczekiwań. Jak Pan to robił?

Wczoraj w „Vis-à-vis” spotkałem Marka Pacułę, który podzielił się ze mną pomysłami dotyczącymi także Pana. Piwniczni przyjaciele wpadli na pomysł, żeby w dzień Pana urodzin cały zespół kabaretu wystąpił na scenie Teatru Słowackiego. Pańskie imieniny natomiast uświetnić ma spotkanie,



które – już nie pamiętam – czy nazwał Piotrową Nocą czy Nocą Piotra.

Jak zwał, tak zwał. Powiedziałem mu, że wszystkie inicjatywy zmierzające do tego, by się zabawić, uważam za słuszne, nie mówiąc o tych, których pomysłodawcą pozostanie na zawsze Pan. Potańczymy sobie, powyglupiamy się, a bardziej od innych rozgarnięci strzelą po dwa toasty. Pierwszy nazwałbym kielichem zadumy, drugi – Drogi Panie... – rąbną po prostu na drugą nóżkę.

Szlachetnie kombinują Pańscy koleżkowie z kabaretu, ale Drogi Panie, należy też myśleć o nowym Piotrze, młodym i tak nieudolnym na starcie, że ryczałby Pan ze śmiechu – wiem – ale po otarciu łez wziąłby się Pan zaraz do doradzania i do podpowiadania.

A kiedy – powiedzmy – za trzy albo za sześć lat ten ktoś stałby się piękniejszy od Pana, cóż za problem skrzyknąć Anioły i niebieskim autobusem przyjechać „Pod Barany”?

Znam takich, którzy gubiąc beztrósco świadomość biologicznego końca, żyją jeszcze wprawdzie, ale cóż to za życie – karmione niechęcią do innych. Sprowadza się ono do tego, żeby jak najwięcej innych wciągnąć za sobą do grobu. Ludzkie – to prawda, ciekawe – prawda, ale że paskudne – także prawda.

Panie Drogi, im piękniejsi będą nasi następcy, tym piękniejszymi byliśmy kiedyś my.

Kończę, pozdrawiam i przypominam, że do Pańskiego numeru 21-13-81 telekomunikacja dodała 4.

Kłaniam się Panu

Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

tu, w Niebie, jest mi tak dobrze, że aż nie mam własnego zdania – nie muszę mieć. Panie, ja nic nie robię, tylko cały czas jestem szczęśliwy.

Nie muszę na przykład wciągać skarpet. Chodzę sobie bospo po zielonej trawie i nie zważam na robaczki, bo moje stopy unoszą się parę centymetrów nad ziemią. Spytałem jednego takiego, jak to jest, a on: „Nie wiesz? Ty fruwasz”. Nawet jak siedzę i jem ziemniaki z koperkiem, to też się unoszę. Mój wiedelec też się unosi, ale ja zaraz przyduszam nim fruującego nad talerzem kartofelka i... hop! W żołądku niech kretyn polata! Fruwają też książki, obrazy, kałamarze. Tuż obok mojej hacjendy jest postój latających taksówek, z których nikt nie korzysta, bo wystarczy odepchnąć się lewą nogą i... leeciisz..., potem prawą i... leeciisz, tak że w końcu tam, gdzie chcesz dolecieć, doleczysz.

W pierwszych dniach mojego tu pobytu sięgnąłem do mojego ukochanego Montaigne'a, odwracam pierwszą kartę, a tu zaraz literki z chichotem odrywają się i jedna po drugiej znikają w chmurach. Patrzysz – biała strona, otwierasz następną – biała strona. Byłem tak rozbawiony, że przekartkowałem cały tom *Prób*. Leży teraz nienapisany, biały od początku do końca, nikomu niepotrzebny. Panie, zaczęło się!

Muszę przyznać, że opuszczałem Kraków w nie najlepszej kondycji, a że Szczawnica w tej sytuacji odpada, pomyślałem, że zaraz po przyjeździe do Nieba rozejrzę się za jakimś kursorcikiem, żeby, jak to mówią, oderwać się na chwilę od świata i ludzi. O, święta naiwności!

Ledwie zdążyłem odespać moje przez trzydzieści lat zarywane noce, a już zaczęły się wizyty rodziny i znajomych. Matka (poznał ją Pan) zachowała się przynajmniej z klasą, wpadła na pięć minut, uściskaliśmy się, pośmialiśmy się z faktu, że mnie też dopadło i poszła. Ale potem przyszedł brat, przysiadł na plecionym zydelku i milczał. Milczał tylko i milczał. I patrzył na mnie tymi niebieskimi oczyma tak długo, że w końcu nie wytrzymałem i warknąłem coś o człowieku, który chyba zwariował, żeby spadać ze schodów z takim skutkiem.

Józef rozłożył bezradnie ręce, westchnął, ciężko wstał z zydelka i wycofał się w kierunku drzwi ze słynnym *c'est la vie* na ustach. Puściłem za nim „szkaradkę”, z której jutro będę się musiał tłumaczyć. Dopadła mnie też wiadomość, że zapowiada się z wizytą Janinka. Wspomina przy okazji, że chętnie ugotuje mi krupnik, za którym Pan tak przepadał (cha! cha! cha!!!).

Jakiś czas temu, spacerując po cyprysowej alei, mijałem nieznanego Anioła, który nucił pod nosem o... okularnikach. Widomy znak, że i Agnieszka zaczyna powoli się zbierać. Kto wie, może i czas na mnie? Na początek trzeba by złapać kontakt z Wieśkiem Dymnym, mimo że boję się go nawet tutaj.

Pięknie tu, to prawda, wielce pouczająco, ale czegoś mi brakuje. Po całodziennym fruwananiu człowiek ma chyba prawo do tego, żeby nocą, gdy większość śpi, stanąć w końcu na zielonej ziemi Nieba z grzesznym poczuciem w sercu, że biduli daleko do urody brudnych i zadymionych ulic Krakowa. Do najpiękniejszego na świecie Rynku. Do pewnej piwnicy, którą jakiejś nocy pozbawiliśmy raz na zawsze szansy na kontakt z węglem i kartoflami.

Proszę o mnie pamiętać, Panie Janie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, marzec 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

w końcu Pańskiego ostatniego listu pojawił się ton niebezpiecznej nostalgii. Posługując się ziemską miarą, łatwo obliczyć, że od Pana wyjazdu minęło dziewięć długich miesięcy. U nas dziewięć miesięcy to czas, jaki musi przebyć dziecko od poczęcia do chwili urodzenia.

Kogo w Niebie może obchodzić rozbity na okruchy gwiazd i pył komet – czas? Niepotrzebne nikomu zegary leżą, jak myślę, zapomniane i spalone słońcem, strasząc zardzewiałymi trybami albo martwą wskazówką, których cień od wieków służy tylko do wprowadzania nowo przybyłych w błąd.

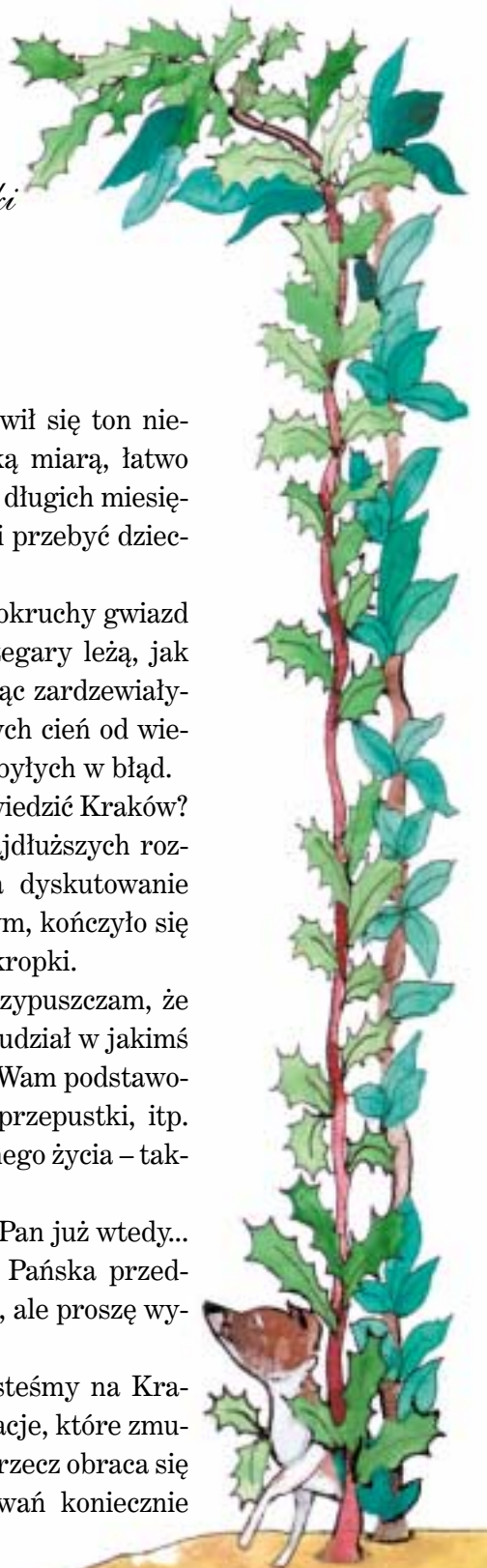
Nie minął nawet rok, a Pan chciałby już odwiedzić Kraków?

Z tego, co pamiętam, nawet w czasach najdłuższych rozmów nigdy nie potrafiliśmy zdobyć się na dyskusję o Wieczności. A jeśli próbowaliśmy pisać o tym, kończyło się to zawsze ucieczką w znaki zapytania i wielokropki.

Teraz, gdy jednego zabrakło do tanga, przypuszczam, że tuż po wprowadzeniu się do Nieba wziął Pan udział w jakimś zebraniu, na którym ktoś ważny przedstawił Wam podstawowe zasady nowego bytowania. Regulamin, przepustki, itp. rzeczy, bez których nie wyobrażam sobie żadnego życia – także po śmierci.

Musiałoby odbyć się takie zebranie, tylko że Pan już wtedy... odsypiał. Myślę, że stąd właśnie wzięła się Pańska przedczesna tęsknota do miasta, którą rozumiem, ale proszę wybaczyć, nie do końca.

Nas, którzy kochamy i którzy skazani jesteśmy na Kraków, najbardziej drażnią momenty bądź sytuacje, które zmuszają nas do definiowania tych uczuć. Dopóki rzecz obraca się jeszcze w rejonach dowcipu albo sformułowań koniecznych



niekonsekwentnych – pół biedy. Ale Panie Drogi... dokonania, a więc: obrazy, kompozycje, wiersze czy filmy odsłaniają tylko bezradność naszych serc wobec fenomenu miasta, które nas na początku zainteresowało, potem zachwycało, a w końcu zdeprawowało.

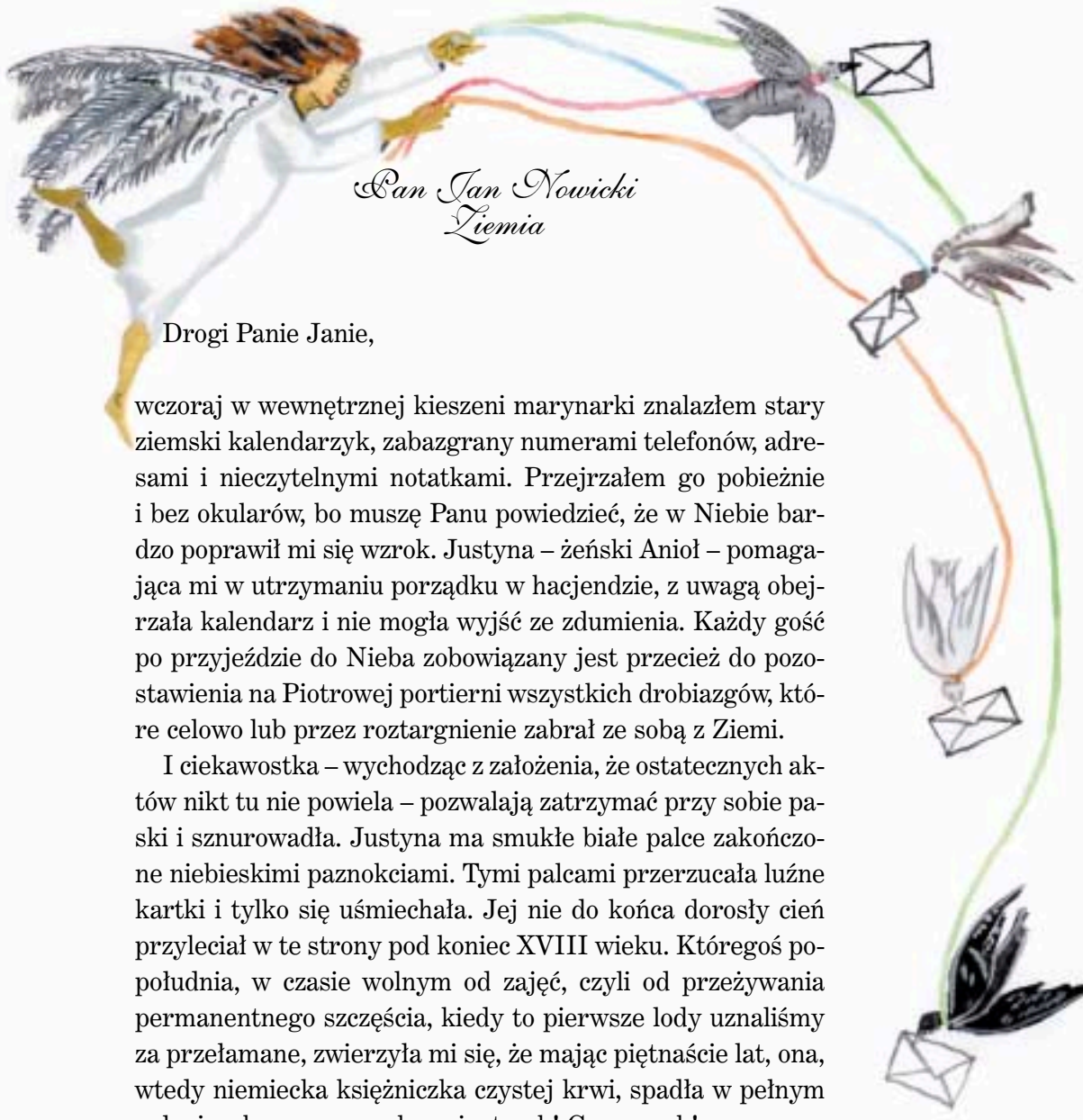
A co do ludzi, którzy nie wiadomo skąd się tu wzięli (może ten kamień na Wawelu), to jedno jest pewne, że po latach stają się dziwnymi „wampirami” Krakowa, który na szczęście odwzajemnia się im tą samą skłonnością.

Można by tak dalej i dalej... Bo my tu najbardziej lubimy właśnie tak, ale trzeba zaprzestać, bo sensu w tym niewiele, więcej może przykrego dla Pana usiłowania. A tak w ogóle, to w naszym mieście najbardziej lubię tych ludzi, którzy podążają ciągle za głosem milczącego dzwonka.

Ja miałbym zapomnieć – to o kim pamiętać?

Pański Jan Nowicki

Kraków, marzec 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

wczoraj w wewnętrznej kieszeni marynarki znalazłem stary ziemski kalendarzyk, zabazgrany numerami telefonów, adresami i nieczytelnymi notatkami. Przejrzałem go pobieżnie i bez okularów, bo muszę Panu powiedzieć, że w Niebie bardzo poprawił mi się wzrok. Justyna – żeński Anioł – pomagająca mi w utrzymaniu porządku w hacjendzie, z uwagą obejrzała kalendarz i nie mogła wyjść ze zdumienia. Każdy gość po przyjeździe do Nieba zobowiązany jest przecież do pozostawienia na Piotrowej portierni wszystkich drobiazgów, które celowo lub przez roztargnienie zabrał ze sobą z Ziemi.

I ciekawostka – wychodząc z założenia, że ostatecznych aktów nikt tu nie powieła – pozwalają zatrzymać przy sobie paski i sznurowadła. Justyna ma smukłe białe palce zakończone niebieskimi paznokciami. Tymi palcami przerzucała luźne kartki i tylko się uśmiechała. Jej nie do końca dorosły cień przyleciał w te strony pod koniec XVIII wieku. Któregoś popołudnia, w czasie wolnym od zajęć, czyli od przeżywania permanentnego szczęścia, kiedy to pierwsze lody uznaliśmy za przełamane, zwierzyła mi się, że mając piętnaście lat, ona, wtedy niemiecka księżniczka czystej krwi, spadła w pełnym galopie z bezrasowego kuca i... trach! Co za pech!

Spadła, Panie, a w chwilę potem – zesła.

Pamięta Pan, jak często śmialiśmy się z faktu, że w Zakopanem się – siedzi, a do Kanady się – ściga? Teraz możemy dodać do tego, że ze świata się – schodzi. Nawet w przypadkach pełnych dramatyzmu, kiedy to tempo ostatnich chwil ustala się według rytmu silnika pędzącego w przepaść samochodu albo świstu skrytobójczej kuli, człowiek po fackie nie

kłusuje na tamten świat (przepraszam – na ten), nie biegnie, nie pędzi, tylko oglądając się za siebie – wolno schodzi.

Panie Janie Drogi, może zainteresuje Pana, jak my się tu między sobą porozumiewamy. Różnią nas przecież kraje pochodzenia, kolor skóry, języki, daty zejścia itd., itp. Otóż porozumiewamy się bez problemu, mówiąc po prostu swoimi ojczystymi językami. Kiedy po raz pierwszy przekraczałem Niebieską Bramę, czułem, że wypada coś powiedzieć, ale byłem tak speszony, że zdobyłem się tylko na konwencjonalne – co słyszać? A tu zaraz skośnooki Anioł w najczystszej chińskiej czyźnie – „Jakoś leci”. W momencie przekroczenia Niebieskiej Bramy wszyscy automatycznie stają się poliglottami – w jedną stronę. Bo na przykład takiego, za przeproszeniem, Araba rozumiem, mimo że arabskiego nie znam, a on rozumie mnie. Polskie zwroty o międzynarodowej renomie typu: – „Na zdrowie!” – z oczywistych powodów nie budzą większych emocji. Bezpowrotnie wycofano także swojskie zawołanie – „Jak żyjesz?”.

Tyle na dziś

Pański Piotr Skrzynecki

PS Panie Janie, siadając do pisania, miałem zamiar ustosunkować się do Pańskiej opinii na temat Krakowa, która wydała mi się miejscami nieco dyletancka, ale po drodze zniosło mnie w jakieś ble, ble.

Niebo. Hacjenda, kwiecień 1998



Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

dnia 12 marca 1998 r. o godz. 14.15 czasu polskiego w Warszawie po raz pierwszy w życiu widziałem żywego prezydenta, który stał. Wcześniej widziałem prezydenta innego kraju, który siedział. I powiem Panu, że prezydent siedzący robi mniejsze wrażenie – przytłacza, nie powiem, ale mniej. Obok siedzącego prezydenta człowiek także siedzi i tylko oczom nie wierzy. Siedziałem zatem i popijając aromatyczną kawkę, rzucałem rozczulone spojrzenia w kierunku kredowobiałego paska, który ukazując się pomiędzy skrajem czarnej skarpetki a mankietem spodni, był sobie fragmentem nogi węgierskiej głowy państwa. Głowa w czasie rozmowy tak zmieniała pozycje i tak była przystępna, że rozochocony też się dwa do trzech razy ruszyłem. Minimalnie oczywiście i z wyczuciem, żeby nie spłoszyć. Árpád Göncz przed podjęciem konwersacji zaproponował mi wybór jakiegoś cywilizowanego języka, ale ja sięgnąłem po węgierski, nawet nie ze względu na kurtuazję czy, broń Boże, znajomość, tylko że obok siedziała Marta, która jako tłumacz znakomicie łączy chorobliwy wprost poliglotyzm z miłosiernym łagodzeniem głupstw, które wypowiadam.

Rozmawialiśmy z panem Gönczem o różnych rzeczach, z których jedną zapamiętałem najbardziej. Otóż węgierski prezydent, wieloletni opozycjonista więziony za czasów reżimu Kadara, ni z gruchy, ni z pietruchy zaczął nagle z niezwyklej uznaniem wyrażać się o prezydencie Kwaśniewskim. Panie, zdębiałem! Człowiek, nie mając czasu na politykę, pobieżną edukację czerpie z murów krakowskich kamienic, a na nich przecież plakaty pana Aleksandra oglądać można wy-



łącznie z przewrotnym komentarzem w postaci wąsów, sierpów, swastyk, młotów itp. rzeczy. A ten mi tu, proszę Pana, nagle, że mój prezydent jest jednym z najbardziej utalentowanych polityków Europy. Wolałbym umrzeć, niż mu uwierzyć i przytaknąć, nie byłem też merytorycznie przygotowany do zaprzeczeń. Zaczerwieniłem się więc, budząc może stosowne skojarzenia, ale bez większej frajdy.

Od opisanego spotkania minęły miesiące. No i teraz nadszedł ten nieszczęsny 12 marca z jego 14.15, kiedy to miałem zobaczyć prezydenta mojego kraju wraz z małżonką na spotkaniu z twórcami kultury. Jechać, nie jechać – myślałem. Pierwsze spotkanie prezydent odwołał z powodu choroby, na co odetchnąłem z ulgą, czyli nie po chrześcijańsku. Ale potem, Panie, wyzdrowiał i znowu zaprasza! Zdenerwowany, zacząłem częściej niż zwykle sięgać po kieliszek, nocą, bywało, budziłem się z krzykiem, ale w końcu pomyślałem, że dość tej schizofrenii i razem z Martą udaliśmy się we wspomnianym terminie do właściwego Pałacu, gdzie zobaczyłem: stojącego Prezydenta Rzeczypospolitej, jego piękną i czarującą żonę Jolantę, a na kanapkach drobno pociętą marchewkę, którą (współ z gasnącą powoli nadzieją) wziąłem za czerwony rosyjski kawior.

Jak Pan widzi, bywam

Pański Jan Nowicki

Warszawa, kwiecień 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

to prawda, że trochę za moim przyzwoleniem, jednak, co tu ukrywać, Pan konsekwentnie narusza tajemnicę naszej korespondencji. Patrząc na to przez palce, ale z czasem poczułem się upoważniony do małego rewanzu. Chodzi o Justynę, którą całkiem niedawno wtajemniczyłem we fragmenty Pana ostatniego listu.

Proszę się nie obawiać. Ona nie poda dalej. Tego urodzonego w zamku niemieckich książąt blond-aniola nie wciągnęły pojawiające się u nas sporadycznie skłonności do postponowania błękitu. Justyna mimo upływu lat pamięta przecież, co i w jakim kolorze płynęło w jej żyłach pod koniec XVIII wieku i chociaż tu tylko sprząta, nadal pozostaje wzorem dyskrecji i wyszukanych manier.

No więc powiedziałem jej, że zaczął Pan bywać!

Dziewica uśmiechnęła się z pobłażaniem, pokiwała głową i spytała miękko:

– *Und warum bewegst du dich nicht, mein Engel?*

– Dlaczego ty się nie ruszasz, mój Aniele? – powtórzyłem za Nią bezwiednie.

– Ja, chwała Bogu, żyję tu od ponad dwustu lat, znam każdy kąt Nieba i mogłabym ci coś podpowiedzieć – ciągnęła po niemiecku. – Dwa kroki stąd, śmiesznych kilka tysięcy kilometrów, możesz na przykład zwiedzić Niebieską Dolinę. Wsiądź do latającej taksówki i za parę taxoznaków w godzinę jesteś na miejscu. Widzę, że mnie nie rozumiesz, Piotrusiu – zdrobniła nieprzyjemnie. – My tutaj nie posługujemy się pieniędzmi. Ktoś wpadł na to, żeby za świadczone usługi płacić dyskretnie przekazywanymi Znakami Pokoju. Pomyśl

chwycił i odtąd płacimy po prostu taxoznakami. Czasami boli szyja, ale taxoznaki sprawdziły się.

A potem, proszę Pana, zaczęła mi opowiadać o tym, co to jest ta Niebieska Dolina. Że to ogromna, pokryta żółtą trawą łąka, otoczona z dwu stron białymi górami, że tę łąkę przecina w środku srebrna rzeka, że na szczycie najwyższej góry stoi wielki bursztynowy tron, na którym w czas odbywających się tu sesji Sądu Ostatecznego zasiada ON, i że ON niewyobrażalnie pięknym gestem wskazuje tłumom, po której stronie rzeki mają stanąć.

I tu, proszę Pana, Justyna nawiązała do spotkania z Pańskim Prezydentem, ale ja już nie słuchałem.

Dzisiaj, Panie, jestem skonany podwójnie. Od wczesnych godzin rannych w nieskończoność – bo ktoś zatrzymał słońce – rozsiewaliśmy nad Ziemią... Nadzieję! Mnie, początkującego, skierowano oczywiście do transportu. Krokiem galernika, z kapeluszem pełnym złudzeń, powlokłem się w stronę wąsatego Anioła, który czekał na mnie jakiś taki fikcyjny i po chłopsku spięty. Cały czas, proszę Pana, musiałem patrzeć mu na ręce, bo przy każdej nadarżającej się okazji, faworyzował zrzutami Mazowsze. A gdy niebieski kompas wskazywał, że jesteśmy właśnie nad reymontowskimi Lipcami, Anioł-Boryna wyrwał mi z rąk kapelusz i z okrzykiem – „Mata! Bierzta!!!” – wysypał wszystko, łącznie z piórkiem z mojego kapelusza.

Kończę, bo zasypiam. Bywaj Pan!

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Arka z Nadzieją, kwiecień 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

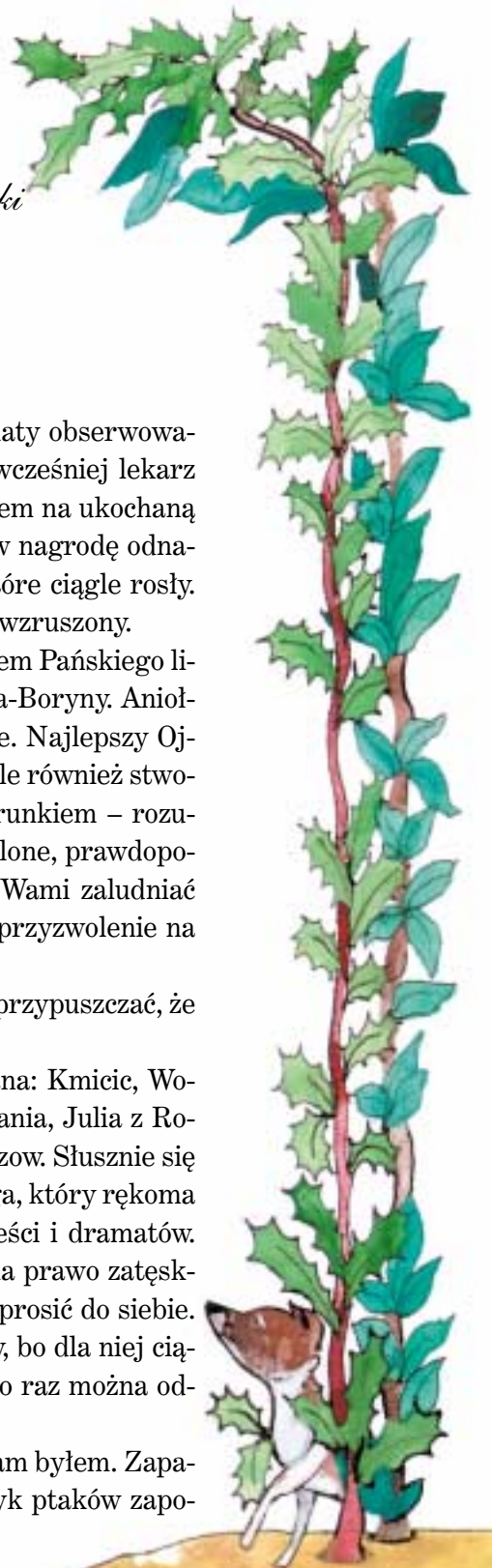
jak tam u Pana z goleniem? Przed wieloma laty obserwowałem mojego ojczyma, nad którym dwa dni wcześniej lekarz wyszeptał bezmyślnie – „To koniec”. Patrzyłem na ukochaną twarz ojczyma i na jego dłonie, za co jakby w nagrodę odnalazłem szorstkość podbródka i paznokcie, które ciągle rosły. A więc nie wszystko stracone – pomyślałem wzruszony.

Piszę o tym wydarzeniu trochę pod wpływem Pańskiego listu, w którym opowiada Pan o wąsach Anioła-Boryny. Anioł-Boryna, mój Boże! – jakie to mądre i piękne. Najlepszy Ojciec zabiera zatem do Nieba nie tylko ludzi, ale również stworzone przez nich postaci literackie. Pod warunkiem – rozumiem – że zostały przedtem świetnie wymyślane, prawdopodobne, z krwi i kości. Mogą teraz razem z Wami zaludnić Niebiosą, gdzie uzyskują nawet, jak słyszę, przyzwolenie na niewinne fanaberie tyczące zarostów.

Panie Kochany, w tej sytuacji mam prawo przypuszczać, że Pańska broda ocalała! Hurraaa!!!

Ale ma Pan teraz towarzystwo, proszę Pana: Kmicic, Wołodyjowski, Hamlet, Król Lear, Wujaszek Wania, Julia z Romeem, Prospero, Stawrogin, Bracia Karamazow. Słusznie się tam znaleźli. Talent pochodzi przecież od Boga, który rękoma autorów powołuje do życia bohaterów powieści i dramatów. Po pewnym czasie On, Główny Inspirator, ma prawo zatešknić za własnym dziełem i co poniektórych zaprosić do siebie. Bez straty dla Ziemi, Drogi Panie, bez straty, bo dla niej ciągle pozostaną zakłęci w literach, które raz po raz można odczytywać – na miarę potrzeb i talentów.

Byłem w Radomiu, pierwszy raz w życiu tam byłem. Zapamiętałem niezwykłą serdeczność ludzi i krzyk ptaków zapo-



wiadających o świecie wiosnę. Szedłem biedną ulicą w stronę biednego parkingu i słyszałem, jak ze zniszczonych przez miasto drzew ptaki domagają się słońca, ziaren i jeszcze czegoś.

Nigdzie chyba krzyk przyrody nie brzmi tak dramatycznie jak w gałęziach drzew sponiewieranych przez ludzi.

Dzisiaj do Krakowa przyjeżdża z zamiarem reżyserowania Olaf Lubaszenko. Mamy w planie całkiem fajną sztukę [??] Simona pt. *Ostatni prawdziwy kochanek*. Premiera, jak sądzę w... ostatki. Potem *Trzy siostry* Antoniego Czechowa, a w nich, jeśli wiadomy Autorytet pozwoli, zagram rolę doktora Czebutykina, tę samą, którą w dyplomowym przedstawieniu gra mój syn Łukasz.

W pośpiechu, bo muszę już kończyć, wspomnę jeszcze i o tym, że widziałem niedawno w Bieszczadach marniejącą cerkwie, z tą najpiękniejszą w Równi. Proszę się zorientować, kto tam u Was w Niebie o tych cerkwiach myśli, a jak już go Pan dorwie, to niech mu Pan powie, że myśleć nie wystarczy.

Z całego serca pozdrawiam

Pański Jan Nowicki

Pociąg. Przemyśl–Kraków, kwiecień 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

... psiakrew! – Dlaczego Pan nie odpisał?! Czy Pan wie, jaki dziś mamy dzień? – poniedziałek, 27 kwietnia 1998 roku – proszę Pana!!!

Data ta oznacza, że minął okrągły rok od chwili, kiedy Pan odchodził, zabierając ze sobą nasze – malinowe, truskawkowe, pistacjowe – pożegnania. To było wczoraj, a przecież minął rok. Listy przychodzą jakoś nie tak, za wczesne są albo spóźnione. Nie, nie, nie – proszę nigdzie nie interweniować. Jestem wystarczająco dużym chłopcem, aby wiedzieć, że tak ma być. Ale dlaczego Pan nie pisze, dlaczego o TYM nie pisze? Czy dla Pana ta rocznica nic nie znaczy?

Ja wiem, Pan odsypiał trochę, trochę fruwał, trochę spacerował, ale przecież musiał Pan od Aniołów słyszeć, że nam się dłuży bez Pana. Ja też tak rzadko jak Pan i nieuważnie patrzę na daty, przez co umykają mi raz po raz ważne rocznice, imieniny, premiery. A przecież mam trzy kalendarze – bo mam trzy, mój Panie. Wierzę widać, że jak kopnę w pierwszy, zostaną mi jeszcze dwa. A jak kopnę w drugi, zostanie mi jeszcze jeden. Ten trzeci skryłem głęboko pod stertą pożółkłych gazet i staram się o nim chytrze zapomnieć. Jak każą kopnąć w trzeci kalendarz, będę prosił Stwórcę, żeby jeszcze nie teraz, że gdzieś się zapodział, żeby poczekał chociażby do jutra.

Zobacz Pan, jak to jest, ta moja tęsknota niby wielka, ale jak jej dać szansę na spotkanie z Panem, karłowacieje zaraz i jak robak próbuje wyłgać się roztargnieniem.

Pan o minionym roku nie wspomina i ma Pan powody, jak sądzę. Ale dlaczego zapomniałem ja, skoro tak często myślę o Panu?



Chociaż nie, zaraz, zaraz – Pan tego faktu nie przemilczał, Pan o nim szeptem przypominał, tylko ja nie usłyszałem. 26 kwietnia, tak, teraz dokładnie pamiętam, że w wigilię 27 kwietnia, spacerowałem z moim psem po krakowskich Błoniach i w pewnym momencie zauważyłem, że suka z uniesioną przednią łapą stoi jak skamieniała, podniecona czymś, zaintrygowana i porusza oddechem piórko trzymane w zębach. Zbliżyła się do mnie i kręcąc ogonem, chciała mi to piórko podarować. Krzyknąłem – uleciało gdzieś, przepadło. Dopiero później pomyślałem, że to piórko mogło przecież wypaść z Pańskiego kapelusza, że mogło być Pana dziękowaniem za... tamte „maliny”, uśmiechem za... „truskawki”, łzą za... „pistacje”. Że wypadło z Pańskiego kapelusza przy rozsiewaniu z Nieba nadziei. A ja głupi nie usłyszałem i przegoniłem psa. Moja pamięć jeszcze raz okazała się żałośnie krótka, a Pańska delikatność jak zwykle niezauważona. Jest mi podwójnie żal, Panie, bo dziś obiecuję poprawę, o której wiem, że nie nastąpi. Wstyd i szara normalność we mnie. Nie zetrze tego nic, nawet gumka Pańskiej niebieskiej wyrozumiałości.

Uczniu pierwszej klasy Nieba – MINAŁ ROK!

Pański Jan Nowicki

Kraków, maj 1998





*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

mojej pierwszej, że tak powiem rocznicy... itd. nie mam zamiaru rozpamiętywać. Może kiedyś, ale nie dzisiaj. Nie myślę o niej, nie mówię, więc po co mam czynić „myślą, mową i uczynkiem”.

Dobrze, że myśl umieszczono na początku. Zanim coś wy mówisz – pomyśl.

Pomyśl – zanim coś uczynisz. Proste, ale czy ja wiem? Panie Janie, opowiem lepiej o telefonach. Wszystkie Wasze ziemskie sprawy dotyczące: słupów, drutów, central, prądu, słuchawek, a zwłaszcza komórek, przyjmowane są w Niebie ze wzruszeniem ramion. U nas wystarczy... wyteńczyć myśl, zamknąć oczy i skupić się na osobie, z którą zamierzamy się połączyć. („Wyteńczaj, wyteńczaj słuch!”). Wybrany tym sposobem abonent słyszy początkowo ciche, potem głośniejsze, a na końcu zaś natarczywe dzwonięcie w prawym uchu. Po długo trwającym impulsie wystąpić mogą objawy swędzenia, które ustępują w chwili podjęcia rozmowy. Parę dni temu tym właśnie sposobem próbowałem złapać kontakt z Markiem R., byłym dyrektorem krakowskiego muzeum.

– Pan minister? – zacząłem spóźnionym żartem.

– Nie wygłupiaj się, Piotrze – usłyszałem odpowiedź, której towarzyszyła nutka rzadkiej u Marka irytacji. – W jakiej sprawie wyteńczasz i skracaj się, bo jestem bardzo zajęty!

Miałem pecha, Drogi Panie, w dzień potem dowiedziałem się, że moim telefonem przerwałem właśnie Markowi arcyważną dyskusję z Aniołem-Janem. Tematem była niebiańska replika wystawy *Polaków portret własny*. Panowie nie byli w stanie dokonać jednomyślnego wyboru twarzy. A w świetle faktu, że ostateczną decyzję i tak podejmie ON, ich ogniście manifestowane poglądy gasły zaraz w zimnym strumieniu

beznadziei. Szybko spytałem, do kogo mam się zwrócić w sprawie Pańskich bieszczadzskich cerkwi. Marek podał mi namiar na dwa kontakty, po czym krzycząc, że musi kończyć, bo mu Matejko wychodzi – zamilkł.

Pierwsza propozycja tyczyła Błogosławionego Wasyla, druga natomiast – ważniejsza zdaniem R., spółki z o.b. (odpowiedzialność bezgraniczna!) – Cyryla i Metodego. Po minucie wyteżania połączyłem się z tym najsłynniejszym duetem wszech czasów, który mimo wielu zasług na dole, u nas zajmuje tylko skromną chałupinę, przylepioną bokiem do niewysokiego kurhanu. Justyna słyszała, że mają tam tylko stół, jedno krzesło i piętrowe łóżeczko, a na nim wbrew kolejności, do której od wieków przywykliśmy, górę zajął... Metody.

Po minucie zatem usłyszałem miękki, sopranowo brzmiący dwugłos – „Słuchamy”. No, to ja Im zaraz, Panie: – Jak tak można, żeby bieszczadzkie cerkwie butwiały?! Zróbcie coś Panowie Aniołowie! Ześlijcie na Ziemię jakiś, bo ja wiem, rozkaz, sugestię, plan, natchnienie – nie wiem, co! Ratujcie gnijące świadectwa miłości i piękna. Zróbcie coś, na Boga Ojca!!!

Zapadła grobowa cisza, w której słychać było tylko idealnie zespolone oddechy twórców cyrylicy. A po chwili ON, który wszystko słyszy i o wszystkim wie, odezwał się głosem, który mimo boskiego tembru – zmrażał.

– Odpisz, Piotrze, swojemu koledze, że ja mam na głowie wszystkie sprawy Wszechświata i nie mogę nieustannie zajmować się tym, co ludzie kiedyś stworzyli, a teraz niszczą. A ponieważ jesteś z Polski, dodaj także i to, że nadzieje Opola, Częstochowy i Bydgoszczy mimo nabożeństw odprawianych z myślą o zachowaniu województw, mogą zostać spełnione, ale nie muszą! **ALBOWIEM MODŁY CZYNIONE W NIEJASNYCH INTENCJACH, WIATR UNOSI DO GÓRY, A POTE M STRĄCA W DÓŁ.**

Skuliłem uszy, pochyliłem głowę. Przepraszam, że się nie udało.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, maj 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

myślę, że nic bardziej nie zapowiada jesieni jak kwiaty majowych drzew i krzewów. Jakiś czas temu, ubrany w niestosownie gruby golf, wlokłem się w stronę jadalni „U Stasi”, na kolejne w życiu pierogi. Mijałem kawiarnie, którym wiosna wywlokła stoliki na ulicę.

Panie, czy z Panem też tak było?

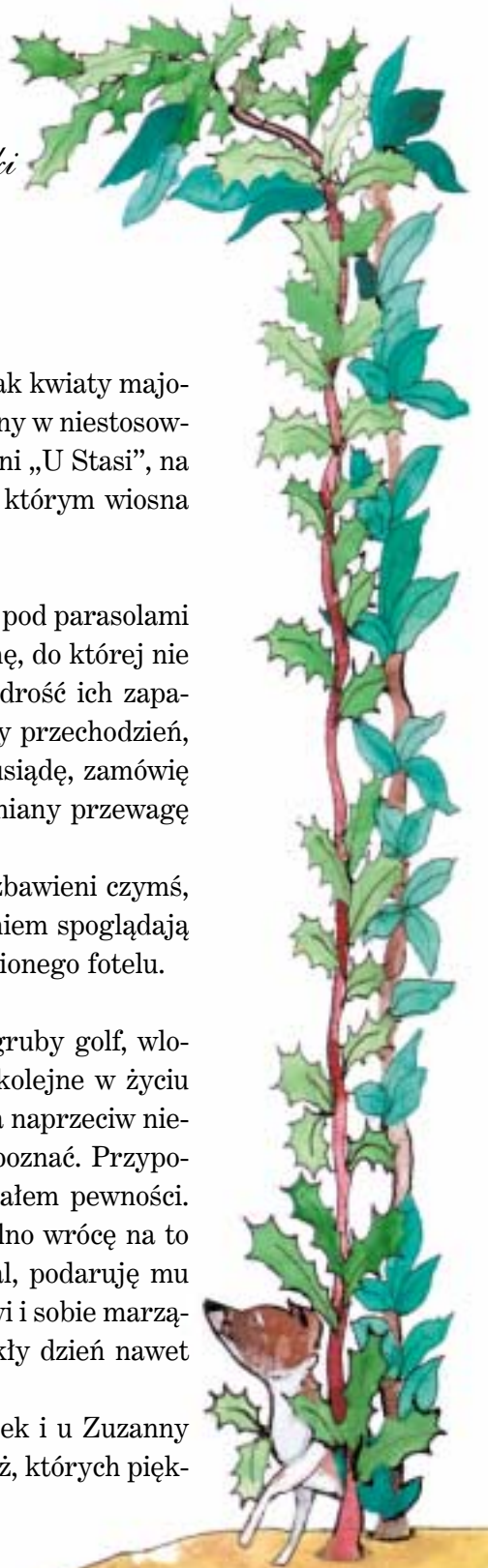
Mnie się zawsze wydaje, że ludzie siedzący pod parasolami mają w sobie jakiś dystans do świata i zadumę, do której nie mam dostępu. Że cień parasoli pogłębia mądrość ich zapatrzonych w piękne kościoły oczu i że ja, szary przechodzień, do tej mądrości nie dorastam. Ale jak sam usiądę, zamówię coś, zwilżę obojętne usta, odczuwam dla odmiany przewagę tych, którzy gdzieś zmierzają.

Wydają mi się zaraz jacyś dynamiczni, rozbawieni czymś, ciekawi życia. Znużony myślę, że z politowaniem spoglądają na mnie – apatycznie tkwiącego w koszu plecionego fotelu.

Kompleksy Panie – czy co?

Jakiś czas temu, ubrany w niestosownie gruby golf, wlokłem się w stronę jadalni „U Stasi”, na kolejne w życiu pierogi, gdy nagle zobaczyłem twarz Janka, a naprzeciw niego siedzącą kobietę, której nie umiałem rozpoznać. Przypominała mi kogoś, ale przez to słońce nie miałem pewności. Pomyślałem, że pójdę dalej, zjem obiad i wolno wrócę na to samo miejsce. A jeśli cud będzie trwał nadal, podaruję mu kwiaty. Ale także podaruję je wiosnie, Jankowi i sobie marzącemu o kawiarnianym fotelu. W ten niezwykle dzień nawet kwiatom należało przynosić kwiaty.

Po obiedzie poszedłem na Krakowski Rynek i u Zuzanny (serdeczne pozdrowienia!) kupiłem siedem róż, których pięk-



ne głowy podtrzymywały grube łodygi. Z tą wiosenną bronią w ręku, jak złodziej, zacząłem zakradać się w miejsca, skąd miałem nadzieję ujrzeć twarz tajemniczej nieznanajomej. Ale znowu nic z tego, bo z powodu słońca i tak jej nie rozpoznałem. Wróciłem na chodnik i z bijącym sercem podszedłem do stolika. Delikatnie, wolną od kwiatów dłonią dotknąłem kasztanowych włosów i jakby w nagrodę zobaczyłem zaraz twarz... na którą czekałem.

To była Ruth – Drogi Panie!!!

Wręczyłem róże, a Ona przyjęła je ślicznie zdziwiona, z uśmiechem delikatnego jakby przypomnienia. Usiadłem i nie wiedząc czemu, poczułem się zmęczony. Nikt na świecie nie cieszy się kwiatami tak jak Ruth.

Trzymała je dłużej w ramionach i, to co powiem jest trochę niezręczne, z tymi przytulonymi do siebie kwiatami, może przez cień, a może dzięki słońcu – przypominała wiosenną Pietę.

Powiedziała – „Ty wiesz, czuję się tak, jakby dopiero teraz rozpoczynało się moje życie”.

Wtedy pomyślałem o Panu i zrozumiałem, że zażenowanie, które nie chciało mnie opuścić, wzięło się z tego, że róże dla Ruth były w gruncie rzeczy prezentem od Pana. Ja byłem tylko doręczycielem.

No tak...

Serdeczności przesyłam.

Pański Jan Nowicki

Kraków, maj 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

... dziwnie Pan opisał swoją wiosnę, jakoś niewesoło – powiedziałbym. Ale tak to już z Wami jest, że biadolicie, gubicie kalendarze, a potem po jedynej naprawdę liczącej się przeprowadzce wpadacie zdziwieni w naszą niebieską, pozbawioną pór roku Nieskończoność.

Doszły mnie słuchy, że Pan zamierza to swoje psie brzydactwo rozmnożyć – no cóż, trudno. Zesłałem Panu sen, który miał temu zapobiec (Pan na starość wyprowadzony przez sforę krótkonogich, tłustych i łaciatych psów na spacer po zabłoconych niemiłosiernie Błoniach – pamięta Pan?).

Dziękuję za kwiaty dla Ruth – to miłe, że wyczuł Pan moją kwietną intencję. Przy okazji, o jakim Janku Pan wspomina? – Znam przecież wielu, a Pan jakiś taki, przesadnie enigmatyczny.

Niepokoicie mnie tam trochę na tej Ziemi. Obserwują Was z góry, donoszą, a w poważniejszych przypadkach serio rozmawiają o tym, co w Krakowie i nie tylko. Drogi Panie Janie, radzę uważać na nogi, bo od dłuższego czasu widzę, jak pęta się Wam między nimi jeden geniusz. Nie radzę trzymać go na łańcuchu – przegryzie. Wystarczy gościa po chrześcijańsku unikać. Proszę się nie obawiać. On nie odczuje samotności, bo od lat w dzień i w nocy żyje w towarzystwie rozpalonej do białości miłości własnej, z którą może od bidy pogadać. Z licznych rozmów z Wielkim Nieba wiem, z jakim trudem przebiega proces beatyfikacji. Ile przy tym lektur ksiąg, dyskusji i głębokich przemyśleń nad listą uczynków.

Kanonizacja nastęrcza tyle samo wątpliwości, a może i więcej. A i tak, mimo wielu starań, zawsze pozostaje przykre poczucie braku pewności.

Na Ziemi zaś, być może z powodu krótkich, najeżonych niebezpieczeństwami darowizn życia, składanych poszczególnym istnieniom, spiesznie rodzą się rozmaite erzace, nie mające nic wspólnego z powagą wyżej wymienionych procesów. Waższe książki, Panie Janie, słusznie tu pozbawiono liter, ale nie odebrano nam przecież wglądu do ziemskich gazet, katalogów księgarskich, płyt, repertuarów kin czy teatrów.

No więc obserwuję między Wami dość częste i niezmiernie przykre przejawy grzesznych AUTOKANONIZACJI. Dotyczy to także pewnej blondyny, która zaszła w tym tak daleko, że jeśli postawi jeszcze jeden krok, to w przypadku kłopotów z... dajmy na to wyrostkiem – sama się zoperuje.

Z różnych powodów życzę Jej miłosiernie spełnienia... tylko części planów, bo w przeciwnym wypadku kobieta może eksplodować – a szkoda.

Jak się bronić przed tymi nieludzko udanymi ludźmi? – Nie bronić się, Panie. Kochać ich, Panie, i tylko jedno... nie tęsknić, gdy wyjadą, Panie.

Ze wstydem kończę

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Na spacerze wokół Hacjendy, maj 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

wysłałam do Pana kolejny list – bez przekonania tym razem. We mnie przez ten maj tylko pustka. Cóż, że wypełniona wiosennymi kwiatami, skoro nie ma już sił, żeby nadażyć za zapachem. To tak jakbyś Pan stał na peronie z biletem w rękę i zęgnął spojrzeniem jeden z ostatnich pociągów, do którego należało wsiąść.

Przed moim domem też bez. Nie było go pewien czas, bo rachityczny jakiś i przez to bliższy, ale od wczoraj pachnie potępieniem tak, że nie można domknąć furtki.

Żyć chwilą – powiadają. Niech sobie żyją!

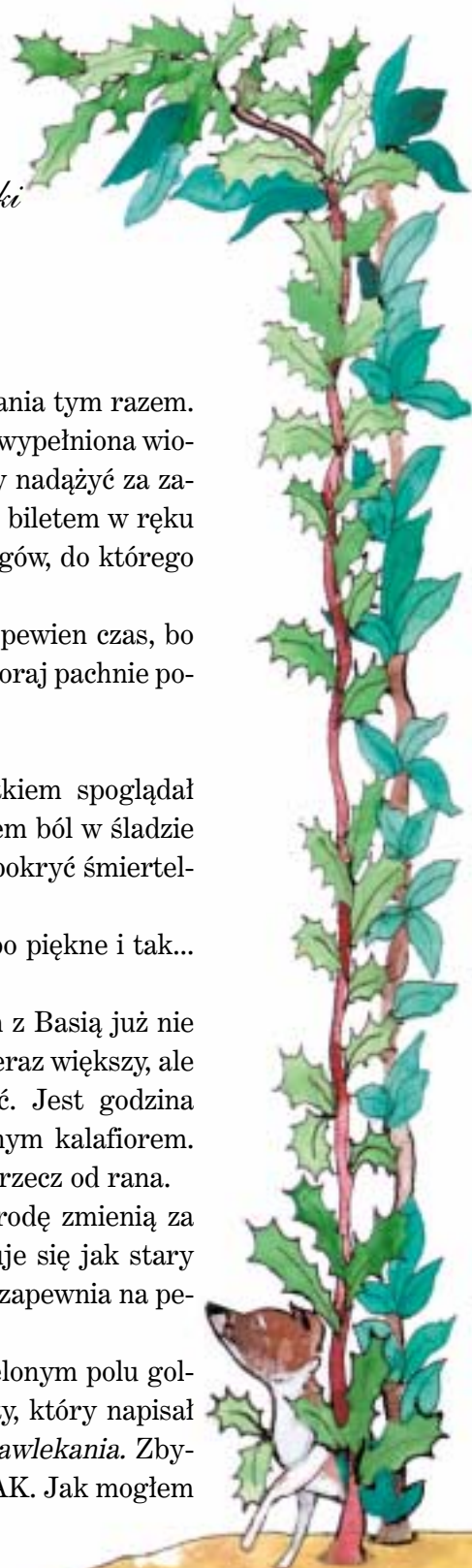
Pamiętam, z jakim bezgranicznym smutkiem spoglądał Pan na narcyzy w tamten kwiecień. Widziałem ból w śladzie Pańskiego uśmiechu, którym starał się Pan pokryć śmiertelne zafrasowanie.

Piękne to życie – bo okrutne. Okrutne – bo piękne i tak... w koło Wojtek.

À propos, wie Pan, że Wojtek Białe razem z Basią już nie sprzedają owoców? – szkoda. Dochód mają teraz większy, ale za zapachem ryb można, niestety, nadażyć. Jest godzina 16.15, u mnie dla odmiany cuchnie gotowanym kalafiejem. Pies polizał rękę. To liźnięcie to jedyna miła rzecz od rana.

Na Błoniach mlecze, które swoją żółtą urodę zmieniają za parę dni na białą. Majowy Kraków zachowuje się jak stary pijak, któremu pierwszy potężny łyk wiosny zapewnia na pewien czas nadmiar dobrego samopoczucia.

Wczoraj wróciłem z Gdańska, gdzie na zielonym polu golfowym promowano książkę maleńkiego poety, który napisał wielkie wiersze – *Pestki, korale, słowa do nawlekania*. Zbyszek nazywa się – ZBIGNIEW JOACHIMIĄK. Jak mogłem



o Nim do tej pory nie słyszeć? Dlaczego nie doszedł do mnie krzyk tej całej subtelnej zgrai, która czyta poezję? Może oni są delikatni. I z tej delikatności przemilczają wspaniałego poetę? Ja na szczęście jestem mniej wrażliwy i plując na ryzyko, stwierdzam, że te wiersze są światowego formatu. Zbyszek, na pytanie czy bywa w Krakowie, odpowiedział pięknym tekstem mojej Matki: „Za daleko”. Bo i słusznie – daleko Panie Piotrze – po co się ruszać z Gdańska, skoro – gdziekolwiek staniemy – każdy metr tego świata pokryty jest ciężarem tajemnic nie do rozwiązania.

Wymyśliłem drobiazg dla Pana – przesyłka w stosownym czasie. Panie, jakie to trudne napisać piosenkę. Cały czas między młotem banału a kowadłem sensu. Kto napisze muzykę, kto narysuje nuty, zobaczy Pan. Myślę, że to niezły pomysł. Chociaż mogę się mylić przez ten upał, przez ten bez.

Marta w Pekinie, w sprawie filmu, który kiedyś zacznie kręcić (bo zacznie!). Za jakieś dziesięć lat zacznie. Fakt ten byłby bez znaczenia, gdyby nie pewne okoliczności, wskazujące bezlitośnie na czas, który przecież także za Nią. Co jeszcze?... W Krakowie przy placu Sikorskiego 10 w Galerii Potockiej można zobaczyć wystawę świetnego rzeźbiarza Krzysia Bednarskiego, który zjechał tu z Rzymu z *L'orto dei frutti dimenticati*.

Donoszę, że – „ogród owoców zapomnianych” jest piękny chociażby dlatego, że w ten przeklęty maj, jak dotąd jeszcze nie zakwitł.

Kończę, Drogi Panie, wyjmuję papierosa, zapalam zapałkę i głębokim sztachnięciem zbliżam się – jak to mówią – o parę sekund do Pana.

Pański Jan Nowicki

Kraków, maj 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

Pan chyba oszalał. Jak można się tak bez powodu zamartwiać? Czego Pan chce od maja, kwiatów, pociągów, piosenek i kalafiora? Te wszystkie drobiazgi już w samych nazwach zawierają poezję. Ale w roztrzęsionych manipulacją ludzkich rękach, z powodu sercem słabego rozeznania, stają się one nie z własnej winy – poezji karykaturą. Wspomina Pan o podziwie dla wierszy pana Joachimiaka, proszę, niech Pan z nim porozmawia na ten temat. Jestem przekonany, że opowie Panu, dlaczego bliższe poezji jest życie nietknięte ręką poety. Poezja jest ważna i dlatego nieuleczalnie cierpiąca, że tworząc odwiecznie niespełnione próby uchwycenia – „ORYGINAŁU” – uświadamia nam dzięki temu obecność urody nie do opisanania.

Tak było, tak jest i tak będzie.

Jak ktoś nie umie wąchać, niech się nie zastanawia nad istotą zapachów, tylko idzie do laryngologa albo do psychiatry. Przecież wszystko, co Was na Ziemi otacza, poraża niezwykłą urodą. Ale Wy tego nie widzicie, bo zamiast klęczeć przed fioletem sasanki, tratujecie ją, a potem w łzawych sonetach ogłaszacie światu koniec.

Panie Janie Drogi, przepraszam, że tak ostro zacząłem, ale poniosło mnie. Nie tylko zresztą z Pańskiego powodu. Ale o tym w największej tajemnicy – błagam! Wczoraj mieliśmy w Niebie wielkie zamieszanie. Wzięło się z tego, że Anioł-Boryna posiał w oliwnym gaju ziarno pszenicy, które latami przechowywał w zmierzwionej czuprynie. Aż tu nagle, parę tygodni wstecz, w skrajnej powiedziałbym konspirze, chwy-

cił za grzebień i z okrzykiem, że dłużej nie wytrzyma – wycesał złoty drobiazg. Ziarenko przyjęło się bez trudu, bo też ten bez pamięci rozmiłowany w wieśniaczej robocie Anioł, zabiegał o nie z ojcowską troskliwością. Podlewał na ten przykład, tylko w cieniu skrzydła, które osłaniało ziarno przed skwaronym słońcem. W tej sytuacji ziarenko łatwiej się mogło nabrać na... zachód, kiedy najlepiej jest podlewać rośliny.

Najpierw, proszę Pana, pokazał się kielek, z kielka łodyżka, a na końcu maleńki jak kropelka listeczek. Przechodzące tędy Anioły, udające się parami na próby chóru, zerkały ze strachem na ten dziwny stworek i niby nucać, plotkowały. Pan się domyśla, że uprawa przywiezionych z dołu roślin jest tu zabroniona pod karą... no, zabroniona i tyle.

Tymczasem istotka rosła nam jak na drożdżach i któregoś ranka zazłociła się prawdziwym kłosem.

Anioł-Boryna otarł łzę, sięgnął po kłos wielką jak szufla ręką i patrząc roztkliwiony na plon, jął rozcierać w dłoniach ziarno. Potem otworzył lewą dłoń, zdmuchnął z niej plewy i żegnając się prawicą, już miał przystąpić do pierwszego od lat ziemskiego posiłku, kiedy to stała się rzecz straszna.

Z jego dłoni wyfrunęła nagle biała gołębicą, która szczekając, wydziobała wszystkie ziarna, potem dziobnęła Borynę w nos, a następnie uniosła się w przestworza, które zamknęły się za nią. Ranny Anioł krwawi do dziś i lamentuje po wiejsku, bo krew nie daje się zatamować. Okazało się bowiem, że wąsaty eks-kulak, mimo prostego pochodzenia jest naznaczony królewską chorobą – hemofilią. Takie rzeczy dzieją się u nas, Drogi Panie, a Pan mi tu o bzie!

Kłaniam się

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, czerwiec 1998



Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

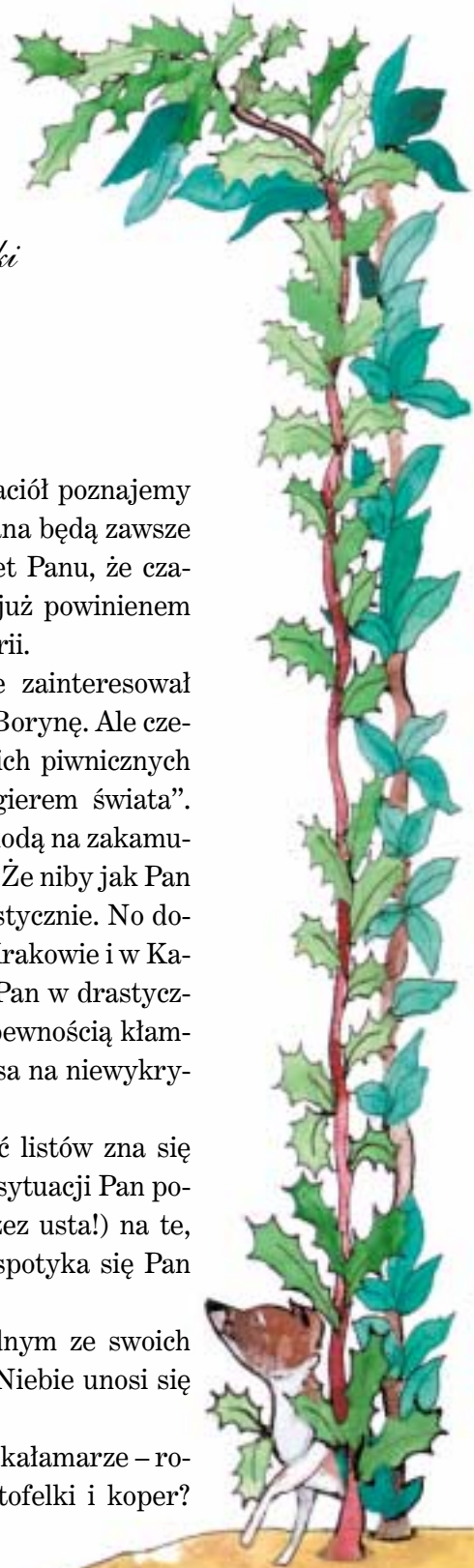
dziękuję za ostre słowa. Prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. A bieda w tym, że moje listy do Pana będą zawsze naznaczone aktorstwem. Przyznam się nawet Panu, że czasem świadomie tracę umiar i kiedy dawno już powinienem zamknąć gębę, zbieram się do odśpiewania arii.

W Pańskim ostatnim liście bardzo mnie zainteresował pszeniczny incydent wywołany przez Anioła-Borynę. Ale czegoś tu nie rozumiem. Kiedyś jeden z Pańskich piwnicznych kolegów nazwał Pana – „największym blagierem świata”. Zgodnie z intencją autora i panującą wtedy modą na zakamuflowane komplementy – uznaliśmy to za plus. Że niby jak Pan kłamie, to zawsze celowo, z wdziękiem i artystycznie. No dobrze, ale to miało miejsce tutaj, na Ziemi, w Krakowie i w Kabarecie. Ale teraz można powiedzieć, działa Pan w drastycznie odmiennej rzeczywistości. U Was z całą pewnością kłamstwo nie popłaca. Nie mówiąc o tym, że szansa na niewykrycie jest zerowa.

Ja nawet podejrzewam, że w Niebie treść listów zna się grubo przed ich napisaniem. Ale skoro w tej sytuacji Pan pozwala sobie na... (nie chce mi to przejść przez usta!) na te, no... dziwne opowieści, to może dlatego, że spotyka się Pan z największą z istniejących aprobatą?

Nie wie Pan, o czym mówię? Otóż w jednym ze swoich pierwszych listów pisał Pan, że wszystko w Niebie unosi się parę centymetrów nad powierzchnią.

Pan – rozumiem, taksówki – też rozumiem, kałamarze – rozumiem. Ale skąd się wzięły fruujące kartofelki i koper?



Przecież to trzeba siać, uprawiać, zbierać. A jeśli tak, to dlaczego Anioł-Boryna musi aż w takiej tajemnicy przechowywać ziarno we włosach, a potem sadzić je z krzykiem – jak jakiś potępieniec? Dlaczego, jak już chce zjeść ziarenka, Pan nazywa to – „pierwszym od lat ziemskim posiłkiem”? Czy mam przez to rozumieć, że wszyscy tam karmią się tylko wieczną szczęśliwością, a Pan jeden ma dostęp do warzyw?

Panie Piotrze, ja się pogubiłem. Jak to jest naprawdę? Albo Pan błagował wtedy o tych kartofelkach, albo teraz o pszenicy. Czekam na list w tej sprawie.

Dzisiaj w Krakowie pada deszcz. Wczoraj jeszcze był piękny dzień, ale nocą zadzwoniła do mnie Ania i zaraz się rozpadło.

Drogi Panie, ANNA POLONY postanowiła odejść ze „Starego”. Nie kryjąc rozczarowania, opuszcza własny dom, a ważni, po odbębnieniu rutynowych próśb o zmianę decyzji, przechodzą nad tym do porządku dziennego. A musi Pan wiedzieć, że ci ważni każdy dzień (psiakrew!) mają tak dalece przeładowany, że ich zasmarowane chorą ambicją kalendarze przypominają jeden wielki kleks. Pouciekały z nich dni, tygodnie, miesiące. Pouciekały ze wstydem imiona świętych, które od zawsze przypominały o imieninach.

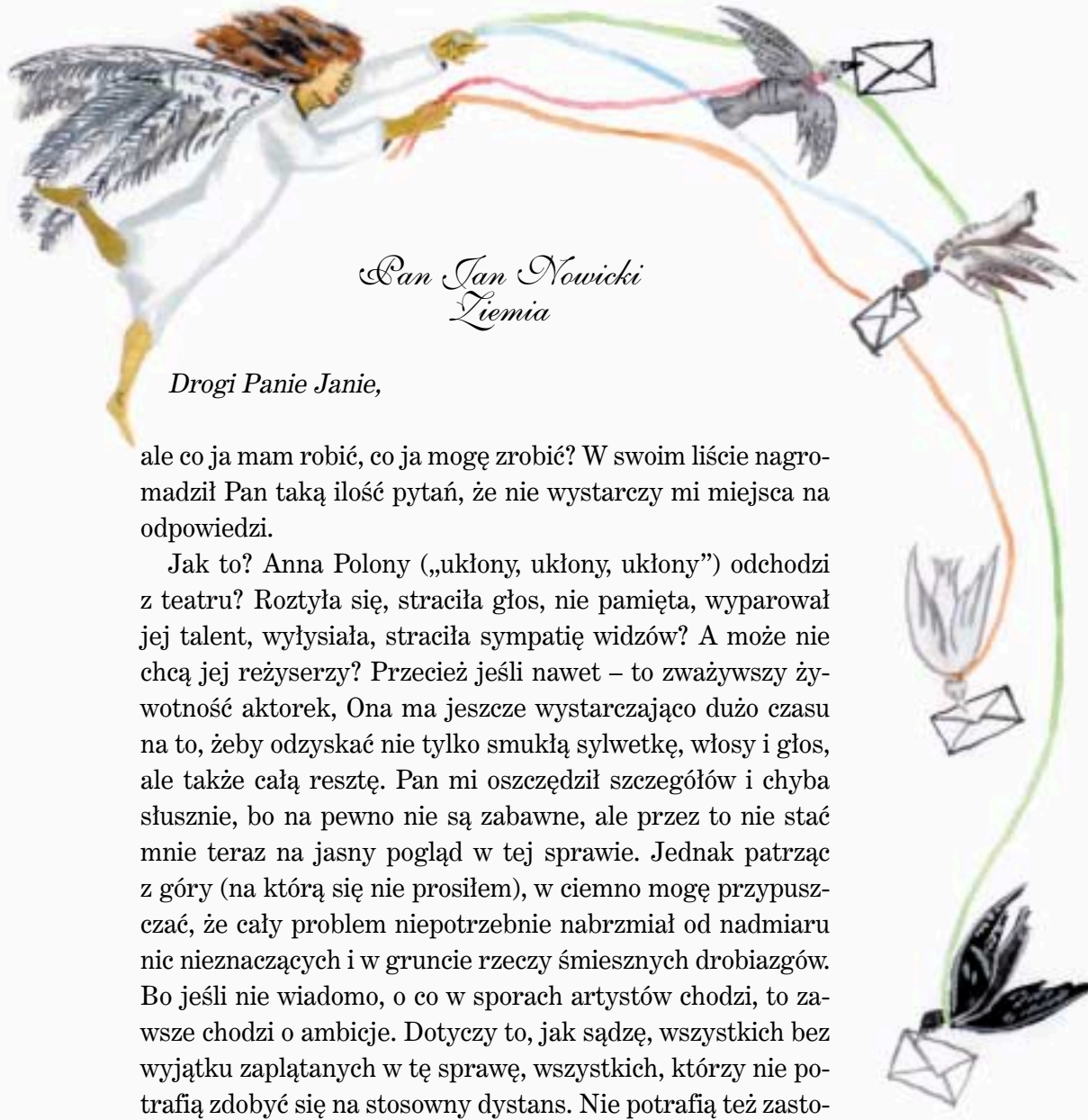
Zostały tylko bezradne, puste stronicie, które można teraz bezkarnie zapełniać bełkotem planów.

No pewnie, co może znaczyć jeden ludzki odruch drobnej, z kruchego szkła ulepionej dziewczyny, wobec tajfunu miłości własnej ludzi uciekających od przykrego zapachu zbliżającego się nieuchronnie – finału finałów!

Zrób coś Pan!!!

Pański Jan Nowicki

Kraków, czerwiec 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

ale co ja mam robić, co ja mogę zrobić? W swoim liście nagromadził Pan taką ilość pytań, że nie wystarczy mi miejsca na odpowiedzi.

Jak to? Anna Polony („ukłony, ukłony, ukłony”) odchodzi z teatru? Roztyła się, straciła głos, nie pamięta, wyparował jej talent, wyłysiała, straciła sympatię widzów? A może nie chcą jej reżyserzy? Przecież jeśli nawet – to zważywszy żywotność aktorek, Ona ma jeszcze wystarczająco dużo czasu na to, żeby odzyskać nie tylko smukłą sylwetkę, włosy i głos, ale także całą resztę. Pan mi oszczędził szczegółów i chyba słusznie, bo na pewno nie są zabawne, ale przez to nie stać mnie teraz na jasny pogląd w tej sprawie. Jednak patrząc z góry (na którą się nie prosiłem), w ciemno mogę przypuszczać, że cały problem niepotrzebnie nabrzmiał od nadmiaru nic nieznaczących i w gruncie rzeczy śmiesznych drobiazgów. Bo jeśli nie wiadomo, o co w sporach artystów chodzi, to zawsze chodzi o ambicje. Dotyczy to, jak sądzę, wszystkich bez wyjątku zaplątanych w tę sprawę, wszystkich, którzy nie potrafią zdobyć się na stosowny dystans. Nie potrafią też zastosować jedynie skutecznej terapii, jaką jest śmiech z samych siebie. Przekaż to Pan komu trzeba i nie zawracajcie mi głowy – dobrze?

O czym Pan tam jeszcze pisał... Aha, dręczy Pana pytanie, skąd w niebie jarzyny. Panie Janie Drogi, to jasne, że u nas niczego nie uprawiamy i – w zasadzie – nie pracujemy. W Niebie obchodzimy cały czas niebieskie święto tęsknego oczekiwania na wielki finał, który być może nigdy nie nastą-

pi. Być może, powiadam, bo tutaj podstawowym pokarmem, od którego zaczynamy dzień, jest mleczna zupa tajemnicy, zasypiana garścią uspokajających granulek, którym z łaskawą premedytacją odebrano wszystkie smaki przypominające życie.

POCZĄTEK I KONIEC – takie rzeczy nie są godne miejsca, gdzie teraz przebywam. Czas nasz zatracił bezpowrotnie to, czym Wy się jeszcze infantylnie podniecacie, dzięki czemu nazywają Was bożymi dziećmi – TRWANIE. Tutaj chwile nie trwają. Sekundy w szklistym bezmiarze naszego szczęścia można bez trudu rozciągnąć na długość godzin, miesięcy, lat. I odwrotnie. Chwila każda staje się wiecznym upojeniem i wiecznym, niestety... odpoczywaniem. Żeby uprzedzić dosłowność Pańskich ewentualnych pytań, dotyczących sprzątanania Justyny na przykład, albo prób Anielskich Chórów, odpowiadam od razu, że sprzątananie odbywa się tu nie z miotłą, ścierką czy elektroluksem w rękę, tylko przy pomocy... natężenia świadomości (skąd ja to znam?), że nadszedł czas porządków. Natężenia tak intensywnego, że małe, prawie nieistniejące atomy kurzu, odfruwają same w stronę śmietnika, zwanego u Was Księżycem.

Próby Anielskich Chórów odbywają się regularnie, ale trudno to nazwać zajęciem, skoro Anioły śpiewając, nie pracują, a tylko dwa razy się modlą. Incydenty takie, jak ten z ziarenkiem Anioła-Boryny, zdarzają się tutaj raz na dziesiątki lat i tylko dlatego o nim pisałem. A jeśli już czasem dopadnie nas koper czy kartofelek, to na pewno pochodzi on z „podrzutów”. Mamy trochę zaprzyjaźnionych z nami domów, z których Brat Albert, po zaspokojeniu głodu najbiedniejszych, sprowadza tutaj produkty, mające w gruncie rzeczy jedno na celu: przy każdym przełknięciu mają przypominać nam o tym, że nie ma powodu przesadzać z tęsknotą za wszystkim co ziemskie.

I Pan mi tego zazdrości?

Jaką niespodziankę Pan dla mnie szykujesz? Trochę się bo-

ję, bo przez dziesiątki lat naszej znajomości różnie z tym u Pana bywało. Niemniej jestem zaintrygowany – to prawda.

Muszę już kończyć, Drogi Panie, bo wczoraj niespodziewanie „wyteżył” do mnie (siedzi Pan?) sam Bach i zaproponował dzisiaj spotkanie, które ma mieć miejsce w altance, stojącej tuż obok kościoła, gdzie późnymi popołudniami Mistrz grywa na organach.

Ci, którzy Go słyszeli, mówią o uniesieniu do tego stopnia wielkim, że któregoś dnia ekstaza Jana Sebastiana osiągnęła taki szczyt, że grał nawet wtedy, kiedy pouciekały gdzieś, nie mogące nadążyć za Nim, jego własne palce, klawisze instrumentu i zawstydzone niemocą piszczałki. Takiemu, Panie, powierzyć rolę Jankiela.

Ciekawe, co mi powie?

Serdeczności przesyłam

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, czerwiec 1998

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Jak te konwalie, jak bzy, albo pet

Daty, daty, kolejne daty, jakby nie można inaczej.
Czas w brzuchu martwego konia, puchnąc mruczy coś.
Ziemia! Ziemia!!! – wrzeszczy pijany grabarz.
Ziemia! Ziemia!!!
I zasypuje nią gniazdo bocianie
Z Tobą w środku.
Ziemia! Ziemia!!!
Ale głupcy mimo to czekają
Na ten czerwiec i także następny.

Wpadnij Pan choć na pół papierosa,
Na uśmiech, słowo, brzęknięcie, szept.
My tu żyjemy, proszę Pana,
Jak te konwalie, jak bzy, albo pet.

Na błoniach mlecze, raz żółte, raz białe,
Taki czerwcowy szmonces.
W niebie bezzębne anioły – wiem
Mielą żarnami działęł
Przetrawioną wcześniej na Ziemi
Rzadką papkę, rzadką papkę ludzkich miłości.

Wpadnij Pan nocą, wieczorem, z rana
Na najkrótszy z krótkich mileżący szept,
Bo my umieramy trochę bez Pana
Jak te konwalie, jak bzy, albo pet.
Halo!
Wpadnij Pan choć na pół papierosa.

Na uśmiech, słowo, brzęknięcie, szept.
My tu żyjemy, proszę Pana,
Jak te konwalie, jak bzy, albo szept.
My tu żyjemy, proszę Pana,
Jak te konwalie, jak bzy, albo pet.

Kraków, czerwiec 1998



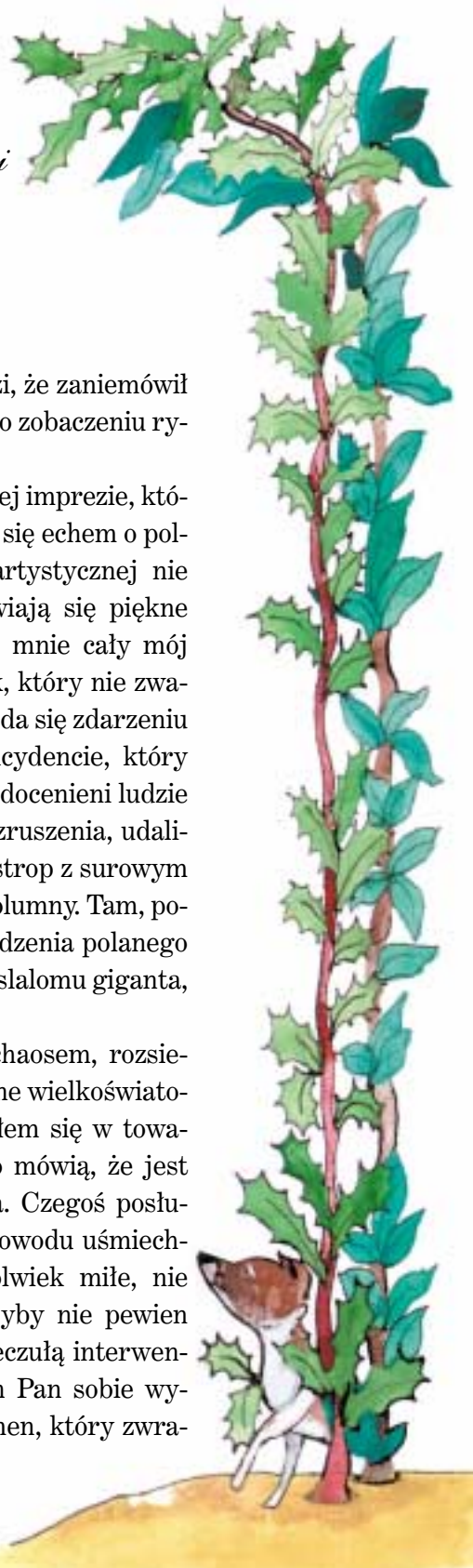
Pan Piotr Skrzypecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

dłaczego Pan nie odpisał? Jan Kanty twierdzi, że zaniemował Pan po wysłuchaniu piosenki, Sebastian, że po zobaczeniu rysunku. Jak z tym naprawdę jest?

Parę tygodni temu uczestniczyłem w pewnej imprezie, która nagłośniona przez stosowne media, odbiła się echem o polskie strzechy i polskie biurowce. Części artystycznej nie wspomnę, bo gdy w świetle laserów pojawiają się piękne dziewczęta i elegancy panowie, ulatuje ze mnie cały mój krytycyzm, a wkracza sześciolatek, który nie zważając na „gila” wiszącego pod nosem, przygląda się zdarzeniu w niemym zachwycie. Po wspomnianym incydencie, który był fajny głównie z tego powodu, że słusznie docenieni ludzie (sami mężczyźni), pełni byli prawdziwego wzruszenia, udaliśmy się na bankiet do ogromnej sali, której strop z surowym wyrzutem podtrzymywały socrealistyczne kolumny. Tam, po krzepiony podwójną wódeczką z odrobiną jedzenia polanego majonezem na talerzyku, wystartowałem do slalomu giganta, w którym miejsce tyczek zajmują ludzie.

Towarzyski stok pulsował przyjemnym chaosem, rozsiewając na boki uśmiechy, strzępy rozmów i inne wielkoświatowe drobiazgi. W pewnym momencie znalazłem się w towarzystwie pięknej kobiety, o której nie tylko mówią, że jest pierwsza, ale która naprawdę jest pierwsza. Czegoś posłuchałem, coś tam wybełkotałem, z jakiegoś powodu uśmiechnąłem się. Wspomniane wydarzenie jakkolwiek miłe, nie miałyby dla mnie aż takiego znaczenia, gdyby nie pewien drobny falcik, który nazwałbym dziwnie nieczułą interwencją twardego jak stal ramionka. Otóż niech Pan sobie wyobrazi, obok mnie pojawił się nagle dżentelmen, który zwraca



cając się z radosną poufałością do wyżej wspomnianej damy, zaczął spowitym w jedwab barkiem pomalutku spychać mnie na bok. Z początku myślałem, że to przypadek, że może działanie podwójnej czystej. Ale potem, stojąc już prawie na jednej nodze, niebezpiecznie, a także groteskowo odchylony w lewo, zrozumiałem, że mam do czynienia z czarującą premedytacją, która nie tylko okazała się skuteczna, ale także przepełniona wisusowskim wdziękiem. Wyszeptałem – przepraszam, i jakimś takim powiedziałym salonowym łukiem, z talerzykiem zakąsek, które niebezpiecznie obsunęły się na brzeg, wywinąłem się jak wąż i odszedłem chwiejnym krokiem z poczuciem trudnej do zdefiniowania – winy.

Przewrotne i pełne tajemnic bywają spotkania na szczytach.

Walka bark w bark, Drogi Panie, na drodze do kontaktów, za którymi sławka i szmal. To gladiatorzy chamstwa tak wielkiego, a tak pospolitego, że nie dostrzegają go nawet same chamy. Chłodząc plecy, stałem oparty o zimną powierzchnię kolumny wzniesionej za czasów Bolesława Bieruta i myślałem sobie, że żyjemy ciągle w epoce nacisku. Przepychanki cacanki, a głupiemu radość!

Pański Jan Nowicki

Warszawa, lipiec 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

nie odpisywałem, bo byłem czymś poważnie zajęty. W głębszej tajemnicy przygotowywałem tu z jednym gościem krótki wypad do Krakowa. W Noc Świętojańską, w wigilię Pana imienin myślałem przylecieć na aleję Focha i gdy ucichnie ostatecznie, oznajmiające północ uderzenie, wręczyć Panu bukiet srebrnych kwiatów paproci, który odpowiednio wcześniej zamówiłem w pracowni Anioła-Xawerego. Całej sprawie próbowałem na początku patronować Jan Chrzciciel, potem jednak wycofał się i po angielsku znikł. A ja chciałem, Drogi Panie, wpaść do Pana na dłużej, niż tli się połówka papierosa, trwa jedno brzęknięcie, słycać jeden szept.

Wracając do rzeczy, dwa kroki ode mnie mieszka samotnie pewien dziwak, który idąc, cały czas obraca się wokół własnej osi. I mruczy jakoś, a raczej warczy. Gość ten za życia był ponoć wybitnym kierowcą wyścigowym, ale któregoś dnia nie wyrobił i skończył... jak skończył. Ustaliliśmy, że ja mam parę godzin gościć u Pana, a Ayrton (bo tak się nazywa) w tym samym czasie raz jeszcze rzuci okiem na nieszczęsny zakręt, po to, aby z ołówkiem w ręku przeanalizować nieodwracalny w skutkach błąd. Anioł-Senna, może z tego ciąglego zawirowania, wykombinował, żeby w czas sjesty powykręcać silniki ze wszystkich taksówek kursujących po Niebie i skonstruować z tego jeden potężny pojazd, którym udałoby się odbyć podróż na Ziemię i z powrotem. Z zepsutych zegarów jakaś zaprzyjaźniona złota rączka zobowiązała się zmontować dla nas stosownego koguta, który po krótkiej tresurze i odpo-

wiednim nakręceniu miał opanować trudną sztukę niepiania o świecie. Jednakże wszystkie starania skończyły się niczym, bo Anioł-Senna w próbnej jeździe na Mlecznej Drodze poniósł kolejną śmierć na miejscu. Nieskutecznie, to jasne, ale za to po raz drugi.

Nie doszło do spotkania, Drogi Panie – taka szkoda i żalu trochę. Trzymaj się Pan i nie myśl. Radzę wyjechać do swojego Kowala, popływać w jeziorze dzieciństwa i koniecznie popatrzeć w złotą kulę słońca tak długo, aż poczuje Pan w oku łzę. Pozdrów Pan i podziękuj Janowi Kantemu i Sebastianowi za piękny prezent.

Ściskam

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Żółte łąki, lipiec 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze!

Wróć jeszcze raz do Pańskiej piosenki. Otóż, ostatecznie ustaliliśmy dla niej tytuł: *Konwalie, bzy, albo pet*. Myślałem, że raczej – *Czekamy*, ale towarzystwo uznało inaczej, a ja musiałem się znaleźć. Na początku miałem pomysł, żeby pioseneczka miała swoją premierę w „Przekroju”. Jednak mój ulubiony obecnie kompozytor, czyli Jan Kanty, zdecydował inaczej i chyba słusznie. Na pierwszy sygnał Kantego zgłosili się wszyscy: radio krakowskie, wspaniali instrumentalści, Grześ Turnau, Elżbieta, i z pełnym zaangażowaniem wykonali pięknie co trzeba. Piosenka jest... jaka jest, a jej refren po trzech głębszych nadaje się wyśmienicie do wywoływania duchów. A skoro już o tym, to muszę Panu powiedzieć, że teraz trudniej niż kiedyś kochać Pana.

Jakiś czas temu w towarzystwie pewnej młodej osoby oraz mojej psiny udałem się do baru na Zwierzynieckiej, gdzie podają dobre jedzenie i – jak ostatnio wszędzie – za zimne piwo. Po wychyleniu kufelka, znad ręki, którą właśnie wycierałem przedwczesną pianę z ust, ujrzałem nagle sympatyczną postać chłopięco drobnego krytyka, który po wizycie na salwatorskim cmentarzu wchodził, żeby smutek po zmarłych splukać złotym strumieniem porannej brandy. Przywitałem go jak zwykle ucałowaniem ręki. Gest ten przyjmował kiedyś z pewnym zażenowaniem, ale od pewnego czasu zażenowanie zamienił na zrozumienie, potem na przyzwolenie, a probatę, a w końcu na bezgraniczną akceptację.

Czas, Drogi Panie! Magiczne działanie czasu!!!



Usiedliśmy, wymieniliśmy kilka uwag na temat pogody, psa, a w końcu zaczęliśmy rozmawiać o mojej korespondencji z Panem. I tutaj, chyba w połowie drugiej brandy, usłyszałem rzecz, która mnie zamurowała. Otóż ten od lat bliski, prawie że przyjaciel, ten subtelny spacerowicz po krakowskich cmentarzach, powiedział, że moje listy odbiera jako próbę wspina-
nia się po Pańskich plecach do... sławy. Oniemiałem, Panie, ale nie dlatego, że mi się nie spodobało. Spodobało mi się bardzo, tylko byłem wściekły, dlaczego, stary osioł, sam na to nie wpadłem. Uśmiecham się rozczulony, widząc Pana pochylonego pod ciężarem 84 kilogramów mojego prymitywnego sprytu, który pamięć po Kimś przekuwa na brzęczącą monetę, na splendory i oklaski. Teraz widzi Pan, ile elastycznej gibkości zawiera każdy ludzki sąd. Bzy przekwitły, mój Panie, konwalie opadły, a karawana w niesłusznym kierunku wlecze się dalej.

Proszę mi pozwolić pisać do Siebie.

Pański Jan Nowicki

Kraków, lipiec 1998



Pan Jan Nowicki Zemia

Drogi Panie Janie,

Pan na moich plecach? – Wszystko możliwe. Wprawdzie nie zauważyłem, ale jeśli to prawda, złaź Pan natychmiast!

Puszczono w niepamięć moje przewinienie, dotyczące planów krótkiej wizyty u Was, w związku z Pana imieninami. Rzecz przebiegła mniej więcej tak: 29 czerwca w bardzo wczesnych godzinach rannych przyszła do hacjendy dwójka ponurych panów, w których gołym okiem rozpoznałem Piotra i Pawła. Pochyleni nad moim szezlongiem długo milczeli, po czym Paweł, zmieciony wymownym spojrzeniem Piotra, wyszedł. Mój Patron pochylił się jeszcze niżej i tuż przy prawym uchu, najpierw zadzwonił kluczkami, a potem wyszeptał: „Darowano Ci wszystko z okazji imienin”.

No i tyle. Udało się, można powiedzieć!

Panie Janie Drogi, Pan z pewnością już na wakacjach, wobec tego spróbujmy o czymś wesołym. Któregoś dnia na ławeczce przed domem znalazłem zmięty numer „Polityki” z 2 maja 1998 r. Kto go zostawił, nie wiem – zresztą, czy to ważne? Przejrzałem tygodnik bez większych emocji, ale tylko do 88 strony, bo tam znacznie się ożywiłem, czytając artykuł Pana Pietrasika pod ryzykownym tytułem: *ZAMIENÍMY SIĘ ROLAMI*. Problem w dużym skrócie dotyczy tego, że Wy aktorzy w... „poszukiwaniu uznania i pieniędzy coraz częściej schodzicie ze sceny i ekranu, próbując zupełnie nowych ról, wielu z Was chwyta za pióro i w związku z tym coraz trudniej przychodzi Wam grać”.

Co ja o tym sądzę, Drogi Panie? Ano cóż, żyjemy w epoce podróbek, sam Pan nie wie, co pali i pije. Nie mówiąc o tym,

na jakiej benzynie jeździ Pański samochód i jakie twarze decydują o losach Pańskiego kraju. W zaistniałej sytuacji aktorzy, którzy zawodowo skazani są na udawanie, rzeczywiście dość niefrasobliwie rozszerzają pole swoich działań. Ale problem wcale nie leży w tym, jak Oni to robią, tylko że często robią to lepiej od fachowców, udowadniając przerażającą obniżkę formy profesjonalistów od pióra, prowadzenia teatrów, polityki i małej gastronomii. Świadczy to o witalności, której nie starcza kolegom pokrewnych branż. W związku z tym tytuł: *Zamieńmy się rolami* – bez znaku zapytania, czy choćby cudzysłowu, wydaje mi się ze wszech miar ryzykowny. Na początek proponuję, żeby Pan Pietrasik nauczył się na pamięć, a potem wykonał przed kamerą wideo jeden z monologów Króla Filipa z *Don Carllosa* i niech odda go pod ocenę studentów szkoły teatralnej. W rewanżu niech odczytają teksty Joanny Szczepkowskiej, a nawet Pana, Panie Janie, przed studentami wydziału dziennikarstwa. A co do tego, że coraz trudniej przychodzi Wam granie, to może dlatego, że teraz kłopotliwiej grać, że granie powinno być inne albo że na Wasze granie tak naprawdę nikt nie czeka. Może. Ale to już zupełnie inny problem.

Pogubiliście się tam na dole, oj, pogubiliście. Pełnia lata, koniec wieku, a może po prostu rażący brak alkoholu.

Niech Pan pisze – pozwalam.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka przed Hacjendą, lipiec 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

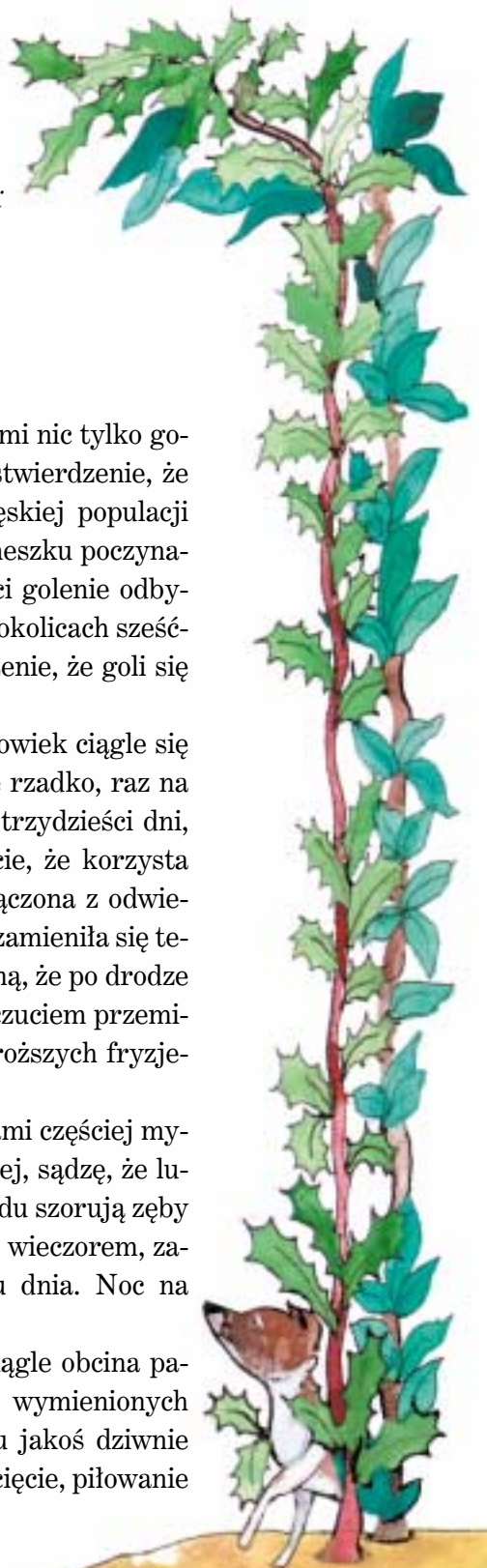
Kochany Panie Piotrze,

zauważyłem, proszę Pana, że człowiek na Ziemi nic tylko goli się i podgala. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że życie lwiej części (bo o lwach tu mowa) męskiej populacji upływa właśnie na goleniu. Od chłopięcego meszku poczynając, na szczecinie starca kończąc. W młodości golenie odbywaliśmy raz dziennie, jednakże po latach – w okolicach sześćdziesiątki powiedzmy – człowiek odnosi wrażenie, że goli się bez przerwy.

Zauważyłem też, proszę Pana, że teraz człowiek ciągle się strzyże albo podcina. W młodości strzygł się rzadko, raz na miesiąc powiedzmy. Teraz też strzyże się co trzydzieści dni, ale od pewnego czasu towarzyszy mu uczucie, że korzysta z nożyc co tydzień. Dawna przyjemność połączona z odwiedzaniem rezury, gdzie kiedyś szachy i piwko, zamieniła się teraz w udrękę. Udrękę tym bardziej absurdalną, że po drodze zagubiła się ponad połowa piór. Smutni, z poczuciem przemijania, łazimy jednak zapamiętali do coraz droższych fryzjerów.

Zauważyłem też, że ziemski człowiek z latami częściej myje coraz rzadsze zęby. Poszedłbym nawet dalej, sądzę, że ludzie w największej tajemnicy i z siłą wodospadu szorują zęby już nieistniejące. Swoje pucowali tylko rano i wieczorem, zapożyczone natomiast szlifują także w ciągu dnia. Noc na szczęście przebiega w całkowitym spokoju.

Człowiek na Ziemi – dorosły człowiek – ciągle obcina paznokcie. Tnie, bo okres obgryzania z wyżej wymienionych przyczyn minął bezpowrotnie. Paznokcie mu jakoś dziwnie pozołkły, wyschły i zrogowaciały, dlatego też cięcie, pilowanie



czy skrobanie przychodzi mu teraz z większym niż dotąd trudem. Ale trzeba to robić częściej niż drzewiej. W przeszłości – co dwa tygodnie, teraz – co czternaście dni. Ale jakby codziennie. Bo jeśli zaniedbasz, u nóg przebiją bawełną skarpetki, a przy pazurkach pojawić się mogą białe rysy pęknięć i złań.

Człowiek, zamieszkujący ten padół łoż, co kwadrans musi wycinać pojedynczego włosa-solistę, który wbrew zdrowemu rozsądkowi, zastanawiająco długi wyrasta mu nagle w miejscach co najmniej absurdalnych. Brew, nozdrza, ucho, okolice sutek. Człowiek, proszę Pana, natrafia na takiego „długasa” co jakiś czas, a zdumienie nie opuszcza go aż do momentu wyrośnięcia następnego. W tej sytuacji mieszkańiec Ziemi zajmuje się pieleniem takich stworów bez przerwy.

Człowiek na naszej, a więc i na mojej Planecie, co cztery lata ogląda światowe mistrzostwa w piłce nożnej. Co cztery lata OGLĄDAŁ, Miły Panie, bo od pewnego czasu, mimo że regulamin nie uległ zmianie, ku jego zdumieniu mistrzostwa zaczęto rozgrywać co dwa lata, a w końcu prawie co rok.

Odnosi się wrażenie, że człowiek – przychodząc na ten świat – zaraz po pierwszej kąpieli przystępuje do zespołu ćwiczeń, które zwłaszcza w przypadku długiego i szczęśliwego życia przygotowują nas do radosnej podróży stąd do krainy wiecznego szczęścia, gdzie zdaniem Pana tylko głupcy zajmują się czymś tak nietrwałym jak CZAS.

Krótko pozdrawiam

Pański Jan Nowicki

Kraków, sierpień 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze!

Czekałem, czekałem, a tu nic. Już drugi raz zdarzyło się Panu nie odpisać – szkoda. A u mnie? Radził mi Pan wyjechać z Krakowa na rodzinne Kujawy, po to, żebym odpoczął – jak Pan to ładnie określił – nad „jeziorem dzieciństwa”.

Stało się!

Leżę zatem nad wodą jeziora Lubiechowskiego, pode mną wytarty koc w żółto-czerwonej kratce, a w górze długo wyczekiwany błękit z żurawiami, które po tajemnych rekonesansach spływają teraz leniwym lotem w stronę pobliskiego rezerwatu ptaków. Zamykam oczy i staram się przywołać wspomnienia tamtych chłopaków sprzed pół wieku. Widzę Rysia Matusiaka łowiącego ogromne okonie za pomocą haczyka zrobionego ze zwykłej szpilki – kuleczka chleba na końcu. Słyszę Staszka Terpińskiego (śp.) z płonąca od słońca twarzą rudzielca, który z wysokiego brzegu wrzeszczy, że daje ostatniego nura, bo potem to już pędzi, żeby wiązać za ojcem snopy. Obserwuję Janka Markowskiego (śp.) kopiącego bosą stopą futbolówkę, skonstruowaną przemyślnie ze starych szmat obwiązanych sznurkiem. Janka Stankiewicza grającego „w klasy”. I jeszcze jednego Janka... OWSIANKOWSKIEGO – chudego chłopaczka, którego przy ciepłym pniu sosny dopadł sen. Po latach dowiedziałem się, że los, jak to los, przykuwa go teraz do inwalidzkiego wózka.

– Mały – spytałem – jak to się stało?

– O czym tu gadać, Jasiulek – powiedział. – Prowadziłem konie z Gołaszewa, była zima i potracił mnie samochód. Nawet się nie dziwię, bo to był dzień, kiedy koń biały i śnieg biały. Jak nigdy przedtem i nigdy potem. – I dalej ciągnął z uśmiechem – Nieważne, kupmy raczej na spółkę jakiegoś dwulatkę, dla mnie do bryczki, tobie pod wierzch.



Oficjalnie pierwszy raz szliśmy się kąpać (bo wtedy nikt nie szedł popływać, tylko do kąpieli) po Janie Chrzcicielu. Od 24 czerwca, zdaniem zatroskanych dorosłych, wodne robale jak na komendę przestają gryźć. Wchodziliśmy do wody z bijącą pod żebrami radością i żegnając się, za obszernymi jak na nas znakami krzyża, rzucaliśmy się w groźną otchłań z zamiarem dopłynięcia do piaszczystej wysepki, oddalonej od brzegu o dobre 30 metrów. Pokonywaliśmy ten dystans różnymi stylami. Jeden „pieskiem”, ktoś powiedzmy żabką, a tylko jeden Stefan Kowalski tzw. „Czapajewem”. Prawa ręka cały czas nad wodą, a w niej zwinięte portki, które nie miały prawa zamoknąć.

Ryszard, Jerzy, Stefan, Jan, Karol, Szymon, Stanisław, Piotr, Andrzej – tamte chłopaki.

Otwieram na raty oczy, zbudzony dwutaktem, i ze zdumieniem stwierdzam, że na skraj mojego koca wjeżdża z wdziękiem wczesnego Honeckera przednie koło kawowego wartburga. Z samochodu wypelza najpierw pięta, potem łyda, za nią masy o kształtach niespotykanych w geometrii, potem ni to plecy, za nimi niby szyja, a za szyją głowa, poniekąd. Wszystkie części ciała, beztrąsko, w kształcie sempiterny. Słyszę żeńskie warknięcie – Michael, wyłaż i pomóż ciulu Sandrze! A potem to Wszechdupie, na deser jakby, zaczyna wyciągać z głębi auta usmarkanego Patryka z lizakiem w gębie. Nad jezioro przyjechał komplet (ojciec Józef od lat przestał się liczyć) rodziny Kurdubskich. Patrzę, Drogi Panie, jak w zielonym jeziorze mojego dzieciństwa pluskają teraz radośnie nowi Polacy: Kinga Kielbasa z Damianem Kożą, Isaura Kręcioł z Kamilem Żyłą, Dawid Fafla z Sandrą Jebik, Roger Kopytko z Sarą Dziecioł, Emanuel Kurzyłap z Angeliką Smrodek – itd., itp.

Panie Piotrze, wyobraża Pan sobie apel poległych z udziałem takiego towarzystwa? Bo ja nie. Werblistom ze śmiechu powypadałyby pałeczki z rąk.

Kłaniam się Panu, Drogi Panie

Pański Jan Nowicki

PS Jutro imieniny mojej siostry – Anny.

Kowal, sierpień 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie!

Jak ja nie lubię u Pana tego grzebania we włosach, zębach, paznokciach i innych tego rodzaju świństwach. Zawsze z przykrością przyjmowałem fakt, że człowiek czymś tam porasta, że musi gryźć albo drapać. Ale skoro jest tak, jak jest, to przynajmniej nie mówmy o tym. No, chyba że ostatni raz, ten jeden, jedyny raz.

Doszło do mnie, że nasz ulubiony stomatolog, dr Franc Serwatka, oburzył się na Pana za sformułowanie: – „W niebie bezzębne anioły”. Franek z całą stanowczością twierdzi, że Anioły zęby posiadają. A po co mu ta pewność? Czy On zamierza otworzyć kiedyś w Niebie gabinet dentystyczny? Niech nie przesadza.

Rozumiem, że w tej sytuacji ja najbardziej nadaję się do tego, żeby rozstrzygnąć spór Panów, ale nie liczcie na mnie. Anioły są najpiękniejszym darem Niebios – darowanym Aniołom w zęby się nie patrzy.

Pan na wakacjach – mój Boże!

Zazdroszczę Panu paru drobiazgów: dalekiego szczekania psa, żądlenia os, brzęczenia much, piania kogutów, wędrującego cienia motyli skrzydeł, białego warkocza za odrzutowcem, ości ryb, piachu we włosach, ziemi za paznokciem, szumu liści, dyszenia bagien, plusku fal, zapachu psiej sierści, śmiechu dzieci, trzasku gałęzi pod stopą, zapachu sarny w krzewie jałowca, ćmy wokół lampy, kleszcza w nodze męża stanu, biedronki na stronie otwartej książki, kreta, który uciekł Pańskiemu psu, jeżyn, mrówek, nenufarów, bobrowych żeremi i mchu.

Aż tylu rzeczy zazdroszczę Panu, Drogi Panie. Wcześniej ich nie dostrzegałem.

Wspomniałem kiedyś Panu, że wybieram się z wizytą do altanki Jana Sebastiana Bacha. Byłem tam i muszę Panu powiedzieć, że spotkało mnie rozczarowanie. Maestro o muzyce nawet nie wspominał, tylko rozglądając się z obawą, czy ktoś nie podsłuchuje (Niemiec – a taki naiwny!), cały czas nadawał mi o materialnej krzywdzie, jaka spotkała Go za życia.

– *LIEBER HERR PETER* – strzelał mi do ucha śliną – zobacz Pan, ile teraz ziemskich miernot bierze ogromne pieniądze za głupie kawalki. A ja, Ludwig van i Wolfgang Amadeus nie mogliśmy związać końca z końcem. Teraz, tam na dole, byle fuszerowi stawiają za życia pomniki i ani na chwilę nie pozwalają mu z nich zejść. Jasne! Jasne! – warczał – mogłoby to pociągnąć za sobą utratę milionów jakichś tam, za przeproszeniem, firm gramofonowych albo innych tego rodzaju *scheisse*.

Dlaczego nie urodziłem się później, *Lieber Herr Peter*? Przecież obok tego, co kochałem, mógłbym wystukać jednym palcem coś dla kinematografu, estrady albo teatru – syczał poirytowany organista.

Jan Sebastian pieniał się jeszcze długo, sądzę, że nawet po moim wyjściu. I myślę, że zawstydzone Mistrzem jego własne palce, klawisze organów i piszczałki uznały, że czas wracać na stare miejsca... *Schade!*

Ukłony dla Siostry

Pański Piotr Skrzynecki

PS Ubawił mnie Pan tymi Patrykami i Sandrami. No cóż, może ludzie przy pomocy wyszukanych imion starają się sprowokować los, by był lepszy dla ich dzieci. A że to wygląda tak, jakby Pan, wracając z wakacji, nie korzystał z auta tylko ze znaku firmowego Mercedesa – to już inna sprawa. Nie rozumie Pan? To takie proste.

Niebo. Hacjenda, sierpień 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

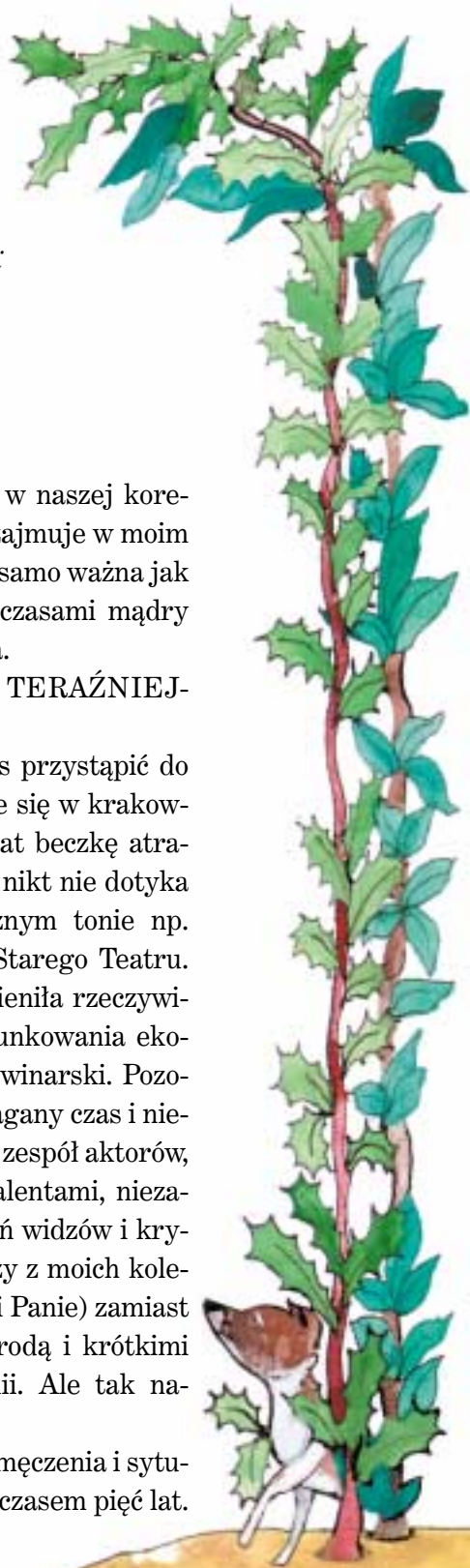
Kochany Panie Piotrze,

długo, tak długo jak tylko można, unikałem w naszej korespondencji tematu, który od pewnego czasu zajmuje w moim sercu szczególne miejsce. Przeszłość jest tak samo ważna jak terażniejszość i przyszłość. Między trzema czasami mądry Pan Bóg na początku postawił znak równania.

PRZESZŁOŚĆ = TERAŻNIEJSZOŚĆ. TERAŻNIEJSZOŚĆ = PRZYSZŁOŚĆ.

Po tym nieco enigmatycznym wstępie czas przystąpić do rzeczy. Chodzi mi o to, proszę Pana, co dzieje się w krakowskim Teatrze Starym. Wypisano na ten temat beczkę atramentu, drugą już odbijają, ale tak naprawdę nikt nie dotyka spraw prawdziwie istotnych. W dramatycznym tonie np. ogłasza się wszem i wobec koniec legendy Starego Teatru. No i co z tego?!!! Przewaliła się historia, zmieniła rzeczywistość polityczna, mentalność widzów i uwarunkowania ekonomiczne. Tragicznie zginął wielki Konrad Swinarski. Pozostali liderzy liżą rany zadane im przez nieublagany czas i nieprzewidywalny los. Z trudem odbudowuje się zespół aktorów, którzy w różnym stopniu obdarzeni są talentami, niezależnie od najbardziej nawet pobożnych życzeń widzów i krytyki. Talenty się pojawiają albo nie. Niektórzy z moich kolegów (a wśród nich, niestety, również ja, Drogi Panie) zamiast aktualnymi dokonaniai szczycą się były urodą i krótkimi wzmiankami zamieszczonymi w encyklopedii. Ale tak naprawdę nic się nie dzieje!

Nawet najwspanialszy lider ma prawo do zmęczenia i sytuacyjnej obniżki formy. Czasem to trwa rok, a czasem pięć lat.



Kryzys bywa naturalnym impulsem do podjęcia pracy, do kolejnego startu. Nie trzeba nas poganiać, nie mówiąc o tym, że kopanie tego, który się potyka, wcale nie świadczy o tężyźnie fizycznej i umysłowej kopiającego.

Ludzie, piszący o legendzie „Starego”, przypominają rozczarowanych korespondentów wojennych, którzy mimo wpływu lat wciąż mają za złe, że odebrano im możliwość relacjonowania wyczynu naszych chłopców spod Monte Cassino.

Panie i Panowie, zostawcie w świętym spokoju miejsce, które niezapomniany Kazimierz Wyka nazwał kiedyś suką rodzącą zawsze udane szczenięta. Ci, którzy znudzili się nami, miejscem, sobą i miastem – niech odejdą. Ci, którzy uwierzyli w siebie tak dalece, że w swoich indywidualnych sukcesach nie dostrzegają wkładu przyjaciół, niech szukają masturbacyjnych spełnień gdzie indziej. Bo tak naprawdę, Drogi Panie, mimo największych talentów, przestali być potrzebni. Ich obecność przedłuża tylko agonię miejsca, które może się odrodzić, ale dopiero po, a nie przed agonią, a słynna Melpomena spełni co najwyżej rolę skromnej chrestnej.

Ci, którzy pozostaną w Starym Teatrze, muszą poskromić ambicje, bo nadszedł naprawdę historyczny czas – czas na zmiany, co da się osłodzić obserwacją nowych rejsów zasłużonych sterników „Starego”, którzy oderwani od sprawdzonej kei przy placu Szczepańskim, dobijają być może do portów dalekich od marzeń. A Dyrektorowi Jerzemu Bińczyckiemu życzymy na początek sił do reperacji Domu, w którym aktorzy poczuli się obco.

Wróć kiedyś do tego tematu, jeśli Pan pozwoli.

Niewesoło mi

Pański Jan Nowicki

Kraków, sierpień 1998



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

zmartwił mnie Pana ostatni list. Pamiętam, jak Pan kiedyś powiedział, że „być aktorem i mieć marzenia, to już zbyt żałosne”. Zdanko typowe dla Pana – zręczne i podejrzane zarazem. Ja z kolei zrewanżowałem się wtedy stwierdzeniem, że z rozbawieniem odbieram przypadki, kiedy to aktorowi przytrafia się coś tak zbędnego jak... CHARAKTER. Panie, po co aktorowi charakter?!

Wbrew krążącym wokół opiniom, uprawia Pan zawód, u którego podstaw leży brak charakteru i specyficznie wykalikulowana niestabilność światopoglądowa. Na tym polega bylejakość i wielkość profesji aktora. Z tego biorą się zagrożenia i intelektualna miałość, która u Was (kto wie, czy tylko u Was) – staje się zaletą.

Sytuacja, w której pozostaje w tej chwili STARY Teatr, wymaga wykazania nadzwyczajnego poczucia zespołowości i ogromu pracy wszystkich – aktorów, reżyserów, dyrektorów. Zadaję sobie pytanie, czy starczy Wam energii i cierpliwości? Jak Pan, który tak bardzo ceni sobie wolność, znajdzie się w zaistniałej sytuacji? Mam wiele wątpliwości, ale wstrzymuję się póki co z ich wypowiedzeniem, żeby nie psuć Panu sierpnia. Pisząc o „sternikach”, ma Pan na uwadze, jak sądzę, wybitnych reżyserów Waszej sceny. Dlaczego Pan się z Nimi tak dramatycznie żegna, dlaczego sugeruje zmianę portów? Oni jeśli nawet to zrobią, to na pewno nie z powodu Pańskiej histerycznej i przez to obolałej sugestii. A może tak naprawdę Oni tego nie chcą? Nie rozbijajcie rodziny, bo z tego wyniknąć mogą tylko same nieszczęścia. Porozumcie się, do ja-

snej cholery, chociażby po to, żeby jednej kobieciej szyi odebrać władzę poruszania tyłoma świetnymi głowami.

Przypominacie dziś rozkapryszone dzieci, które ze złości, że wiatr przewracał im piaskowe babki, zaprzepaszczały dorobek. Zapanujcie nad sobą, bo w przeciwnym wypadku doprowadzicie do tego, że plac Szczepański będzie się kojarzył nie z Teatrem Starym, a z parkingiem samochodów.

Zakręciło się, Drogi Panie, bardzo się zakręciło.

Czy Marta rozpoczęła już film? A jeśli tak, proszę mi donieść o szczegółach, bo bardzo jestem ich ciekaw. No i co tu ukrywać, tęsknię za Wami – może to się skończyć wezwaniem na dywanik.

Serdecznie Pana pozdrawiam

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. W cieniu pod skałą, sierpień 1998

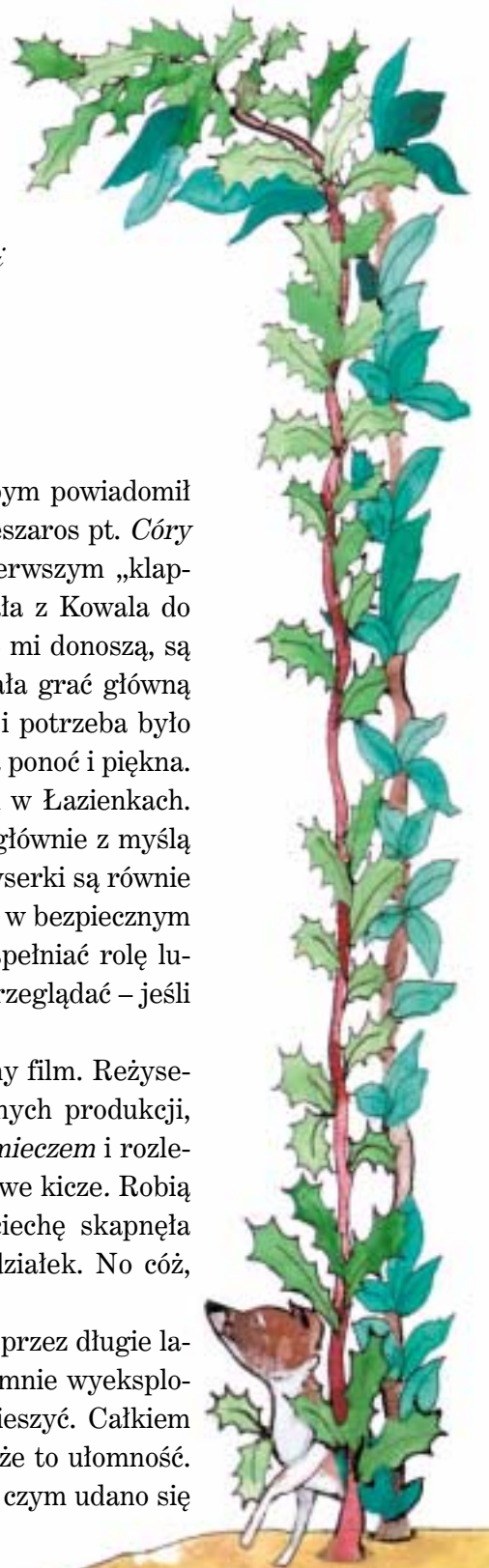
*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze!

Dzisiaj nie będzie o teatrze. Prosił Pan, żebym powiadomił Pana o tym, co dzieje się z filmem Marty Meszaros pt. *Córy szczęścia*. No cóż, jesteśmy ciągle przed pierwszym „kłapsem”. Właśnie przed chwilą Marta wyjechała z Kowala do Warszawy, żeby rozpocząć zdjęcia. Z tego co mi donoszą, są pewne kłopoty. Rosyjska aktorka, która miała grać główną prostytutkę, okazała się jednak... radziecka i potrzeba było szukać innej. Ta, która ma ją zastąpić, zdolna ponoć i piękna. Mój pierwszy dzień zdjęciowy za cztery dni w Łazienkach. Scenariusz, jak to zwykle u Marty, powstał głównie z myślą o kobietach. Postacie mężczyzn, według Reżyserki są równie „krwiste”, ale jak znam życie i tak pozostaną w bezpiecznym od głównych założeń oddaleniu. Tam będą spełniać rolę luster, w których główne bohaterki mogą się przeglądać – jeśli zechcą, oczywiście. No cóż, dobre i to.

Myślę, że dziwnie teraz zaczynać normalny film. Reżyserzy, którzy podejmują się realizacji skromnych produkcji, zostali wtłoczeni pomiędzy stępy *Ogniem i mieczem* i rozległe łąki *Pana Tadeusza*, czyli między narodowe kicze. Robią więc wrażenie ogrodników, którym na pociechę skapnęła możliwość uprawiania... przyzagrodowych działek. No cóż, dobre i to.

Patrzę czasami na swoją twarz i myślę, że przez długie lata została bezlitośnie i często głupio przeze mnie wyeksploatowana. A tzw. nazwisko wcale nie musi cieszyć. Całkiem niedawno przecież dano mi do zrozumienia, że to ułomność. Wycofano mnie z filmu w ostatniej chwili, po czym udano się



w Kieleckie na poszukiwania innego „żubra”. Takiego, który obok zdrowia i koniecznych predyspozycji miałby na dodatek tę rzadką cechę, że po latach zawodowych spełnień, w wieku sześćdziesięciu lat powiedzmy, nikt o nim nie słyszał. Tacy aktorzy są dziś w modzie. Szkoda. Szkoda wąsów, Drogi Panie! Bo kazali mi do tej roli zapuścić wąsy – zapuściłem, chodzę z nimi po Krakowie i czekam na ewentualną zmianę decyzji. A pies patrzy tylko, szczeka, podskakuje i próbuje na nich zawisnąć. *À propos* pies, Panie Piotrze, Tina wcale nie była w ciąży. To co się z nią stało, nazywają elegancko... urojeniem. Szczenięta były już rozdane, a tymczasem psina zrobiła nas po prostu na szaro. Dobrze chociaż, że nie zapłaciłem za „baraszkowanie”. W ostatniej chwili, kiedy mi podano cenę, najpierw zdębiałem, a potem z całą surowością odmówiłem, wychodząc z założenia, że nawet facet z wyższym wykształceniem bierze mniej. A wracając do filmu, w którym mam wziąć udział, to powiem Panu, że najbardziej cieszę się ze spotkania z Filipem Bajonem i Jurkiem Moniakiem, z którymi zżyłem się w czasie długich miesięcy kręcenia *Magnata*. A przecież jeszcze Andrzej, Ewa i Zosia. O tym, dlaczego nie wolno robić zbyt dużych przerw w spotkaniach z przyjaciółmi, opowiem, jeśli Pan pozwoli, w następnym liście.

Serdeczne ukłony przesyłam

Pański Jan Nowicki

PS W nocy burza z błyskawicami, przed którymi nie chro-
niły nawet zamknięte powieki.

Zakopane, wrzesień 1998



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

Pan zamierza pisać o przyjaźni? Proszę tego nie robić. Wyreczę Pana, bo myślę, że inaczej mam w tej sprawie do powiedzenia. Przez całe lata obserwowałem w Pańskim stosunku do bliskich Mu ludzi pewien... nadmiar naznaczony egzaltacją, wygórowanymi nadziejami, egoistycznym oczekiwaniem na wzajemność. W konsekwencji działa się tak, że często czynił Pan drugiemu i od drugiego oczekiwał tego, co Panu miłe. Wzajemności Pan oczekiwał, co nawet ludzkie, ale w pewnym wieku nie wiem, czy konieczne. Ja natomiast zawsze uważałem, że po odbębnieniu szczęścia pierwszych miesięcy, przyjaźń powinna przemieniać się z wolna w radosny chłód, miły dystans, pobłażliwą kontrolę. W przeciwnym wypadku czeka człowieka... miłość, która przy swych powszechnie znanych walorach, posiada także i tę przykrą właściwość, że kiedyś się kończy.

Nie chodzi mi, rzecz jasna, o żadną kalkulację. Myślę raczej o czulej kontroli serca, którego nie ma potrzeby obciążać zbędną arytmia. Wszystko w Waszym życiu, ze stosunkami międzyludzkimi włącznie, wybaczy Pan, jest rodzajem gry. Trzeba tylko uważać, żeby nie przekroczyć granicy, za którą krzywda. To tak jak z kłamstwem, różniącym się od opowieści tym, że zadaje ból. „Opowieść działa w interesie zarówno słuchacza, jak i opowiadającego”. Ja w każdym razie zawsze starałem się opowiadać. Czasami nie wychodziło, ale liczą się intencje. A definicję różnicy między opowieścią a kłamstwem przejąłem od Steinbecka. Spodobała mi się tak dalece, że uznałem ją za własną. Zdarza się.

Panie Janie Drogi, zdaniem Pana nie należy robić zbyt długich przerw w spotkaniach z przyjaciółmi? Nie bardzo rozumiem. Chodzi Panu o tygodnie, miesiące czy lata? Jestem przekonany, że tego nie można zmierzyć za pomocą czegoś takiego jak zegar albo ekierka. Popularne porzekadło „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”, także ma sens tylko do pewnego stopnia. Bo jeśli naprawdę kogoś lubimy, to po co męczyć go naszą biedą, kłopotami czy nieszczęściem.

Przyjaciel w nagrodę za to, że istnieje, powinien otrzymać lepszą część. Prośba o współuczestniczenie w męczących nas problemach świadczy o słabości, której jak długo można, nie wolno bliskim okazywać.

A jeśli już wpadniemy w prawdziwie głęboki „dołek”, przyjaciel rzeczywiście bliski i tak wyczyta to w naszych oczach. I za brak natręctwa otrzymamy nagrodę – piękne współzucie pozbawione rutyny. Przepraszam, że wyprzedziłem Pańskie zamierzenie, ale w ostatnich dniach właśnie w tych rejonach obracały się moje myśli. Byliście Wy i byłem ja. Spowici tajemnicą, której nijak nie dało się pojąć. Udawaliśmy tylko, za co dziękuję i za co trochę powinniście dziękować mnie.

Znam Pana i wiem, w czym się różnimy. Ale tak to czasem bywa, że przeciwieństwa zamiast dzielić – łączą.

Proszę w odpowiedzi zaskoczyć mnie bardziej niż mniej

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka, wrzesień 1998



Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze!

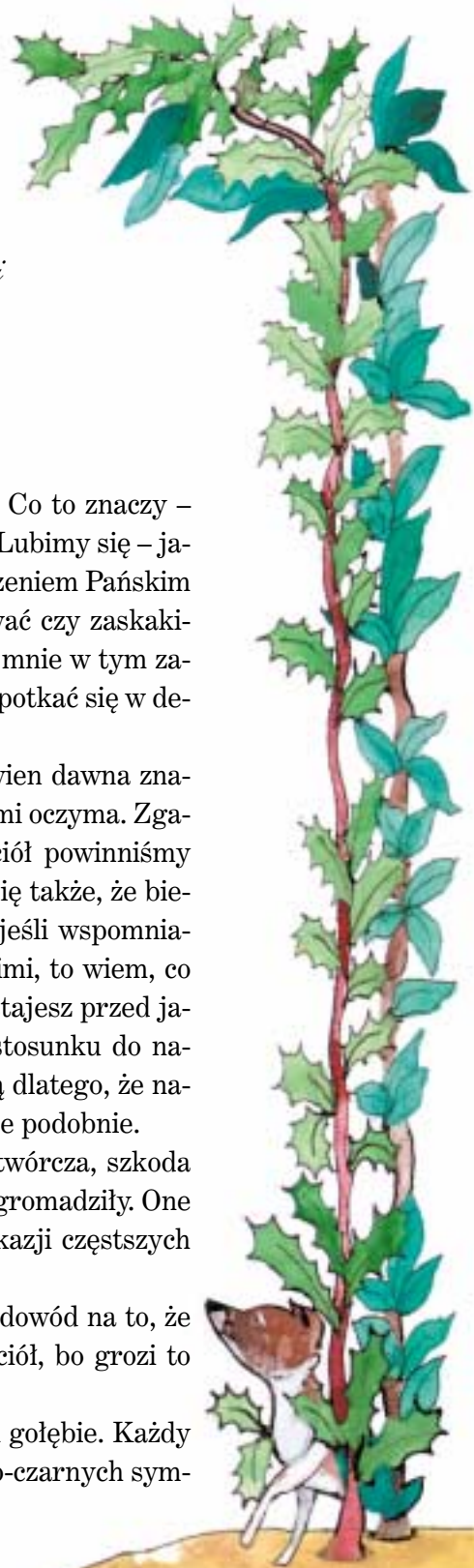
Zacznę od końca Pańskiego ostatniego listu. Co to znaczy – „proszę zaskoczyć mnie bardziej niż mniej”? Lubimy się – jasne – ale to nie znaczy, że jestem za przeproszeniem Pańskim pasikonikiem, który żyje tu, żeby podskakiwać czy zaskakiwać Pana. Chciałem pisać o przyjaźni, a Pan mnie w tym zamięrzeu wyprzedza. Czy tylko po to, żeby spotkać się w definicjach, których od lat jesteřmy pewni?

Po co błyskać latarenką na ścieżkę od dawien dawna znaną? Możemy po niej spacerować z zamkniętymi oczyma. Zgadzam się z Panem, że prawdziwych przyjaciół powinniřmy poznawać raczej w... „bogactwie”. Zgadzam się także, że bieda to raczej kiepski miernik przyjaźni. Ale jeśli wspomniałem o właściwym dozowaniu spotkań z bliskimi, to wiem, co mówię. Jeśli po roku spotykasz przyjaciela, stajesz przed jałową koniecznością rozgryzania wspólnego stosunku do nagromadzonych po drodze drobiazgów. Jałową dlatego, że nawet jeśli myřlicie inaczej, to przecieź w istocie podobnie.

Po to, żeby rozmowa była i przyjemna, i twórcza, szkoda czasu na wymiatanie plew, które się w nas nagromadziły. One powinny być zdmuchnięte wcześniej, przy okazji częřszych spotkań, mimochodem i bez zbędnego kurzu.

A na koniec częřto cytowany przeze mnie dowód na to, że nie wolno nadmiernie oddalać się od przyjaciół, bo grozi to nieporozumieniami.

W dzieciństwie, Drogi Panie, śniły się nam gołębice. Kaźdy wypatrywał na dachu swojej chałupy srebrno-czarnych sym-



boli chłopięcych marzeń o odlocie w nieznany świat dorosłych, który wtedy kojarzył się nam naiwnie z błękitem. Starzy w tym czasie napełniali balie i siedząc na drewnianych zydłach, pochylali nad lustrem wody swoje zmęczone, pozbawione złudzeń karki. Im wystarczał odbity w wodzie gołębi lot. My odsłanialiśmy zęby w zachwycie, patrząc mniej więcej tam, gdzie teraz rezyduje Pan. Oni zaś przygarbieni do ziemi, wypluwali z płuc dym najtańszych papierosów.

Minęły lata, Drogi Panie, dużo lat!

Jeden z tych chłopaków mieszka ciągle *vis-à-vis* starej poczty i ciekaw moich dorosłych spełnień chytrze mruży oczy i pyta: „Masz gołębie? – bo ja mam!”.

Widzi Pan, Drogi Panie? Nie widzieliśmy się... ZA DŁUGO. Teraz już nie mam szans na to, żeby mu czule wytłumaczyć, dlaczego stało się tak, że On już nie pozna moich gołębi. Gdzie się rodzą, któredy przelatują, gdzie odpoczywają, w czym upatrują nadziei i jaki czeka je los. Ostatni raz piszę do Pana z Kowala.

Czekam na odpowiedź

Pański Jan Nowicki

Kowal, wrzesień 1998



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie!

W imię Ojca i Syna... Koniec wieku! – czas refleksji i szaleństwa. Czas, w którym zalękniona radość miesza się z niejasną trwogą. Pamięta Pan, jak bardzo marzyłem o tym, żeby na Mariackim Rynku zorganizować ogromny bal wieńczący stulecie? Chciałem tę szczególną noc spędzić w gronie przyjaciół – czyli wszystkich mieszkańców mojego Krakowa. Niestety. Stało się tak, jak się stało.

Przejechany inną koleją rzeczy, rezyduję teraz tutaj i tylko się przyglądam, i tylko nasłuchuję. Pan przecież wie, że nigdy nie stroniłem od zabawy. Powiem więcej, często – może nawet przesadnie – w radości właśnie upatrywałem sensu ludzkiego bytowania. Zawsze jednak byłem zdecydowanym przeciwnikiem zabawy na siłę. Bo choć motyle skrzydła śmiechu poruszają się najlepiej w powiewie beztróski, to granice pewnej odpowiedzialności powinny być nie tylko znane, ale i nieprzekraczalne.

Zabawa nie musi być głupia, a jeśli nawet bywa taka, to nie wolno żeby swoją głupotę kopiowała. Pomysł jest piękny zwłaszcza wtedy, kiedy wykorzystuje się go raz, ten jeden jedyny raz.

Obserwuję na Ziemi powielaną do znudzenia zabawę w ankiety. Nie ustrzegł się jej także poważany powszechnie tygodnik „Polityka”. Może oni mają kłopoty ze sprzedażą?

Panie, najpierw był *Panteon Polaków XX wieku*, potem *Najważniejsze wynalazki i odkrycia XX wieku*, po nich *Najwybitniejsi aktorzy XX wieku*. Ze zgrozą myślę, że dojdzie do

tego, że po aktorach zajmie się ptakami, potem mężami stanu, a na końcu płową zwierzyną.

Wybieranie aktora XX wieku! – a dlaczego nie piekarza?

Zresztą zabawę „Polityki” można by nawet odebrać jako nieszkodliwą, gdyby nie opinie trójki aktorów z absolutnej czołówki wyżej wspomnianej ankiety, którzy w komentarzach do wyników rankingu wykazali się przesadną dozą autowzruszenia. A od tego, przyzna Pan, tylko krok do nieszczęścia.

Kończę, Panie Janie, i dołączając się do tej nieśmiesznej zabawy, dodam, że Pańskie nazwisko, które odnalazłem w okolicach „pięćdziesiątki”, daje mi tylko jedną satysfakcję – może Pan to przełknąć bez sięgania po zakąskę. A swoją drogą „PORA UMIERACĆ”! – jak mawiał stary Leszczyński.

Bywaj Pan

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Nad wyschniętą sadzawką, wrzesień 1998

*Pan Piotr Skrzypecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

czy zauważył Pan, jak ustawiają na estradach fortepian? Zawsze bokiem do widowni. Otóż to – zawsze bokiem! A wie Pan dlaczego? Aby stworzyć pianistce minimum dyskrecji, koniecznej do odbycia dwuznacznego spotkania z czarnym ptakiem, który pieszczony dotykiem jej palców, przez cały koncert unosić będzie w komicznej ekstazie jedno skrzydło.

Jeszcze zanim wejdzie... ONA, fortepian stoi piękny, majestatyczny i czeka. Uśmiecha się zimno rzędem klawiszy, a widzowie przyglądają się temu z ciekawością i podnieceniem. Podglądają! I słusznie, bo właśnie wchodzi... ONA. Zmierza zaraz, w długiej białej sukni, w stronę milczącego kruka. Przystaje, przygląda mu się przez chwilę z bojaźnią panny młodej, a moment po tym odwraca się niechętnie w stronę pełnej sali, ofiarowując jej ukłon tak głęboki, że aż skrywający twarz pełną obojętności, a kto wie, czy nie także trudnej do uchwycenia pogardy. Siada na czarnym obrotowym stoleczku i nagle nie wiadomo skąd wyciąga białą chusteczkę, którą wolno zaczyna wycierać dłonie.

Patrzając na to, myślisz, że chwilę temu przed tobą – z trzeciego rzędu – stała z wilgotnymi palcami, a temu czarnemu przeznaczy muśnięcie suchych, oddanych bez reszty rąk.

Spogląda teraz w zamyśleniu przed siebie, tam, gdzie pod uniesionym skrzydłem błyszczą zmatowiałym złotem żyły strun i żebra kłapek fortepianu. Chciałbyś wyjść, zanim usłyszysz pierwsze tony, ale do fotela przykuwa cię... grzech. Obecny w niej, w instrumencie i w całej sali. A przecież jest jeszcze on, który to wszystko zaaranżował, największy grzesznik – kompozytor.

Wypełniony negacją, otoczony twarzami naznaczonymi przesadnym skupieniem, ze złością zaczynasz przyglądać się



temu, co wyprawiają palce pianistki i... stajesz się kompletnie głuchy na muzykę. Trwa to długą chwilę, a potem zaczyna cię powoli wciągać ten romans, ten muzyczny peep-show. Po kolejnych utworach jej udręczone pięknem dłonie znowu muszą być dotykane koronką chusteczki. Długim spojrzeniem skierowanym w brzuch instrumentu, oddala zbędne już emocje skończonego utworu i zbiera siły przed następnym.

Zaczynasz słuchać. Zamykasz oczy i zapominasz o tej białej i o tym czarnym. Dajesz się porwać muzyce. Budzą cię brawa. Nie klaszczesz, bo nie umiesz. Patrzysz tylko na kłaniającą się pianistkę i ze zdumieniem odkrywasz, jak bardzo się na początku myliłeś.

A potem lampka wina i ONA samotna w kącie sali, z zielonym kieliszkiem w ciągle niespokojnych palcach, patrząca na ciebie skośnymi oczyma, w których dostrzegasz dwa refleksy – ironii i zachęty.

Wychodzisz w ciemny początek jesieni niewielkiego miasta i włączysz się po obcych ulicach, przepuszczając kolejne pociągi, którymi dawno powinieneś wrócić. Dochodzi 4.30. Wchodzisz do wagonu I klasy relacji Hrubieszów–coś tam. Zamknięte przedziały zasłonięte kurtynami firan otwierasz głośnym szarpnięciem i budzisz ze snu teatr śpiących, którzy w dziwnych pozach rozrzucony po fotelach, przypominają ci rozstrzeliwanych z obrazów Goi. Nie ma dla ciebie miejsca.

Z papierosem w ustach docierasz w poblize toalety, gdzie śpi oparty o drzwi samotny starzec w gabardynowym płaszczu, któremu fragment porcelany dolnego uzębienia opiera się o węzeł krawata. Zbiera ci się na wymioty, ale opanowujesz to pod wpływem surowego spojrzenia skośnych oczu. Słyszysz muzykę zwrotnic miażdżonych kołami pociągu. Czegoś ci żal.

Opowiadał mi o tym, we wrześniu tego roku, jeden przemoknięty facet siedzący na ławce Plant, mój Drogi Panie.

Pański Jan Nowicki

Lanckorona, październik 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie!

Facet na Plantach? Jakiś facet? Dlaczego Pan kłamie? Przecież to był Pan. Znam Pański stosunek do muzyki, życia, kobiet. Wiem także skąd, dokąd i jakim pociągami Pan wtedy wracał. Z Tarnowa, Drogi Panie, z Tarnowa do... Krakowa. Wyjąłem z niebieskiego archiwum stosowną taśmę z nagraniami poczynań Żywych i odnalazłem na niej bez trudu Pana, a także tamtą noc, której się Pan tak niezręcznie wypiera.

Panna Marianna Gumetska, absolwentka specjalistycznej szkoły talentów muzycznych we Lwowie i konserwatorium w Moskwie, jest po prostu wrażliwą i śliczną dziewczyną, która grywa czasem także na fortepianie... i tyle!

A Pan zaraz: – „kruk”, „biała konieczność”, „żyły strun”, „grzech”. Stary facet z Pana, a tak egzaltowany. Przepraszam, że nie ma Pan u mnie dzisiaj dobrego dnia, ale co ja mam robić – kłamać? Przyznam się też, że starca z opadającą szczęką, śpiącego pod drzwiami toalety, zesłałem ja. Miałem nadzieję, że jego uśmiech wystarczy za komentarz do Pańskich wzruszeń. Ale Pan przyjął go z wymiotnym wstrętem – szkoda! Skończmy więc i porozmawiajmy o jesieni.

Dlaczego o jesieni? Bo wiosna, proszę Pana, rozbudza w starcach nierozumne, a słusznie zapomniane pragnienia. Lato wymaga wysiłku, o którym tyle razy mówiłem, że poniża. Zima natomiast to lód, katar i czyhająca na każdym kroku możliwość upadku. Zostaje JESIEN. Arystokratyczna dama, która po wyrzuceniu z salonów lata waha się, czy zaprosić zimę?

Zapraszam Pana, Drogi Panie, na jesienny spacer do Lasku Wolskiego, gdzie wśród oszalałych od kolorów drzew będzie można wlec noga za nogą... bezkarne milczenie dwóch.

Zamiast rozmowy wypuszczać będziemy kółka papierosowych dymów, które bez trudu zastąpią słowa. I niech się Pan nie zamartwia. Wierzę, że przyjdzie dzień, kiedy to żyjąc nawet w tak oddalonych od siebie światach, znajdziemy sposób na spotkanie.

Pański Piotr Skrzynecki

PS Jak się Pan czuje? Mam na myśli zdrowie. Bo jeśli... Żartuję, Panie Janie, żartuję.

Niebo. Ławeczka, październik 1998

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

„Ten popiół na starca rękawie
Popiół spalonej róży całej prawie”
(*Little Giding II*, tłum. M. Sprusiński)

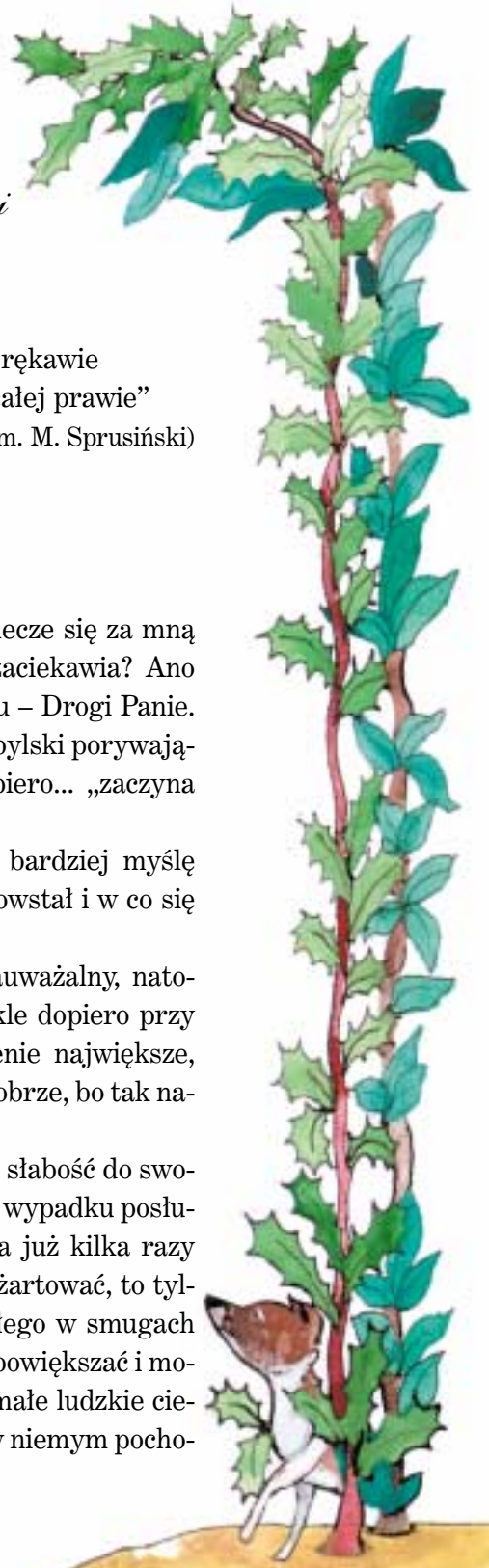
Kochany Panie Piotrze,

ten zdumiewający dwuwiersz T. S. Eliota wlecze się za mną od dobrych paru tygodni. Dlaczego mnie zaciekawia? Ano dlatego, że chodzi tu o górną część garnituru – Drogi Panie. W swoim eseju, *Baśń zimowa*, Ryszard Przybylski porywająco omawia przypadek człowieka, który dopiero... „zaczyna spadać w mroczną otchłań starości”.

Patrząc na zabrudzony popiołem rękaw, bardziej myślę o papierosie, mniej o tym, z czego starzec powstał i w co się nam obróci.

Popiół na klapie marynarki jest łatwo zauważalny, natomiast popiół na spodniach odkrywamy zwykle dopiero przy wstawaniu! I to, powiem Panu, robi wrażenie największe, choć spopielony dziadek miewa się całkiem dobrze, bo tak naprawdę niewiele już go obchodzi.

A pan Eliot pali różę chyba dlatego, że ma słabość do swojego staruszka (może do siebie?), bo w innym wypadku posłużyłby się byle liśmi albo łętami kartofli. Ja już kilka razy strzepywałem z siebie popiół i jeśli próbuję żartować, to tylko dlatego, że postrzegam siebie prawie całego w smugach cienia. A cienie, jak Panu wiadomo, lubią się powiększać i może dlatego na końcu toniemy w mroku. My, małe ludzkie cienie, jak już stworzymy gromadkę, ruszamy w niemym pochodzie do krainy Nocy.



Drogi Panie Piotrze, dzisiaj jest mi bardzo, bardzo smutno, z powodu o którym do końca nie powiem. Słowa wypływają jakby spoza mnie, z jakiegoś przykrego sąsiedztwa. Piszę do Pana bez orientacji i ze strachem. Piszę, mimo że tego pisanie nie powinno być. Przecież w tej chwili, Panie Piotrze, czyjeś serce bije pod białą prześcieradła i domaga się powrotu do domu. A ja temu sercu nie potrafię pomóc. Jedyne co mogę zrobić, to rozboleć się samemu. Ale to tak mało, tak strasznie mało.

Myślę sobie, że największą karą, jaka może spotkać Don Juana, jest żarliwa modlitwa do Boga, w którego istnienie ten nieszczęśnik nie wierzy.

Proszę Pana, Panu jest bardziej po drodze. Niech Pan w najprostszycy słowach poprosi kogo trzeba, żeby to czyjeś serce wróciło jednak do domu. Dostyc się już nachodziło, nabiło, natrzepotało. Czas wracać. Jeśli Pana wysłuchają, przysięgam, że zrobię wszystko, aby załatwić Panu krótki pobyt na Ziemi. Krótki, bo mówią na mieście, że długo nie można i nie trzeba. A poza tym – po co?

Pozdrawiam Pana, mój Panie

Pański Jan Nowicki

Kraków, październik 1998



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

jak tylko sięgam pamięcią, zawsze byłem utyłany w popiele. Kątem oka dostrzegałem wprawdzie jakieś tam popielniczki, ale dziwnym trafem mój papieros nigdy nie mógł zdążyć. Do szarych plam spalonego tytoniu dochodziły także wypalone w materiale rude kraterki – ale kto by się TYM zajmował.

Teraz nie palę, ale z popiołem – jak się Pan domyśla – jestem za pan brat. Prosił mnie Pan o interwencję w sprawie... serca, które zdaniem Pana marzyło o tym, żeby wrócić do domu. Ciekawe, od kogo się Pan o tym dowiedział? Przecież nie od samego serca, bo ono biło przyspieszonym rytmem w zupełnie innej sprawie. Miejsce, na którym obecnie Pan żyje, często określa się – „najlepszym ze światów”. Dlaczego? Czy spotkał Pan na Ziemi choćby jednego wędrowca, który zwiedził wszechświat?

Co Wy poza marzeniami i informacjami z kruchut kościelnych wiecie o miejscu, w którym przebywam?

Nie chciałem o tym mówić, ale miałem nadzieję, że domyślał się Pan, iż w mojej tęsknocie za Krakowem było wiele, może nawet za wiele – kurtuazji.

Że zazdrość przywoływałem po to, żeby do Pańskiej satysfakcji dosypać kolejną szczyptę.

Przychodzi taki moment, Drogi Panie, kiedy Duszy nie trzeba wzywać do nas. Ona sama przychodzi. Ostatnie uderzenia serca to już nieśmiało stukanie do Bramy Niebios.

Proszę, niech Pan dokładnie obserwuje losy ludzi i świata.

Umierają przecież wszyscy i tylko pycha, która wzbiera w Was od maleńkości, pozwala Wam o tym zapomnieć.

Pan próbuje wierzyć i to jest w porządku.

Was przecież czeka ciężka praca nad codziennym utwierdzeniem się w wierze. A nie bezmyślne przeżuwanie paszy, którą podrzucają – cóż z tego, że dobrzy skoro bezmyślni – pasterze.

Serce, o którym Pan wspomina, nie musi już odmierzać czasu. Myłone niesłusznie z zegarem, odpoczywa po trudach ciężkiego życia, po to, żeby po przebudzeniu towarzyszyć losom tych, za którymi tęskni i których tutaj oczekuje.

Mimo wszystko pal Pan mniej

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. W cieniu skały, październik 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

no... no... no...! Przejrzałem nasze dwa ostatnie listy i powiem Panu, że mnie przygięło. Widzę teraz, że poważnemu myśleniu o życiu i o śmierci powinno towarzyszyć... milczenie. A jeśli już muszą się pojawić słowa, to wypowiadajmy je raczej szeptem. W cieniu małych kapliczek albo wielkich drzew.

Szkoda – człowiek bardzo chciałby zrozumieć, nazwać i powiedzieć.

To samo zresztą dostrzegam w naszych ziemskich miłościach. W tej jednej zwłaszcza. Na początku pojawia się nieodparty czar oczekiwania – potem zniewalający urok trwania. A potem to już czarna pustka – końca. Wszystko to jednak – gdy nienazwane – zachowuje konieczną klasę i powagę. Ale jak ktoś się zabierze do nazywania... to zmiłuj się, Boże.

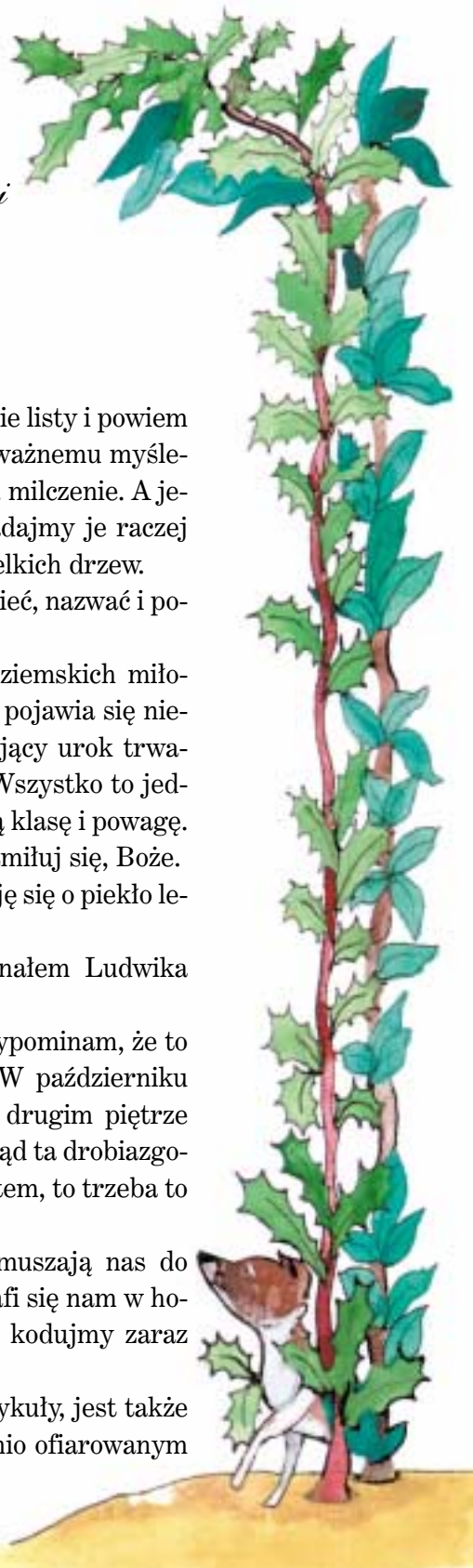
Pozwoli Pan, że teraz wrócę tam, gdzie czuję się o piekło lepiej, do... życia.

Panie Piotrze Drogi, jaka radość – poznałem Ludwika Stommę!

Pan go przecież zna, ale dla porządku przypominam, że to ten, który ma stały felieton w „Polityce”. W październiku 1998 roku spotkałem Go któregoś dnia na drugim piętrze gdańskiego hotelu „Hanza” w pokoju 206. Skąd ta drobiazgowość? Ano stąd, że jak facet okazuje się facetem, to trzeba to dobrze zapamiętać.

Nasi starzy przyjaciele coraz częściej zmuszają nas do smutnego poznawania „kwater”, więc jak trafi się nam w hotelu nowy, wesoły, a przy tym mądry gość, kodujmy zaraz w sercu jego numer – bo szans coraz mniej.

Ludwik S., poza tym że pisze książki i artykuły, jest także od wielu lat profesorem Sorbony z dożywotnio ofiarowanym



autorytetem. Zdziwiłem się, proszę Pana, że coś takiego w ogóle istnieje.

Profesor Stomma zatem – to szczupły, świetnie ubrany mężczyzna, młodszy ode mnie o równe dziesięć lat.

W tym miejscu nie mogę sobie odmówić przyjemności osobistej refleksji, która bierze się z tego, że przez całe lata byłem najmłodszy i najchudszy, a od pewnego czasu... sam Pan z góry widzi.

Już kończę, Drogi Panie, już kończę.

Może tylko ostatnie zdanie dotyczące mojego nowego Znajomego. Ostatnie, bo niekłamana sympatia nudzi najbardziej.

To jest ktoś! – Panie. Wolny i zamknięty. W zależności od tego, co w dany dzień serwuje życie – Europejczyk, Światowiec albo Prowincjusz. Młody i stary. Pokorny i nieznoszący sprzeciwu. To jest Pan, który najbardziej ze wszystkiego pamięta pierwszą bułkę z szynką, podaną Mu przez sztachety stadionu „Wisły”.

To jest Gość, którego dobrze było odwiedzić w numerze hotelowym, za którego oknami ciało „SOŁDKA” zanurzone w cieczy, tracąc pozornie na swym ciężarze, unosiło swój kadłub na niewidzialnej fali – bardziej dumy niż wstydu.

Pozdrawiam, pisz Pan, proszę

Pański Jan Nowicki

Gdańsk, listopad 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

„pisz Pan... pisz Pan!”, a co ja innego robię? Dlaczego mnie Pan ponagla? W marcu bieżącego roku umówiliśmy się na stałą korespondencję publikowaną w gazecie, do której obaj mamy słabość. Przyznam, z początku mnie to nawet bawiło, ale od pewnego czasu...

Znamy się nie od dziś i sam Pan wie, że całe życie źle radziłem sobie z narzucaną mi dyscypliną. A Pan nie, tylko co tydzień, co tydzień! Czuję się jak stara sieczkarnia, która marzy, by opadł kurz. Listy od Pana – proszę bardzo – mogę otrzymywać choćby codziennie, ale odpisywanie, przez regularność właśnie, staje się drażniące i w jakimś sensie – nie moje. Trzeba by mieć anielską cierpliwość, a ja nie tylko do niej nie doszedłem, ale się nawet nie wybieram.

A tu, Drogi Panie, święto za pasem. Moje święto, nasze święto... ŚWIĘTO ZMARŁYCH.

Justyna podsłuchiwała, że na jeden Zaduszny Dzień mają nam zwrócić ziemskie oczy, którymi będziemy mogli patrzeć na Was. A także uszy dla wysłuchania Waszych rozmów i zmysł powonienia, żebyśmy mogli przypomnieć sobie zapach liści kasztanów, zapach stearynowych łez.

Zauważył Pan, że ze wszystkich ziemskich świąt, nasze święto jest najpiękniejsze? Brzmi trochę megalomańsko – wiem – ale to prawda. Wiejskie cmentarze, obok których Pan przejeżdża, cmentarze dużych miast pocięte mrokiem alej, cmentarze oglądane z wysokich drzew, albo z wieży kościoła, przypominają wigilijne choinki, które ktoś rozłożył przy samej ziemi. Jak wielki dywan kwiatów, kamiennych rzeźb i setek tysięcy płomieni. Do nagrobnych świec – nie wiem, czy Pan zauważył – żaden idiota do tej pory nie podłączył prądu.

Na szczęście. Ich ogniki pulsują beztrąsko w mroku, rzucając na twarze cmentarnych gości raz światło, raz cień.

W tych roztańczonych cieniach jesteśmy my.

Zmęczeni oglądaniem, podsłuchiowaniem i wzruszeniami, wpadamy czasem na pięciominutową drzemkę do naszych dawno porzuconych kwater, ale budzimy się zaraz i wracamy na górę, żeby jak najmniej uronić z szansy, jaką nam daje ta jednodniowa przepustka.

A czy Pan wie, co nas najbardziej w taki dzień wzrusza?

Pan myśli, że modlitwa? – to też. Najpiękniejsze, najbardziej poruszające są Wasze, dzięki nam odbyte, spotkania. Wasze omawiane szeptem sprawy żyjących.

Wasze: „przyjechałeś”, „nic się nie zmieniłaś”, „czy skończyliście dom?”, „Krysia wyszła za mąż – wiesz?”, „Zosia w ciąży”, „jak się czuje Hanka?”, „co u Leszka Markiewicza?”, „czy Jurek z Halinką dojadą z Myśliborza?”.

Słuchając tego, czujemy się szczęśliwi i ciągle potrzebni. Z dumą stwierdzamy, że ani Boże Narodzenie, ani Wielkanoc nie powodują tylu dobrych, jakże potrzebnych spotkań.

Nikt nie siada do stołu, nie sięga po buteleczkę. Stoicie czasem na zimnie, stukacie butem o but, wciągacie fioletowo-czerwonymi czubkami nosów katar wzruszenia i w krótkich chwilach zadumy poświęconej nam, ścieracie skórzaną rękawiczką nieistniejący szron z pomników.

Tym szronem – jeśli chcemy – w ten dzień możemy być także my. Wasi zmarli. Wasi zmarli, to swoją drogą niezłe określenie.

No i te kwiaty! Chryzantemy, róże, lilie, astry, bratki. Kwiaty, kwiaty, kwiaty. Nagromadzone tu w najdelikatniejszej z delikatnych intencji. Kwiaty – świadectwo największej urody świata. Największej, bo krótkotrwałej i przemijającej. Urody zaczynającej się od uśmiechu zielonego kielka, który tuż po zobaczeniu świata odrzuca na bok pecynkę ziemi, a kończącej się na trupim zapachu wody wylewanej z wazonu.

Przepraszam, że nie było wesoło na końcu, ale cóż... taki jest los kwiatów.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Oparty o wyschnięty pień, listopad 1998

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze!

Pan jak się dorwie do święta, to nie można Pana oderwać. Widzę, że Pańskie zamiłowanie do tego, co dzisiejsza młodzież nazywa „imprezowaniem”, sięga aż poza kraniec końca. Poruszył mnie pan ostatnim listem – przynaję – ale także rozbawił. Zapędził się Pan, Drogi Panie, samowzruszył, przesadnie roztkliwił. Jeśli ktoś nie ma prawa przechwalać się czymś tak kruchym jak życie, to niechże chociaż nadsyła umiarkowanie wesole sygnały bytowania cieni. To, co mi w Pana słowach bliskie, to – „omawiane szeptem sprawy żyjących”. O nich przecież myślałem, pisząc parę słów pożegnania, wygłoszonych później nad trumną nieodżałowanego Jerzego Bińczyckiego. Pozwoli Pan, że przypomnę:

Drogi Jerzy,

od paru dni spoglądają na nas surowe oblicza klepsydr i anonsów żałobnych. A potem – jak to zwykle – nastąpi czas wspomnień, wywiadów, artykułów i innych – bardzo serdecznych – niepozobawionych rutyny drobiazgów.

Zauważyłeś, Kochany, że najlepsze recenzje otrzymujemy zawsze... po śmierci? Całym swoim zawodowym życiem dawałeś świadectwo słuszności wyboru profesji. Ale nawet w tej sytuacji, ktoś czasem próbował Cię w to lub owo uszczypnąć. To nic! Na tym właśnie polega życie! Tak ma być! Za to teraz, już tylko będą przytulać Cię i głaskać. Bardziej ze względu na siebie. Bo mimo wszystko, ceny miłości do człowieka, który odszedł, nie da się porównać z ceną miłości, jaką powinniśmy obdarzać każdego człowieka, który żyje pośród nas.

To tylko tak na... marginesie.



Bo czy to się komuś podoba, czy też nie, wezwał Cię do siebie ON. ON, któremu nie wolno się przeciwstawiać. Pomyślmy raczej czule o tych, których „opuszciles”. Razem będziecie jakiś czas czekać na rychłe spotkanie. Nieogarniętą tajemnicą pozostanie fakt, kogo ból oczekiwania dotykać będzie więcej. Ich czy Ciebie?!

Wybacz, Drogi, że dzisiaj więcej myślę właśnie o nich, a mniej o Tobie. Zostawiłeś mało przyjazną aurę początku października, w której moknąć będzie Twój nieprzygotowany na przyjscie jesieni ogród. Zostawiłeś piękne oczy Elżbiety, w których przepastne zdumienie i trwoga, że może jednak zniknąłeś na zawsze. Zostawiłeś chłopięcy smutek Jaśka. Bo w tych dniach okrutny skalpel losu odciął go na zawsze od krainy dzieciństwa.

Miałeś coś z gospodarza, coś z rolnika. Twoje ogrody, Twój Bogumił z *Nocy i dni* zaświadczaają o miłości do ziemi.

Teraz ziemia w czułym rewanzu przyjmuje Ciebie.

My tutaj, na jakiś czas jeszcze zostajemy.

I mimo że coraz trudniej w cokolwiek wierzyć, marzę o takiej sytuacji, kiedy to Twoi najbliżsi – Drogi Przyjacielu – staną się nieformalnymi, ale przez to najbardziej... kochanymi członkami rodziny Starego Teatru.

Wierzę, że zmarli jak nikt integrują żywych.

A jeśli Twoja śmierć tego nie potwierdzi, oznaczać to będzie, że trumnę, w której spoczywasz, otaczają dziś martwi.

Do zobaczenia, Kochany.

Widzi Pan, Piotrze, że obracamy się wciąż w kręgu smutku, ale mimo to myślę, że trzeba pamiętać o granicy, za którą przesada.

Proszę. Ja się postaram

Pański Jan Nowicki

Kraków. Kawiarnia „Maska”, listopad 1998





*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

weselej Pan chce? – dobrze, postaram się, żeby było wesoło.

Pogadajmy zatem o terroryzmie!

Ale nie o tym, kiedy na oczach przerażonego świata, często w imię absurdalnych i chorych idei, giną niewinni ludzie. Takie dramaty zasłońmy stosownym kirem, bo tutaj pojawić się mogą wyłącznie bezsilne łzy. Obok tego jednak dają się zauważyć okrucieństwa drobniejszego kalibru. Terror małej jak ptaszek z zainfekowanym dziobem, delikatny jak puszek mleczka, który, gdy wpadnie do krtani, potrafi jednak przydusić; liryczny zapach świeżego siana, ale kiedy w nim dłużej pośpisz, obudzi cię ból głowy połączony z mdłościami. Chodzi mi o terrorkę, którego istnienia nie dostrzega często sam terrorysta.

Znałem takiego jednego na przykład, który od rana terroryzował nas nadmiernie wyszukanymi manierami. Chłopisko nawet się przy tym specjalnie nie utrudziło, bo miało to we krwi. Ale ja pod wieczór ślaniałem się ze zmęczenia. Siedzieliśmy – bywało – przy wódeczce, w większym towarzystwie, które aż pulsowało od zmiennych zachowań, a ten nie tylko... kultura, *savoir vivre*, *bon ton*. Był tak druzgocąco *correct*, że gdy kiedyś zdarzyło się księciu do tego stopnia po plebejsku kichnąć, że „gil” owinął mu się dwa razy wokół szyi, świadkowie wydarzenia nawet nie drgnęli. I nikt nie wyciągnął do ekscelencji ręki.

Przypominam sobie też pewnego zawodowego satyryka, któremu życie upływało na ciągłym demonstrowaniu znakomitego poczucia humoru. Nawiasem mówiąc, facet był nawet całkiem dowcipny, tyle że gubiła go zachłanność. Terroryzował nas anegdotami, wicami, powiedzonkami. Nie wystarczał

mu jeden śmiech, trzy, osiem dziennie. On chciał, żeby cały świat od świtu do zachodu słońca odbierał z ożywieniem to, co mówił. Lubiliśmy go i gdzie się tylko dało, wychodziliśmy mu naprzeciw. Ale czasem sytuacja stawiała się do tego stopnia męcząca, że zgodnie przestawaliśmy reagować. Wtedy on, nie kryjąc rozczarowania, odchodził. Na chwilę co prawda, bo już wieczorem można go było oglądać w telewizorze, gdzie znowu był dowcipny. Jednak wtedy wystarczyło nacisnąć stosowny guzik.

Do dziś mam przed oczyma pewną brunetę, którą kiedyś po krótkiej nocy obudziło niepodważalne poczucie, że powaliła partnera siłą erotycznych uniesień. I gdyby to, proszę Pana, prześciliła, przetrzepała, wywietrzyła, złożyła w kostkę i schowała pod poduszkę, problem umarłby naturalną śmiercią buduaru. Ale gdzie tam, ona postanowiła rzecz uogólnić, rozszerzyć i przetransponować. Tak, tak, Panie Janie – przetransponować na śpiew. Stąd jeszcze przez szereg zim doświadczać będziemy piosenek, w których niezależnie od tematu (Bóg, honor, ojczyzna) na Waszych oczach rozgrywać się będzie falujący dramat nieistniejących bioder i pulsowanie biustu, którego istnienia oprócz właścicielki nikt się nie domyśla.

Od dawna obserwuję także wielkie indywidualności, którym nie wystarcza powodzenie w poleconych im przez Boga profesjach. Mało im sławy, pieniędzy, nagród, splendoru, wzruszeń. Oni za życia próbują wymusić dla siebie nieśmiertelność. Na skrótów niejako, pełnym głosem, prostymi jak drut sformułowaniami. Czasami proszą, ale w większości żądają miłości. A jeśli jej nie wyjdiesz naprzeciw, postawią cię zaraz w rzędzie zawistnych prowincjuszy, którzy nijak nie potrafią pojąć szczęścia, wynikającego z faktu życia w towarzystwie współczesnych geniuszy, którzy są tak przystępni, że zdobywają się czasem nawet na kupno domu stojącego przy tej samej co twoja ulicy. O parę numerów dalej – na szczęście.

Nasi intymni terroryści.

Przesyłam ukłony

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Dolina uśmiechu, listopad 1998

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

obchodziliśmy tu niedawno 50-lecie Szkoły Filmowej. Tutaj, to znaczy w Łodzi. Zadzwonił do mnie jeden z organizatorów tzw. gali z pytaniem, czy miałem jakiś związek z uczelnią. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że tylko jeden, ale za to zasadniczy. Wyrzucono mnie z niej, w latach powiedzmy... 70. Pan Andrzej K. (bo o nim mowa) niezrażony tym powiedział: „Wystarczy”. „Wystarczy” zrozumiałem tak, że dzięki relegowaniu mogę wystąpić teraz przez chwilę na scenie Teatru Wielkiego. Chodziło, jak się Pan słusznie domyśla, znowu o piosenkę. Czemu nie! Kiedyś już się śpiewało, z jeszcze gorszym skutkiem. Recydywa, Drogi Panie, recydywa.

Pierwszy wypadek miał miejsce podczas Festiwalu Piosenki Aktorskiej, na którym licznie zebrani wrocławianie mogli się przekonać, że da się śpiewać nawet po tym, gdy orkiestra dawno przestała grać. Albo odwrotnie. Przypadek ten, jak Pan pamięta, zrecenzowałem sumiennie w liście otwartym do Luciano Pavarottiego.

Panie Kochany, widownia jest wielka jak smok, a strach przed nią jeszcze większy.

Człowiek przy śniadaniu dysponuje jeszcze odrobiną głosu, ale wieczorem po wypaleniu dwóch paczek papierosów, czekając na swoje wyjście, czuje, że utracił nawet ten drobniak. A tu trzeba wokalnie zaistnieć. Chodzi więc po korytarzach opery i szeptem śle do Boga prośby o odwołanie koncertu. Przedtem odbywają się próby, które mają tak dalece wyszukaną specyfikę, że gość z teatru czuje tylko swe powolne opadanie na psychiczne dno. Patrząc na tych barwnych, rozluźnionych, emanujących znajomością rzeczy ludzi, czuje się gorszy od elektrycznego kabla, od byle żarówki.



Nie możesz Pan przepróbować piosenki pięć, sześć razy, bo taki przywilej ma tylko gwiazda. Ona jeśli to zrobi, pozostawia po sobie świadectwo mrówczej pracy i profesjonalnej odpowiedzialności. Natomiast łachudra śpiewająca raz na trzy lata, gdyby zechciała prześpiewać parę razy, stawia się w roli przesadnie ambitnego amatora, który przyjechał po naukę. Nasz dyletant próbuje więc raz, półtora – po czym znika wstydliwie za kulisami, gdzie ukradkiem ociera dwie łzy. Pierwszą, bo właśnie... nie poszło, drugą, bo jak wybije godzina zero, dopiero... nie pójdzie.

Na domiar złego, koncert, jak już wspomniałem, odbywa się na scenie Teatru Wielkiego i siedzisz Pan w garderobie, na której wisi mosiężna tabliczka z napisem: „Soliści”. I jak inspicjent wzywa Pana na scenę, też nazywa Pana – „solistą”. Groza. Mnie to dopadło akurat w ustronnym miejscu korytarza, gdzie modliłem się przed wydrapanym na ścianie krzyżykiem o trafienie w tonację.

A potem jakoś się jednak wychodzi, gdzieś się stoi, coś się nuci, a następnie schodzi. Wolno, wolniutko, niby świadomie jakby w nastroju piosenki... do kulisy!!! A dalej galopem, gubiąc po drodze szal, do garderoby, gdzie litościwe ręce Piotra G. podają ci stosowną buteleczkę. Trzy potężne łyki i wydaje ci się naiwnie, że zmywasz tym hańbę.

A za trzy latka, znowu... hajże, na estradę!

Pana to śmieszny, wiem, ale proszę nie zapominać, że Pan był legendą kabaretu

Pański Jan Nowicki

PS Drogą Panie, tak naprawdę to napisałem nie o tym. Trzymam się jak mogę naszego założenia, żeby było w miarę śmiesznie, ale przecież w ten wieczór przeżyłem rzecz o niebo ważniejszą. Otóż na ogromnym przyjęciu pod namiotem zebraли się absolwenci Filmówki, którzy zjechali tu z całego świata. Było pięknie i wzruszająco. W pewnym momencie Jo-

ła powiedziała mi, że gdzieś tu jest Kuba Goldberg, że widzia-
no, jak się zbierał do wyjścia. Wybiegłem za nim i zacząłem
szukać po furtkach, bramach, chodnikach. Nie widziałem Go
przecież dziesiątki lat. Musiałem zobaczyć i... zobaczyłem.
Staliśmy, patrząc na siebie, uśmiechnięci głupkowato, przy-
garbieni, ze łzami, które dodały nam lat. Zacząłem całować
jego rękę.

A wie Pan dlaczego? Bo wiedziałem, że to nasze ostatnie
spotkanie. Że goniąc za nim, z tym głupim sercem na ramie-
niu, próbowałem przegonić dwie śmierci naraz. Jego i moją.
Moją i Jego.

Gdziekolwiek Pan jest – lubię Pana.

Łódź, listopad 1998



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

któregoś dnia zdałem sobie sprawę, że Pan całkiem niedawno skończył 59 lat. Mój Boże, jak się Pan postarzał. Jeszcze chwila i mnie Pan przegoni. Zawsze dzieliło nas 9–10 lat, ale teraz już mi lat nie przybywa, bo tutaj czas się zatrzymał. Myślę, że to jeden z nielicznych blasków krainy cieni.

Czego ja mam Panu życzyć, Drogi Panie?

Najłatwiej byłoby życzyć zdrowia, ale przecież to staje w całkowitej sprzeczności z moimi oczekiwaniami na rychłe spotkanie. Z kolei jakoś nie wypada życzyć Koleżce... braku zdrowia. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Wybierz Pan coś dla siebie, a ja temu pobłogosławię. Nieelegancko – prawda – ale dzisiaj nie umiem inaczej.

Kiedyś wspomniałem Panu o starym kalendaryku, który przypadkiem zawędrował tu ze mną. Wczoraj wyleciała z niego stara fotografia, na której odnalazłem nas.

Panie, jak ja dziwnie tam stoję, jaką mam głupią minę. I jeszcze ta książka w prawej ręce. Czy nas wtedy fotografował Pański Łukasz? W jakim to było mieście i dlaczego Pan ma takie



śmieszne spodnie? *À propos* cieni. Proszę, niech Pan zwróci uwagę, że one są za nami. Panie Janie Drogi, czy my na tym zdjęciu stoimy jeszcze, czy już leżymy? Bo jeśli leżymy, to ci dwaj faceci w kapeluszach mogą być tylko stojącymi cieniami cieni leżących.

Pan zauważył, że każda fotografia przypomina pieczętkę odcisniętą na jakimś końcu? Wysłałam Panu tę fotkę, bo nie chcę jej tutaj. Panu dostarczy może odrobiny złudzeń, a mnie... o mnie nie mówmy.

I jeszcze zeschniętą konwalię. Obrzydliwe świadectwo skłonności do sentymentów. Ją także wysłałam.

Weź ją Pan łaskawie na swoje urodziny. Mało miejsca, mały kwiat, trochę bolesnej pretensji.

A na koniec jeszcze jedno, bo dzisiaj musi być krótko. Proszę podziękować kolegom za ten wieczór, który zorganizowaliście w rocznicę moich urodzin na deskach Teatru Słowackiego. W Imię Ojca i Syna... – świętowaliście dzień moich urodzin!!! To wzruszające, a przy tym, kto wie, może i mądre. A wie Pan dlaczego? Bo kabaret nigdy nie umiera, Drogi Panie.

Pozdrawiam Pana z mojego „gdziekolwiek”

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. W archiwum starych ksiąg, grudzień 1998



*Pan Piotr Skrzyncecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze!

„Koreanki” – bo chyba tak się nazywają. Tydzień temu, a może wcześniej, ciepłe ręce Marty włożyły je do szklanego wazonu. Białe, żółte, czerwone. Te ostatnie zresztą uciekły zaraz w jakiś bordowopąsowy odcień, ale mogę się mylić, bo zawsze miałem problem z kolorami. Rzecz nie tyle w chorobie, co w lęku przed jednoznacznym określeniem barw. Od paru dni, zaraz po przebudzeniu, wlokę się do największego pokoju i patrzę na te moje kwiaty. Patrzę i nie mogę się nadziwić, dlaczego one ciągle świeże – skoro nieświeże. Kiedyś ktoś mi powiedział, żeby do kwiatów przemawiać. Mówię więc: „Kwiatki, kwiatuszki, napatrzyliśmy się na siebie, nawyglądałyście, napachniałyście, to teraz trochę przestańcie”. A one nic, tylko ciągle są w miarę młode. Bo ja wiem, może dzięki temu miazdzeniu końca łądyg, moczeniu we wrzątku, od aspiryny młode. I jeszcze od świństwa, kupionego w kwaciarni za rogiem.

Niech ja tylko dostanę w ręce tego, który mi podpowiedział, jak przedłużać życie kwiatom! Panie Piotrze Drogi, jeśli ich uroda nie przeminie do końca tygodnia, to ja się wyprawdzam. Razem z psem. Jemu przynajmniej jestem potrzebny. Bo one stały się samowystarczalne do tego stopnia, że obywają się już nawet bez wody. To znaczy piją, ale co to za picie.

Pisząc, kątem oka podziwiam trochę wschodnią wytrwałość moich „koreanek”, ale zaczynam się bać. Bo jeśli one nigdy nie opadną, to co będzie? Zobacz Pan, lękam się pozbawionych korzeni, pokojowo nastawionych kwiatów. Do tego doszło. Idiocieję? Nie od dziś – wiem. Ale teraz jakby raźniej, z większą determinacją i przytupem.



Panie Piotrze Drogi, proszę mi powiedzieć, skąd się to bierze, że pisząc do Pana, uciekam czasem w rejony nie do końca jasne – przez to staję się bardziej bezbronny. Chciałbym rzec, że to za sprawą Pana, ale wtedy będzie jeszcze głupiej. Biedny, próbuję rzeczy niemożliwych – zatrzymać Pana.

Ale, ale, mieliśmy przecież o kwiatach. Tadeusz Konwicki powiedział kiedyś, że końca nie trzeba odbierać historycznie, że każdy koniec jest wpisany w odwieczny porządek. Żeby jednak tak myśleć, trzeba mieć charakter i poczucie honoru. A tego ostatniego brakuje właśnie moim „koreankom”, a także niektórym starym dzieciom, które jak ognia boją się prawdziwej dojrzałości.

Proszę przyjąć pozdrowienia

Pański Jan Nowicki

PS Byliśmy z Martą w Afryce. Dużo kotów!!! Tysiące kotów. Wziąłem ze sobą trzy książki: *Pieska przydrożnego* Czesława Miłosza, *Mitologię Greków i Rzymian* Zygmunta Kubiaka oraz *Podsluch* Filipa Bajona.

Jeden zachwyty, jedno zdziwienie, jedno totalne rozczarowanie.

(Dla utrudnienia dodam, że wrażenia z lektur nie mają nic wspólnego z kolejnością tytułów, które podałem wyżej).

Kraków, grudzień 1998



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

co się z Panem dzieje? Właśnie teraz, kiedy wstępuje we mnie Nowy Duch, Pan się ślania? Proszę, niech Pan nikogo nie słucha. Jak mówią Panu, że są właśnie święta Bożego Narodzenia i że wypadałoby do nich w naszej korespondencji nawiązać – też niech Pan nie słucha. Trzymajmy się właściwego nam porządku wzruszeń, bo inaczej utoniemy w potoku ogólnych łez, za którymi Pan także nie przepada. Rok nawet nie minął, a Pana już nachodzą wątpliwości i nosi się Pan z zamiarem przerwania korespondencji? Ja chciałbym, żeby ona trwała aż do ponownego podjęcia rozmów, przerwanych z przyczyn od nas niezależnych. Panie Janie, jak to – teraz Pan? Przecież to ja jestem od zniecierpliwienia i nudy. Pan, jak przystało na mieszczanina, powinien rozglądać się po świecie tak długo, jak długo będzie Panu dane. Rozglądać się, słuchać, a potem donosić mi o rzeczach, których niezmiennie jestem ciekaw.

Tylko proszę pisać o sprawach prostych – prosto. Bo czasem – muszę to wyznać – daje się Pan wciągnąć w otchłań tak zwanych głębszych refleksji. A one nigdy nie były Pańską najmocniejszą stroną. A zatem prościutko, Panie Janie. Ulica, domy, pies, znajomi, nasze dzieci, nasi starcy, gazety, Pańska Marta. Małe rzeczy, Drogi Panie, drobne, zastanawiające cegiełki, „małe rzeczy foremne” – jak pisał Gałczyński.

A jeśli zwyczajnie, no to macie tam teraz zimę!

Myślę o tym, co by się stało z wielką taflą lodu, którą jakiś tajemniczy olbrzym zdjąłby z zamarznętego jeziora po to, żeby ją przynieść tutaj i położyć na niezmierzone hektary żół-

tych łąk, widzianych z okien mojego domu. Co by się stało przy zetknięciu trawy Nieba z lodem Ziemi. Jestem tu wprawdzie jakiś czas, ale przez to unoszenie nie wiem nawet, jaka na samym dole temperatura. A gdyby tak lód się nie roztopił, dopiero byłaby frajda. Pan nie wie, bo Pan tam czasem po ludzku marznie. Pan nawet nie przypuszcza, jaką radością są szczypiące od zimnego wiatru uszy i dłonie. Jak to cudownie boli. Drwił Pan nieraz z moich zaczerwienionych rąk, a ja teraz najchętniej włożyłbym je w przerebel. Żeby odmrozić, żeby odmrozić jeszcze raz.

Dlaczego Pan nie pisze o zimie, o pierwszym śniegu?

Gdy spadł, witałem go zaraz rozpiętą koszulą i rozwianym na wietrze szalem. Chciałbym... żeby ta biel, żeby... z tą bielą unieść się ponad korony drzew, ponad dachy krakowskich kamienic. A ludzie nie, tylko żebym się zapał. Nierozsądnie i niemądrze, bo przecież w końcu nie o zaziębienie poszło.

Dochodzą mnie słuchy, że Pan za dużo pali i pije. No i co ja mam w tej sytuacji powiedzieć? Rób Pan, co chcesz. Tylko proszę, żeby Pan całkiem nie zmarniał, bo trochę byłoby żal. Umiar – Boże Mój Kochany – jakie to obrzydliwe. Ale za przekroczoną granicą także niepięknie. Słowem, sytuacja bez wyjścia. Może, bo ja wiem, śpij Pan mniej – co ja mówię! – Śpij Pan więcej! Zdrowia to nie przysporzy, ale przynajmniej prześpisz Pan trochę butelek i paczek.

Tymi nieprecyzyjnymi uwagami na temat prowadzenia się w życiu doczesnym kończę dziś, Drogi Panie, i przesyłam moc pozdrowień.

Pański – taki, jak Pan go sobie wyobraża

Piotr Skrzynecki

PS Czasami mam wrażenie, że swoimi „peesami” dopycha Pan ilościowo tekst. A ja nie! A ja nie! A ja nie!

Niebo. Hacjenda, grudzień 1998



Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

z tymi „peesami” na końcu, to już Pan przesadził. W Pańskim podejrzeniu coś jest, ale o takich rzeczach się nie mówi!

44 – Drogi Panie! Czterdziesty czwarty list pofrunie za chwilę z Ziemi do Nieba. Nie przechodźmy obok tego obojętnie. Ta liczba pozostaje ciągle nieodgadnioną tajemnicą dla mędrców, pochylonych nad Mickiewiczem. 44 to również, długo utrzymująca się za komuny, cena kilograma kiełbasy zwyczajnej. Czterdzieści i cztery ma w sobie jakąś magię, w której tkwi zachęta.

No bo jakże to odbierać inaczej, skoro przed chwilą zadzwonił telefon, w którym usłyszałem pana Mirka Pajora z Nowego Jorku i jego zapewnienia, że mimo dalekiej znajomości regularnie nas czyta. Milczałem dotąd, ale teraz muszę Panu powiedzieć, że to nie pierwszy sygnał o tym, że jesteśmy obserwowani. Z początku nie doceniłem tego – przyznaję. Stary nawyk, wzięty ze sceny, nakazywał braw nie przeceniać. Bo przecież biorą się one często z poczucia ulgi, że spektakl dobiegł końca. Tak jak i w przypadku *standing ovation* zrodzonej nie z podziwu i wdzięczności dla talentu artystów, tylko z chęci rozprostowania udręczonych kości.

Czytelnik tymczasem, pisząc do redakcji list, nie kieruje się odruchem, tylko przemyślaną decyzją. Po niej następuje szereg czynności, w czasie których łatwo ostudzić temperaturę akceptacji czy wdzięczności. Panie, przecież trzeba odnaleźć stopkę pisma, adres redakcji, trzeba coś napisać, włożyć w kopertę, kupić znaczek, a potem jeszcze zanieść to wszystko do skrzynki. Ogrom czynności, Panie Piotrze. Brawka teatralne przy tym to małe piwko. Za wszystko, co nas do tej pory spotkało, w dzień Jubileuszu „44”, czyli dwóch krzese-

łek, pozwoli Pan, że Mu przedrukuję parę wybranych wypowiedzi, które z wiadomych przyczyn zmuszony jestem ograniczyć do minimum.

„Co”... Janina Świech, Łowicz; „Czy”... Jerzy Przeździecki, Warszawa; „Jak”... Andrzej Mleczek, Kraków; „Te”... Teresa Szmał; „Za”... Czytelnik z Lubania; „Uściski dla Pana Piotra”... Wiesława Czarska-Szenk, Będzin; „Między”... Zofia Dygasowa, Wieluń; „Jestem jedną”... Iza Kołodziej; „Ma”... Jadwiga Cichosz, Kamienna Góra.

Wszystkim wymienionym Czytelniczkom i Czytelnikom ślę serdeczne podziękowania, a także prośbę o wybaczenie skrótów, które jednak wydały mi się konieczne.

A na koniec ostatnia wiadomość, która wczoraj dosłownie ścięła mnie z nóg. Otóż okazuje się, że współczynnik pH jest po prostu ujemnym logarytmem ze stężenia jonów wodorowych w roztworze. I kto by przypuszczał, Drogi Panie.

Czekam na wieści i kłaniam się nisko

Pański Jan Nowicki

Kraków, styczeń 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

zagadaliśmy się, a one tymczasem wzięły i przeszły. Pierwszą, kruchą, przywołały marzenia. Drugą o Niebo konkretniejszą, zrodziła rzeczywistość.

Myślę o Wigiliach Bożego Narodzenia, proszę Pana.

O tej, którą ujrzałem za kurtyną przymkniętych powiek. I o następnej, świętowanej przy stole, w towarzystwie zdziwionych JEGO zniknięciem Aniołów.

A noc?!!!

Musiałby jej Pan miesiącami i latami nie oglądać, żeby zrozumieć nareszcie, ile tajemnic kryją światła. Ile pojedynczych ogni próbuje zbombardować mrok. Żarówki wystaw sklepowych, neony reklam, sygnalizacje skrzyżowań, iskry ze skrzydeł lecących gdzieś samolotów, żółte ślepia aut, wiatrem przesuwane refleksy latarń, ogniki papierosów, wymykające się niedomkniętym dłoniom zziębniętych przechodniów. I jeszcze tam, i potem gdzieś. Ile Wy macie światła!

A gwiazdy, Drogi Panie?

Mrugające ziarna karmy, rozsypane dostojną ręką na dnie czarnego nieboskłonu. Chłodnym blaskiem błyszczące i trochę nieludzkie. Bo zawsze jakby z myślą o kimś innym świecące. Spoglądacie na nie z dołu oczyma zdezorientowanych kur, które w nagrodę za cierpliwe, pełne nadziei oczekiwanie otrzymują tylko nędzny pył rozsypujących się w połowie drogi komet. Ale jak ja Wam tego zazdroszczę.

A w Wigilię – Panie Janie!

W Wigilię jest jeszcze inaczej. Zwłaszcza w tę, którą nazwałbym nocą marzeń. Gdy tylko zamykam oczy, ona prze-

mienia się zaraz w kołędę płochliwego oczekiwania na pojawienie się JEGO. Na stajenkę, w której po raz dwutysięczny Najważniejsze Dziecko Wszechświata urodzi się po to, żeby podjąć kolejną próbę uchronienia ludzi przed szaleństwem. Dosyć! Teraz mogę opowiedzieć panu o innej Wigilii, której bym nie oddał nigdy i nikomu.

W Makowie Podhalańskim nastał zmrok. Widzę mały ogródek obok naszego domu. Stoję tam ubrany w długi płaszcz od Diora, prezent Zbyszka Preisnera. Szyję ogrzewa mi Pański szal, a dłonie rękawiczki otrzymane od Ruth. Tak naprawdę powinienem mieć pięćdziesiąt albo więcej lat, ale wybieram... siedem. Stoję więc tak sobie i wypatruję gwiazdy betlejemskiej. Wiem, że jak tylko ją zobaczę, pobiegnę z wiadomością do cici. Spoglądam na ziemię. Wczoraj zrobiłem z kartofla stracha na kawki i wrony, ale dzisiaj ja się go boję. Tylko przez chwilę, bo dla odwagi dodałem sobie całe dziesięć lat i... po strachu. Zamrugano coś na niebie, potem usłyszałem dzwoneczki sań! Przed furtką wysiadła mama, obciążona dziesiątkami prezentów, błyszczących w świetle księżycy, którego strzałem z bata wyciągnął zza chmur odjeżdżający furman. Mama, uśmiechając się promiennie, ruszyła w moją stronę. Oczy stracha, zrobione z węgielków, wypadły. A na ich miejsce pojawiły się dwa świecące kryształki łez wdzięczności. Mama mówi do mnie: „Nigdy nie przypuszczałam, że masz teraz prawie siedemdziesiąt lat, mój chłopcze”. Uśmiecham się ze wstydem. I przeglądam w jej pięknych oczach. Rzeczywiście – rzeczywiście. Ale mama machnęła tylko ręką i przegoniła czas. Znowu maleńki, przytulony do niej, dreptałem w stronę domu, którego drzwi otworzyła nam ciocia Ziuta.

A potem weszliśmy do ogromnej sali, gdzie w kącie stała wysoka choinka. Na jej czubku, ubrana w długą złotą suknię, wisiała Ela Towarnicka i pięknie śpiewała. Na środku zobaczyłem stół z setkami krzeseł dookoła. A na tych krzesłach wszyscy kochani. Na niektórych, o dziwo, siedzą same obra-

zy. Na jeszcze innych bukiety świeżych kwiatów, które z bezgranicznym zdumieniem przyglądają się sztukom. Obok głównego stołu, drugi stół, mniejszy, z taką samą ilością krzeseł. A dalej jeszcze jeden, z setkami małych zydelków. Widzę jak rozwijam prezenty od mamy i rozdaję znajomym. Sobie zostawiam tylko własny strach, któremu szepczę na ucho prośby o zakłęcie. No i stało się tak, że całe towarzystwo zaczęło nagle śpiewać kolędy we wszystkich tonacjach. Raz byliśmy Chórem Poznańskich Słowików, innym razem wokalną grupą pozbawionych lęku starych wron. Przytulam się do mamy.

– *Ma cherie, meme tu ne sais pas combien de temps j’attendais a toi.*

– *Tu apprends français mon petit, c’est bien.*

Otwieram oczy – smutny lazur.

Dobrych snów, Panie Janie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. List, który napisał się sam, styczeń 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

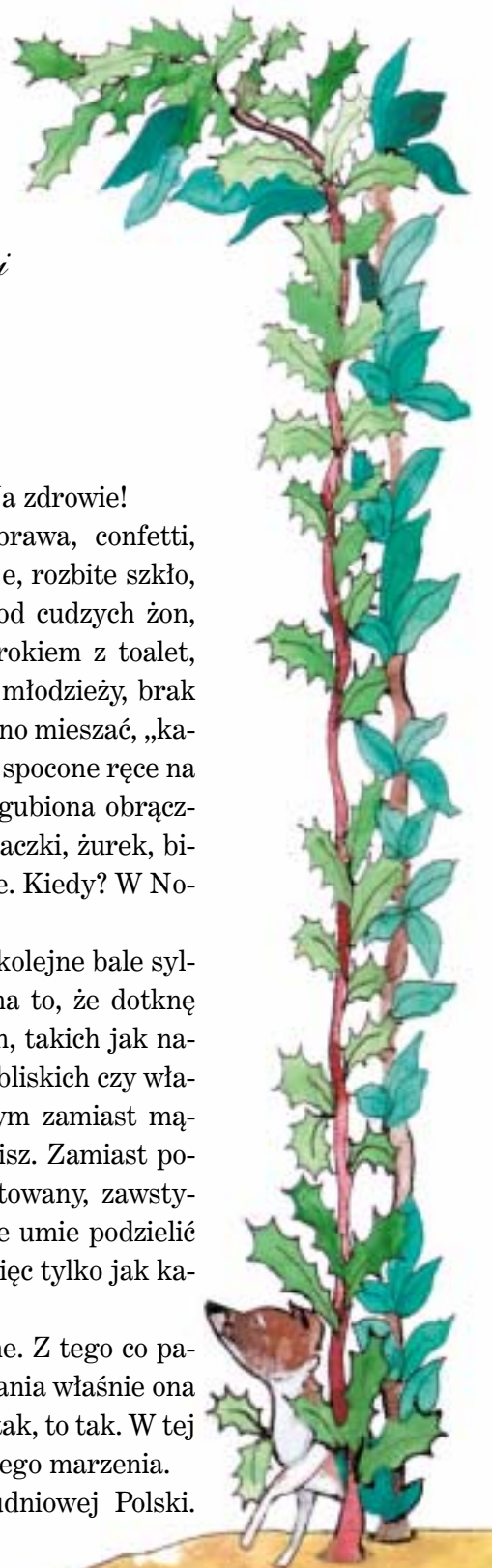
Sto lat, sto lat! Jeszcze Polska nie zginęła! Na zdrowie!

Imieniny Sylwka, dwanaście uderzeń, brawa, confetti, szampan, pocałunki, walce, życzenia, nadzieje, rozbite szkło, spuchnięte nogi, hieny zbierające telefony od cudzych żon, spoceni mężowie wychodzący chwiejnym krokiem z toalet, woń podejrzanych perfum, przykry zapach młodzieży, brak tlenu, popiół w doniczkach, piwo choć nie wolno mieszać, „kaczuszka”, *Tango Milonga*, o mój rozmarynie, spocone ręce na białych plecach korpulentnych partnerek, zgubiona obrączka, ciepła wódka, zimny barszczyk, żurek, flaczki, żurek, bigos, karpik, śledzik, kiedy ranne wstają zorze. Kiedy? W Nowy Rok.

Panie Piotrze, ileż to już razy szedłem na kolejne bale sylwestrowe, z beznadziejnym oczekiwaniem na to, że dotknę czegoś wzniosłego? W chwilach szczególnych, takich jak narodziny dziecka, premiery teatralne, śmierć bliskich czy właśnie to ostatnie uderzenie zegara, po którym zamiast mądrzeć, głupiejesz. Zamiast cieszyć się, smucisz. Zamiast początku, czujesz koniec. Człowiek zdezorientowany, zawstydzony, przywalony nadmiarem wzruszeń, nie umie podzielić się tym z drugim człowiekiem. Twardnieje więc tylko jak kamień i... nawet nie płacze.

Pan mi odstąpił sylwestrową noc? – dziwne. Z tego co pamiętam, w Pańskim zamiłowaniu do świętowania właśnie ona zajmowała miejsce szczególne. No, ale... jak tak, to tak. W tej sytuacji, Drogi Panie, musisz wysłuchać mojego marzenia.

Jeden z najmodniejszych kurortów południowej Polski.



Koniec grudnia któregoś tam roku. Godzina 21.30. Elegancki dom, rozgrzany gorączką przygotowań do imprezy, na której w gronie prominentnych znajomych przyjdzie mi powitać Nowy Rok. Spoglądam na ciemny garnitur, pożyczony z filmowej garderoby i myślę z niechęcią, że za chwilę będę się musiał w niego wbić. Głęboki sztach ekstra-mocnym.

Brazowa Garsonka przypomina mi, że czas się przebrać. Gaszę papierosa i spoglądam na zegarek. Godzina 21.45. Ktoś biegnie po schodach, trzasnęły gdzieś drzwi. Jak w *Alarmie* Słonimskiego – myślę i wywlekam z paczki następnego. „Za dużo palisz” – strofuje mnie sznaps barytonem Czarna Suknia obwieszona cekinami, po czym znika w toalecie – o dziwo damskiej. Z prawej dochodzi mnie dziewczęce drobienie Kolorowych Szpilek. „Boże, Boże, którą mamy godzinę”? 22.50 – mruczę. „Ja nie zdążę, ja się zabiję” – histeryzują po babsku Szpilki, po czym znikają w toalecie – o dziwo męskiej. Zamknąłem oczy, zupełnie jak Pan, Drogi Panie, i proszę sobie wyobrazić, że po chwili przez nikogo niezauważony, wychodzę do przedpokoju, chwytam z wieszaka ogromny kozuch i wybiegam w dresie przed dom.

A tam już, proszę Pana, zanim zdążyłem gwizdnąć, ukazał się zaraz osiodłany koń, z jukami pełnymi papierosów, grzanego wina, wódki i zakąsek. Z olster przytroczonych do siodła wystawały końce rękojeści dwóch pistoletów. Wskoczyłem na ten uzbrojony bar i z początku stępa, a potem galopem, zacząłem się oddalać księżycowym duktem w ciemny las. Spojrzałem na zegarek, dochodziła 23.15. Uznałem, że nadszedł czas popasu. Sięgnąłem po butelczynę i pociągnąłem. Koń obrócił w moim kierunku łeb i parsknął z naganą. Podsunąłem mu pod pysk, co tam jeszcze zostało. Konisko przyjęło ofiarę bez szemrania. Przegryzłem kielbasą, siwek polizał śnieg i ruszyliśmy dalej. Obaj piechotą, bo po tym zbrataniu nie wypadają mi go dosiadać. Nuąc pod nosem każdy swoje, dowleliśmy się w końcu na sam środek rozświetlonej księżycem polany, gdzie koń nagle przystanął. Powiedziałbym nawet... wrył

w ziemię! Spojrzał na mnie i już nie musiał znacząco mrugać, bo chwycił w lot. Zostawił niewiele, poszło na drugą, trzecią i czwartą nóżkę. Dochodziła 23.55. Pomyślałem o godzinie „0”. Koń widać też, bo wspiął się nagle na tylnych kopytach i zarżał radośnie. Sięgnąłem po pistolety-rakietnice, dzieląc się z koniem solidarnie po jednej i zaczęliśmy strzelać w stronę gwiazd. A gdy wybiła dwunasta, wypaleni do ostatniego naboju, leżeliśmy z moim koniem pod krzakiem jałowca i grzaliśmy się oddechami, które zamiast wódką, pachniały migdałem. Byliśmy szczęśliwi!

„Zakładaj garnitur – już jedenasta”!!! Otworzyłem oczy i nie mogłem uwierzyć.

Szczęśliwego Nowego Roku, Drogi Panie,

Pański Jan Nowicki

Rabka, styczeń 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

nie wiem, czy Pan pamięta. Kiedyś, na balkonie Pańskiego mieszkania przy ul. Prądyńskiego 16/47, wstawał letni świt. Nie pamięta Pan? Siedzieliśmy wsłuchani w nieprzyjemny wrzask obudzonych przed chwilą ptaków. Drzemiąc, spoglądaliśmy czasem na pnące pelargonie, które opadały resztką fioletoń. „Z chwilą przyjscia na świat dziecka, stajemy się niewolnikami wiecznego niepokoju. Czymś gorszym od tej niekończącej się udręki, może być tylko... jej brak, bolesny brak radosnego trudu włączenia się do sztafety ziemskiego bytowania” – tak Pan chyba powiedział.

Milczałem, bo nie chciałem wiedzieć, o co chodzi. Nie mówiąc o tym, że tzw. zręczne frazy zawsze mnie nudziły – nad ranem zwłaszcza. Dzisiaj, jeśli o tym wspominam, to tylko ze względu na... pelargonie.

Panie Janie Drogi, w Niebie wielkie zamieszanie, bo zniknął ON, a z Nim kilka Aniołów. Z Ziemi dochodzi nas: „Z narodzenia Pana dzień dziś wesół”. A tutaj smutno. Niektórzy twierdzą, że wyjechał na dłużej. Na trzydzieści trzy lata, a może na więcej. Z chwilą gdy wyjechał, zabrakło w Niebie miłości. Chóralne śpiewy brzmią teraz fałszywie, Anioły gubią pióra, słońce nie grzeje, a mrozi, Ayrton Senna, o którym kiedyś Panu wspomniałem, leży w gorączce, Boryna nie rozsiewa nadziei, a Cyryl przestał odpowiadać na pytania Metodego.

„Co to będzie, co to będzie?” – chciałoby się powtórzyć za poetą. Ale mówić nie wypada i nie wolno, bo Ojciec nakazał wielominutową ciszę. Lata ciszy, aż do odwołania.

W tej sytuacji Wigilię świętowaliśmy, stojąc nad samym skrajem Nieba, gdzie niebezpiecznie wychyleni w stronę Ziemi, wsłuchiwalismy się zazdrośnie w słowa starej kołody:

„Opuściłeś śliczne niebo, wybrałeś barłogi”. Za nami, ustawione w karnych szeregach, wisiały gwiazdy, poza tą jedną oddelegowaną do Betlejem. Dalej planety, a na końcu zapłakanane księżyce, mokre od jednookich łez. Gdzie się skryłeś Chryste, gdzie się nam ukryłeś? – pytaliśmy jeden przez drugiego.

„Dziecina wszystkie odpuści winy, życie na krzyż złoży. I śmiercią swoją niebo otworzy”.

Otworzy? Ale dla kogo i w czyją stronę? – pomyślałem grzesznie. Dla Ziemiaków, owszem, bo przecież Niebieską Bramę można otwierać tylko w jedną stronę. Dla nas na zawsze pozostanie ona zamknięta. Tak, tak, Panie Janie, ta najpiękniejsza, najbardziej poruszająca noc w całym roku, dla Niebian bywa bardzo smutna. Pozbawiona zapachu siana i świerku, smaku wigilijnych potraw. Noc bardziej trwogi niż szczęścia.

Niezauważony, odepchnąłem się i pofrunąłem w stronę zabudowań, wśród których, zdaniem Justyny, mieścił się magazyn kostiumów dla świętych Mikołajów. Drzwi zastałem otwarte. Chłopakom tak się spieszyło na Ziemię, że zapomnieli pozamykać. Na podłodze wały się resztki prezentów. Bez trudu zmontowałem więc coś na kształt słomkowego kapelusza. I skrzydła. W kącie znalazłem aparat fotograficzny, który w świetle błyskawicy zrobił mi zdjęcie – znajdzie je Pan w Kowalu pod choinką.

„Gloria, gloria, gloria in excelsis Deo”

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo, Magazyn kostiumów dla świętych Mikołajów, styczeń 1999





*Pan Piotr Skrzyniecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

raz – dwa, trzy, raz – dwa, trzy! I raz, i dwa, i trzrzrzy! Najpierw... w prawo, prawo, prawo. Potem... w lewo, lewo, lewo.

O...brotami, o...brotami. Do...o k o ł a w o j t e k!

Remiza Ochotniczej Straży Pożarnej w Kowalu 1998/99.

Światła, balony, suknie dziewcząt, instrumenty, okna, kolorowe łańcuchy, krzyże na ścianach, orły wreszcie w koronach, tapir ciągle na głowach, jaskrawe krawaty, wdzięk czeskiej biżuterii, guziki strażaków, biel koloratki, nieuchwytny szum pereł, oderwanych od szyi w radosnym do...o k o ł a m a r y ś!

Jednym słowem, drugim słowem, trzecim słowem – WALC – Drogi Panie!

I chyba to wina walca właśnie, że dzisiaj tak jak w poprzednim liście, zatracam się manierycznie w wyliczaniu, przycinaniu, niekończeniu. Chcę po prostu wciągnąć Pana w rytm tańca. Zamierzam w ten sposób zgubić ostrość aktualnego widzenia rzeczy po to, żeby przywołać wspomnienia tamtej remizy. Remizy dzieciństwa.

Przyjechało kino objazdowe. Ze starej, blachą pokrytej ciężarówki wyciągają akcesoria władzy jakiegoś czarnoksiężnika. Aparaty, taśmy w metalowych pudełkach, kable, ogromne głośniki. A na końcu wiklinowy kosz, pełen drobno pociętej sieczki. Do tego kosza wrzucaliśmy po dwa jajka – nasze „pieniądze”, po czym siadaliśmy płochliwie na podłodze, bo ławki były zajęte przez tych, co mieli na to.

„Krzystyno, twoje usta gorące, kwiatem róży pachnące” – charczał głośnik wiszący wysoko nad naszymi głowami. Zacharczał i umilkł. Po linowej drabince, tylko przy pomocy rąk, młody wąsaty kiniarz, ubrany w krótkie spodenki, wspinał się pod sam sufit, żeby usunąć awarię.

„Bo takie serce, jakie ty masz jedyna, nie ma żadna dziewczyna” – ryknęła znowu pełnym głosem zreperowana piosenka. A sala odpowiedziała gromkim – Brrawooo!!! Ten kiniarz kiedyś, jakoś tak po drugim seansie, niby z powodu gołodzi, został na noc w Kowalu i potem kazali mu się ożenić. Dzisiaj leży na naszym cmentarzu. A gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, razem z nim porzucone truchła socrealistycznych filmów.

Świniarka i pastuch, Górą dziewczęta, Dygnitarz na trawie, Upadek Berlina, Opowieść o prawdziwym człowieku. No i przede wszystkim *Ditta*, którą zobaczyć mogli tylko ci, którzy mieli nieosiągalne wtedy 14 lat.

Jednym słowem, drugim słowem, trzecim słowem – WALC – Drogi Panie.

A potem przyjechał siłacz Aldoni. Na estradzie leżała masa różnego żelastwa i wisiał ręcznik nadzwyczajnej urody. Aldoni powitał publiczność i w pierwszych słowach poprosił, żeby go nie naśladować, bo... grozi to śmiercią lub kalectwem. I zaczął wyginać w palcach hacele, prostować końskie podkowy, drzeć na strzępy blachę, aż w końcu doszedł do metalowej sztaby, którą zamierzał zgiąć na karku. Rozstawione, potężne i białe jak śnieg nogi drżały. Oczy wychodziły z orbit. Z uszu miała za chwilę buchnąć krew. Usta jęczały: „O Jezu, o Jezu”!!! Ale sztaba nie ustępowała.

Zrezygnowany atleta odrzucił ze złością żelazo i złamany niepowodzeniem udał się w kierunku ręcznika, którym wytarł udrećzone nadludzkiem wysiłkiem pachy. Odwrócił się do publiczności i ze łzami w oczach powiedział: „Bardzo państwa przepraszam, ale w miejscowym POM-ie dano mi chyba stal łożyskową”.

Jednym słowem, drugim słowem, trzecim słowem... WALC – Drogi Panie.

W tej remizie widziałem pierwszy w życiu teatr. W niej tańczyliśmy na weselu Eli i Andrzeja, tutaj wygrałem gołębia na loterii. W tym miejscu do dziś potykają się o siebie umundurowane cienie dwóch strażaków – mojego ojca i mo-

jego ojczyzna. Tutaj chciałbym kiedyś wrócić, bo tylko jeszcze na tej sali panie z takim uśmiechem proszą panów.

Wszystkiego dobrego, Kochany Panie,

Pański Jan Nowicki

Kowal, styczeń 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

nieszczęścia istotnie chodzą parami. Taka, proszę Pana, błyskawica z piorunem – na przykład – albo katar z zapaleniem płuc, łysienie połączone z łupieżem, czy wreszcie *talk* z *showem*. Szokujące – przyzna Pan. Jeden z pionierów polskiej telewizji, który od niedawna żeruje niesłusznie na niebieskich pastwiskach, wtajemniczył mnie onegdaj w atrakcje, jakie tam serwują Panu aktualni spece od mediów. Kiedyś, gdy człowiek chciał porozmawiać z człowiekiem, jechał do Zabrza albo Włocławka po to, żeby przed „ludźmi dobrej roboty” otworzyć serce komunistycznie – czyli do pewnego stopnia. Dzisiaj wezwany czy też zaproszony gość odwiedza dowolny program telewizyjny po to, żeby otworzyć serce kapitalistycznie – czyli bez reszty. Jakaś mania zapanowała u Was, Drogi Panie. Mania szczerości, która ze szczerością tyle ma wspólnego, co przysłowiowa pięść z okiem.

Powiedz mi Pan, na czym to polega, że świat, totalitarny czy wolnorynkowy – obojętne – z takim samym cynizmem przymyka oczy na oczywiste dążenia *mass mediów*, prowadzące do skretynienia tłumu, który w nielicznych chwilach trwogi nazywany bywa elektoratem. Kiedyś robiono to za pomocą *Isaury*. Teraz sprawę załatwiają żenujące programy różnej maści, w których aż gęsto od przewracających się kostek domina, naleśników pieczonych w temperaturze rozgrzanego publiczną masturbacją gwiazdora, udręczonych kundelków, blond warkoczy przyszwejsowanych do krótkich fryzur, znanych prezenterek itd., itp.

Wspomniany pionier powiedział mi rzecz arcyciekawą i chyba nieprawdopodobną. Że telewizją tak naprawdę zarządzają spece od reklam. Nie do wiary! Bo jeśli tak, to można sądzić, że niektóre programy adresuje się z całą premedytacją do tych, którzy są jeszcze przed podjęciem historycznej decyzji, dotyczącej wyboru pierwszego w życiu proszku do prania. Rozrywka (głównie o nią chodzi) dedykowana jest zatem mniej ludziom, a bardziej nieświeżej bieliźnie. Groza!

Czy naprawdę jest aż tak źle? Z tego, co jeszcze pamiętam, takie na przykład rozmowy pani Małgorzaty Domagalik, choć prowadzone pod niekoniecznie eleganckim szyldem: *Męski striptiz*, bywały mądre, dowcipne, a nawet wyszukane. Ona powinna raczej pisać, bo dla telewizji niektórych głów po prostu szkoda.

A skoro już o rozumie mowa, to wyznam Panu, że zaraz po Moskwie, którą pozbawiono sań, najbardziej żał mi pewnego „Wójta”, który kiedyś z taką skromną mądrością inicjował dyskurs między... „Panem a Plebanem”. No chyba że... coś za coś.

Publicznie dewastowana twarz (Panu mam o tym mówić!?) dziwnym sposobem pozbawia człowieka autorytetu. Nadmiernie demonstrowana erudycja przemienia się w przystępne dla wszystkich gaworzenie „ciekawego człowieka” i oznacza smutne cofanie się z wcześniej obranej drogi – trudnej, męskiej i prawdziwie odpowiedzialnej.

Szkoda wąsów, Drogi Panie. Szkoda wąsów.

Przesyłam ukłony.

Pozdrowienia dla Marty

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka, luty 1999

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze!

Słynny brytyjski aktor Anthony Hopkins (Oscar w 1992 za *Milczenie owiec*) postanowił po 35 latach pracy porzucić zawód aktora, który uznał za „niebezpieczny dla swojego zdrowia psychicznego” – podał tygodnik „News of the World”. 60-letni Hopkins oświadczył, że uważa aktorstwo za męczące, nudne i bardzo nieprzyjemne, a swą karierę – za stratę czasu. Aktor udzielił tej wypowiedzi na planie filmu *Tytus Andronicus*. Będzie to ostatni film Hopkinsa, artysta podkreślił, że „ma dość pieniędzy na resztę życia”.

Taką oto notatkę wyczytałem, Drogi Panie, na łamach „Gazety Wyborczej”, w grudniu 1998 i... oniemiałem. Z bólu, bo mój angielski kolega – odchodząc – gładzi, i ze śmiechu, że nawet w tak dramatycznym momencie nie umie ukryć kokieterii.

Bo jeśli 60-letni mężczyzna twierdzi, że jego przez cały świat doceniana kariera zawodowa była zwykłą stratą czasu, to można przypuszczać, że pozostałe lata upłynąć mu mogą na gratisowym ronieniu łez nad różą zmarnowanego życia.

Tak się składa, że jestem równolatkiem Anthony’ego Hopkinsa i tak jak on nakręciłem dużo filmów. Może nawet więcej. Ale musiałem dużo, bo kiedy Sir Hopkins zastanawiał się, który z zamków kupić, ja w tym samym czasie spłacałem ostatnią ratę za trabanta. Ktoś może przytomnie zauważyć, że widocznie nasze umiejętności zawodowe mają się tak do siebie jak pałac do M-1.

Ale zanim o tym pomyśli, proszę, żeby zważył, że kiedy Hopkins opracowywał wspaniałą rolę w *Okruchach dnia*, ja w gryzałem się w problemy inż. Stokłosa, który podejmował bezkompromisowe decyzje, dotyczące zwiększenia produkcji uszczelek. W czasie, kiedy mój angielski kolega Antoni, na-



tchniony oczywistą szansą, kreował w *Milczeniu owiec*, jego polski kolega imieniem Jan walczył w *Dziurze w ziemi* z sekretarzem POP, który jednym podpisem mógł przekreślić marzenia bohatera filmu o znalezieniu nafty – tak niezbędnej pracującym ludziom miast i wsi.

A kiedy Sir Hopkins zmagał się z alkoholowym uzależnieniem, ja wypijałem ze łąką w oku setę, która miała dla mnie tylko tę jedną zgubną właściwość, że nie starczało na następną.

Panie Piotrze, Pan przecież wie, że nie jestem kinomanem. Za gorąco, za ciemno. Ale przecież i mnie zdarza się czasem zobaczyć coś, co do głębi porusza. Takim filmem były właśnie *Okruchy dnia*, w których Hopkins fantastycznie zagrał dyskretnego do granic bólu kamerdynera. Teraz jednak widzę, że ta rola mnie zmęczyła, znudziła, i że oglądając ją, straciłem tylko czas.

A co do „zdrowia psychicznego”, Drogi Panie, to po co 60-letniemu aktorowi zdrowie psychiczne? Po co mu w ogóle zdrowie?! Przecież fakt, że dziwaczne pod koniec życia, jest zapłata za intensywne podłączanie się do coraz to innych egzystencji. Tak jak fryzjer płacący przygarbieniem, palacz kaszlem, a górnik pylicą. O czym tu gadać!

Ile w wypowiedzi Hopkinsa pychy, proszę Pana, ile minodeirii, ile patologicznej miłości własnej. No i to ostatnie zdanko, które na moment odebrało mi mowę – „mam dość pieniędzy na resztę życia”.

Po nim mogę tylko w wieczornym pacierzu prosić Pana Boga, żeby Sir Anthony Hopkins żył tak długo, aż wreszcie zmuszony będzie do poznania dawno zapomnianego smaku kartofla, kupionego za ostatnią, utyłaną w tytoniu monetę, która cudem znaleziona w dziurawej kieszeni, przywróci mu na powrót uśmiech i zdrowy rozsądek.

Ściskam Pana, Pański, wiążący koniec z końcem.

Jan Nowicki

Kraków, luty 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

wczoraj dowiedziałem się (od kogo, nie powiem), że Kazimierz Kutz kończy niebawem 70 lat. I kto by przypuszczał, Panie Janie. Niewysoki, a już tak dorosły? Proszę przekazać Mu wyrazy serdecznych życzeń i zapewnień. Że pamiętam, że czekam. Póki co jednak postanowiłem napisać okolicznościowy wierszyk. Nie jestem mistrzem w rymowaniu, ale czy to ważne, skoro tak naprawdę liczą się intencje. A te są w porządku.

KONIOM

Siedemdziesiąt lat Kaziu i nic się nie zmienia.
Chłopy ciągle jak konie, słyszą – wio! – tylko wioooo!!!
I wstydzą się łez babskich – gównu nieistnienia.
Na mokrych od potu plecach – czarne dobro, czarne zło.
 Babka Anna śpiewała o Polsce co przyjdzie
 Na spotkanie gołębom, ogródkom i dłoniom.
 Prawiła coś o pracy, honorze, ojeżyźnie,
 Która ulży nie tylko kilofom i koniom.
Lecz uwolni głowę od zbędnej udręki,
Po której stronie myśli do snu złożyć.
Mówiła: – Spójrz na Kraków, uśmiechnij się, klęknij.
Nie wolno, bo... nie wolno przed obcym się korzyć.
 Siedemdziesiąt stuknęło! Siedemdziesiąt siłą!!!
 Nędznie było i będzie – bo jest tak jak jest,
 Że nawet to co Bóg dał – niepotrzebną bryłą.
 Mięsem karych koni, wleczonych na rzeź.

To na tyle, Kazik, a teraz do rzeczy.
Tylko co zrobić, by nie było mdło?
Żeby rytm serca porywał, nie męczył.
Żeby szło Ci dalej, tak jak dotąd szło.
Doktorze, po co Ci honoris causa
Birety, toga, tytuł – Boże mój!
Serce taszczy pod skórą nawet ludzka łajza,
Każdy zakapior, oblojdra i gnój.
On czeka na Ciebie, bo ktoś z DOMU kpi.
Ślini obietnicą bez nóg i bez rąk.
Pomożecie? Zrobicie! To jasne! Się... wi!
„Zatoka świń” na trawie mazowieckich łąk.
Śmierć tamtych chłopców do dzisiaj tymczasem
Tuli pod śląską hałdą czarną kromkę chleba,
Którą ktoś kiedyś sflekował obcasem,
Jak perłę w koronie strwożonego nieba.

No i tyle. Proszę koniecznie uściskać Kazia, Jego żonę
i dzieciaki.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, luty 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

od pewnego czasu z ponurą systematycznością spadają światowe ceny złota. Wczoraj w Londynie za jedną uncję płacili... itd., itd.

Myślę, Drogi Panie, że z biedą bywa tak jak z alkoholizmem.

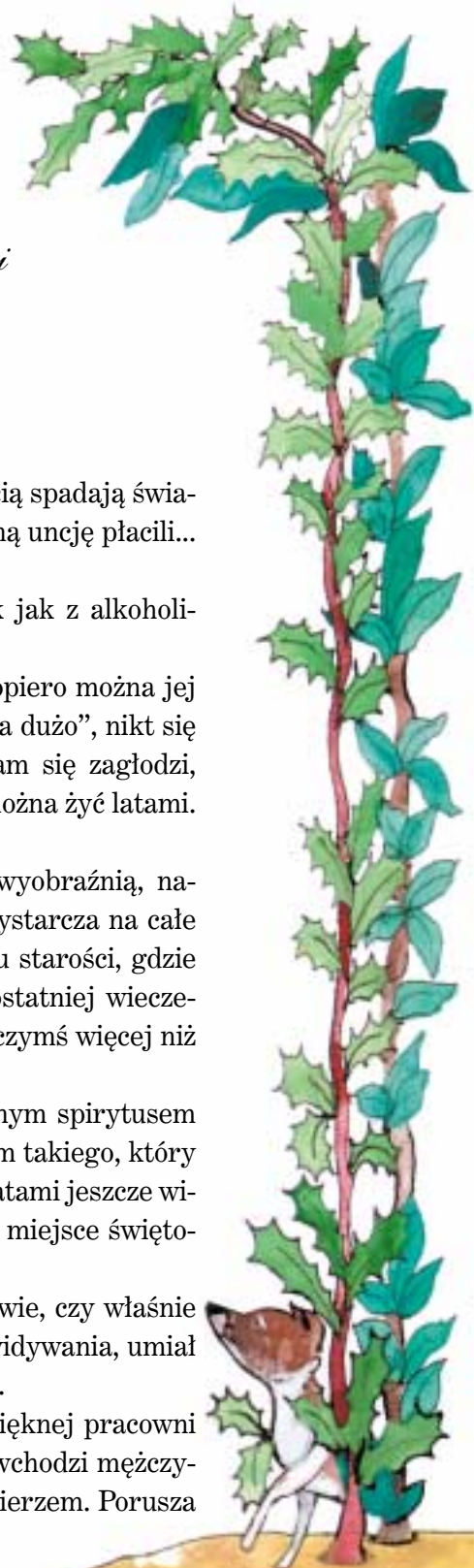
Najpierw trzeba się przyznać, a potem dopiero można jej zapobiec. Bez świadomości, że czegoś jest „za dużo”, nikt się nie dowie, jak jest „niezdrowo”. Biedak nam się zagłodzi, a pijak zapije. Z ubóstwem i alkoholizmem można żyć latami. I to całkiem nieźle.

Przecież garnek, wypełniony po brzegi wyobraźnią, nadzieją i wyteżoną do granic cierpliwością, wystarcza na całe życie. A ono i tak w końcu przybija do portu starości, gdzie po zwinięciu żagli zasiadamy zmęczeni do ostatniej wieczery. Na której nawet nie wypada posilać się czymś więcej niż czerstwym chlebem i gorzką herbatą.

Przecież kieliszek wypełniony rozcieńczonym spirytusem nie od razu sprowadza na nas ślepotę. Znałem takiego, który po wypiciu tysięcy takich kieliszków całymi latami jeszcze widział... co chciał. A widząc, co jest grane, na miejsce świętowania swoich urodzin – wybierał mosty.

On cieszył się jutrem, Drogi Panie. I kto wie, czy właśnie nie dzięki tej, celowo tęponej ostrości przewidywania, umiał się jeszcze zdobyć na wysiłek snucia marzeń.

Kraków, początek lutego 1999 roku. Do pięknej pracowni złotnika na rogu Szewskiej i Jagiellońskiej wchodzi mężczyzna w wytartej jesionce z karakułowym kołnierzem. Porusza



się zdecydowanie, a nawet za bardzo. Patrząc na niego i wyraźnie widzę, że ma już za sobą fazę „przyznania się”. Z kieszeni wyciąga eleganckie pudełeczko, na dnie którego błyszczy złota obrączka i twardo, a nawet za twardo, prosi o wycenę. Patrząc na niego i myślę, że zdecydował się właśnie wejść w fazę „zapobiegania”.

Mój przyjaciel Józek M. przykłada z zakłopotaniem czarną lupkę do oka i mówi: „Pan wybaczy, ale mogę to przyjąć wyłącznie jako złom. 35 złotych, szanowny panie”.

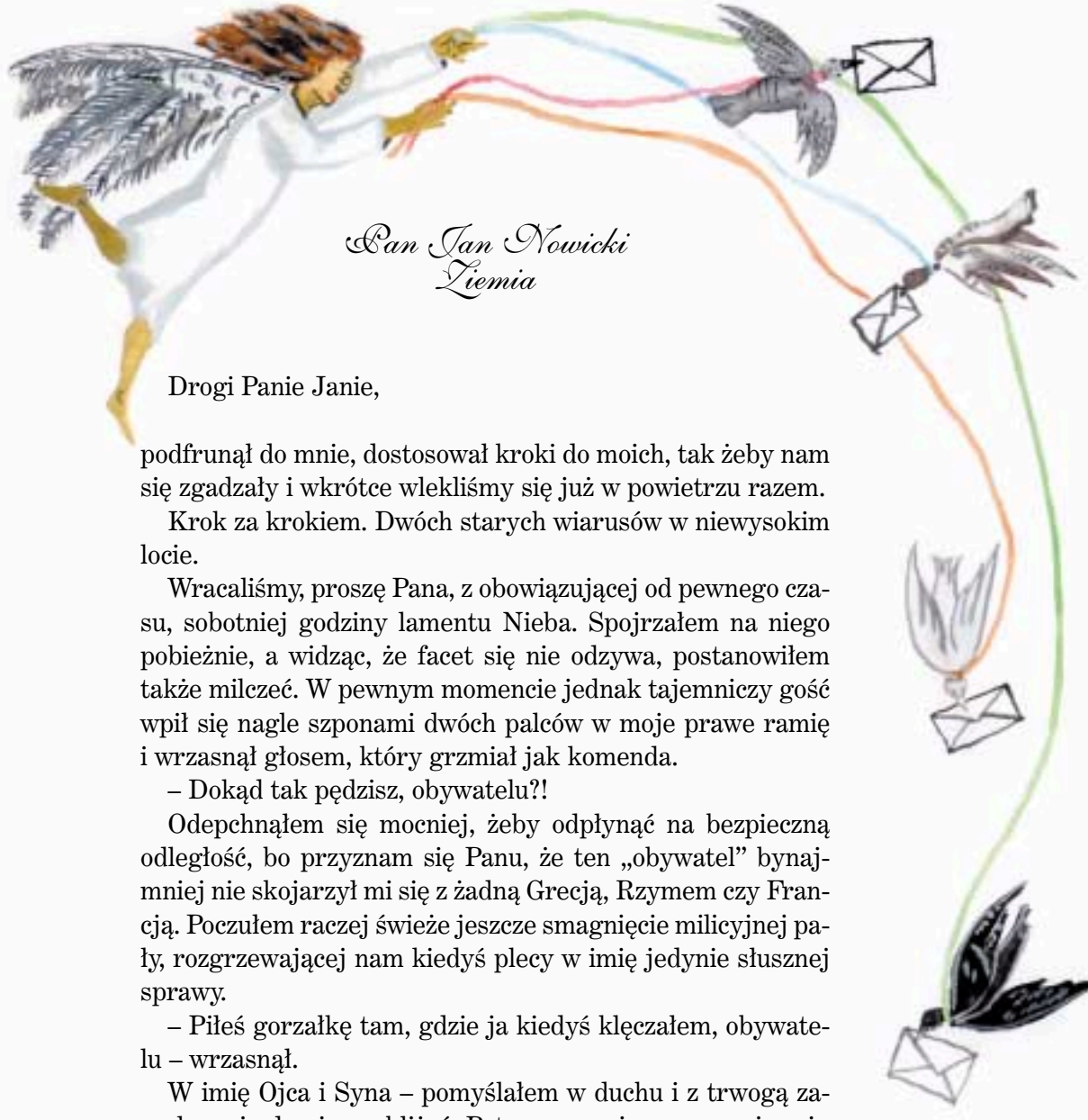
Jesionka drgnęła, a potem skurczyła się pod ciężarem spowiniewanej nadziei, skryła w kieszeni pieniądze i wstydliwie powlokła się ulicą w stronę Rynku. Odprowadzałem go wzrokiem długo, aż zniknął za rogiem. A potem odkupiłem tę obrączkę, Drogi Panie. Teraz noszę ją jak głupi na palcu prawej ręki, bo wydaje mi się bezcenna. To moja pierwsza w życiu obrączka. Świadectwo ślubu bez słów. Pewnego człowieka z innym człowiekiem.

Panie Piotrze, śnieg zasypał wjazd do mojego garażu. W takiej sytuacji w normalnych czasach szukało się jakiegoś pijaczka, który za flaszkę, powiedzmy, wzięłby się do odśnieżania. Ale nie dzisiaj, Drogi Panie, nie dzisiaj. Od paru dni chodzę, węszyć i pytam. Na próżno, bo na całym Zwierzyńcu jedynym pijaczkiem, który jest jeszcze w stanie złapać za łopatę – jestem ja.

Pański bałwan

Jan Nowicki

Kraków, luty 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

podfrunął do mnie, dostosował kroki do moich, tak żeby nam się zgadzały i wkrótce wlekleśmy się już w powietrzu razem.

Krok za krokiem. Dwóch starych wiarusów w niewysokim locie.

Wracaliśmy, proszę Pana, z obowiązującej od pewnego czasu, sobotniej godziny lamentu Nieba. Spojrzałem na niego pobieżnie, a widząc, że facet się nie odzywa, postanowiłem także milczeć. W pewnym momencie jednak tajemniczy gość wpił się nagle szponami dwóch palców w moje prawe ramię i wrzasnął głosem, który grzmiał jak komenda.

– Dokąd tak pędzisz, obywatelu?!

Odepchnąłem się mocniej, żeby odpłynąć na bezpieczną odległość, bo przyznam się Panu, że ten „obywatel” bynajmniej nie skojarzył mi się z żadną Grecją, Rzymem czy Francją. Poczulem raczej świeże jeszcze smagnięcie milicyjnej pały, rozgrzewającej nam kiedyś plecy w imię jedynie słusznej sprawy.

– Piłeś gorzałkę tam, gdzie ja kiedyś klęczałem, obywatelu – wrzasnął.

W imię Ojca i Syna – pomyślałem w duchu i z trwogą zacząłem się do niego zbliżać. Patrzę, przecieram oczy, i może Pan wierzyć lub nie, ale zobaczyłem przed sobą samego... Tadeusza Kościuszkę. Nasz Naczelnik! Boże drogi – On! Ten sam mundur, szlify, bliska sercu fryzura, kształt nosa, do którego tak przywykliśmy.

– Jak to, piłem? – wyszeptalem.

– Przypomnij sobie, obywatelu, Rynek Krakowski, na którym przysięgałem.

– Rynek pamiętam, o przysiędze czytałem, ale żebym... pił?

– Siadaj – przerwał mi głosem, w którym nie wyczuwałem już nagany. Może zniknęła pod wpływem ojcowskiego pobłażania dla potrzeb prostych żołnierzy. Bo jak wieść niesie, zwłaszcza w noc poprzedzającą bitwę, zwykli przymykać na nie oczy.

Usiadłem, ale zaraz poderwałem się i nie wiedząc czemu, zanuciłem: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my...” – tu przerwałem, rzecz jasna.

– Jaki masz stopień, obywatelu?

– Kapral podchorąży – odpowiedziałem, znowu wstając.

– To powiedz mi, dlaczego Polacy, w odróżnieniu od żołnierzy całego świata, salutują dwoma palcami?

Spuściłem głowę, zamknąłem oczy, przycupnąłem na ławeczce.

– Słyszałeś może o chorobie Dupuytrena, żołnierzu?

– ... Nie.

– Nie, nie, nie! – skandował, klując mnie dwoma palcami pod żebrem.

Gest Naczelnika sprawiał mi ból, ale także niestosownie do sytuacji rozśmieszał. Kościuszko surowym spojrzeniem przywołał mnie do porządku, a potem ze smutkiem jął opowiadać:

– Już w dzieciństwie czułem, że z palcami mojej prawej ręki coś jest nie tak. Najpierw drętwiały, potem sztywniały, aż w końcu na stałe zagięły się w stronę dłoni na drugim „kolan-ku”. Długie marsze i chłód polowych nocy nie sprzyjały kuracjom, które mi zalecano. W rezultacie doszło do tego, że tylko dwa palce mogłem wyprostować – wskazujący i środkowy. Łączyłem je, obywatelu, przyciskałem do czapki i salutowałem, tak jak umiałem. A za mną poszli inni. I tak już pozostanie na wieki, żołnierzu. Odmaszerować!

Powlokłem się w stronę hacjendy.

Taki Dupuytren, Panie Janie, coś podobnego!

Czołem

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, marzec 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

tak naprawdę, to nie przepadam za pisaniem listów. Adresowane do mnie cieszą, ale też pozostawiają wiele do życzenia. Nadawca i odbiorca – nie ze swojej winy – zawsze będą skazani na niepowodzenia. Bezpośredni kontakt jest bowiem, wbrew pozorom, wyższą formą porozumienia. Na naszym przykładzie chociażby jasno widać, jak to korespondencja przemienia się w karykaturę rozmowy.

Przecież to, czemu w pisaniu trzeba poświęcić parę napuszonych zdań, w życiu da się zastąpić jednym wzruszeniem ramion, jednym uśmiechem. A jeśli do uśmiechu zechciałby Pan dołączyć pojedynczą łzę, wtedy opis tego drobnego zdziwienia zająłby prawdopodobnie połowę strony.

Rozmowa między nami, aczkolwiek możliwa, wydaje się być beznadziejnie trudna do przeprowadzenia. Sądzę jednak, że mimo dzielących nas barier, powinniśmy z uporem dzieci ciągle przemieniać uczucia w słowa, a zdania w podawanie rąk. Nie uda się – to trudno.

Ale żyć będzie łatwiej i nie żyć będzie łatwiej, Drogi Panie.

Panie Piotrze, dzisiaj właśnie skończyłem spóźnioną nieco lekturę książki naszego przyjaciela Kazimierza Wiśniaka *Z życia scenografa*. Jej plastyczne walory pozostawiam ocenie osób bardziej ode mnie kompetentnych. Mnie się wydaje, że mamy tu do czynienia z wybitnym malarzem, scenografem i rysownikiem. Wszystko jest nie tylko piękne, ale i nadzwyczajnie zreprodukowane. Miałem nawet zamiar zadzwonić do Niego i wyrazić swój zachwyt, ale pomyślałem w końcu, że w liście do Pana wypadnie to delikatniej.

Byłem w Indiach – bez Marty. Dużo psów! Tysiące psów!!!

W jakimś liście zalił mi się Pan na „Wójta”, który zdaniem Pana, rzucając się w demoralizujący wir telewizyjnego powo-



dzenia, zatracił kontrolę nad talentem, predysponującym go do czegoś ważniejszego. Jeśli dobrze zrozumiałem, chodziło Panu o Jacka Żakowskiego. Nie wiem, czy kiedyś dotrze tam do Was jego artykuł pt. *Nigdy znaczy nigdy*, zamieszczony w „Gazecie Wyborczej” 22 lutego 99 r. Jeżeli tak, przekona się Pan sam, jaki to ciągle wspaniały facet. Wybłagaj Pan więcej takich, ubierz najlepiej na czarno i przyślij w ozdobnej paczce na Ziemię, która wypięknieje przez to, że stanie się trochę mądrzejsza.

Wielkie dzięki i gratulacje, Panie Jacku.

Dużo serdeczności, Panie Piotrze,

Pański Jan Nowicki

Kraków, marzec 1999



Pan Jan Nowicki Zemia

Drogi Panie Janie,

czytam tu niewiele. Zawsze jednak z ogromnym upodobaniem sięgam po tomy Ewangelii. Parę dni temu wziąłem do ręki św. Mateusza i odkryłem, że księga IX jest założona karteczką zapisaną wierszem. Odłożyłem tę karteczkę i zabrałem się do lektury pięknego fragmentu, zaczynającego się od osiemnastego wiersza. Pamięta Pan przecież:

Gdy to mówił do nich, pewien zwierzchnik synagogi przyszedł do niego i oddając pokłon prosił: „Panie, moja córka dopiero co skoła, lecz przyjdź i włóż na nią rękę, a żyć będzie”.

Jezus wstał i wraz z uczniami poszedł za nim.

Gdy Jezus przyszedł do domu zwierzchnika i zobaczył fletnistów oraz tłum zgietkliwy, rzekł: „Usuńcie się, bo dziewczeczka nie umarła, tylko śpi”. A oni wyśmiali Go.

Skoro jednak usunięto tłum, wszedł i ujął ją za rękę, a dziewczeczka wstała.

Skończyłem czytać i z ciekawością zerknąłem na odłożony rękopis. Przeczytałem tytuł, który mnie zdumiał: *Talita kumi* – proszę Pana. Co po aramejsku znaczy – „Dzieweczko, wstań!”. Westchnąłem, licząc na to, że pierwszy dzień wiosny rozgrzesza i zacząłem czytać.

TALITA KUMI

Pod nosem, rozmazany od rozpaczy... Smark.
Metr pięćdziesiąt wysoki – chudziuteńki gość.
Ręką grzebie pod kołdrą i gryzieniem warg,
Krwawi usta dziewczeczki, którą porwał ktoś.

Dzieweczka odeszła, bo na co jej Smark.
Noc mokra od spełnień nad jej głową dyszy.
Chłopiec rozdrapuje pierwszy w życiu garb.
A ona nie widzi. A ona nie słyszy.

Talita! Talita!
Talitę chcę związać promieniem słoneczka!
Kumi – a ogrzeję oddechami łań!
Talita, to znaczy dziewczeczka.
A kumi – znaczy wstań.

Oj szczeniak, szczeniak! – przyglądam się tobie.
I wiszę śliną nad twą młodą klęską.
Zapomnisz przecież. Na dzieciństwa grobie
Położysz kamień – ciężki dumą męską.

Płyciutka rana – drasnęła przyglupa.
Powróci uśmiech. Zyskasz doświadczenie.
Dzień będziesz witał zarzynaniem trupa.
Przegonisz cienie. Dogonią cię cienie.

Talita! Talita!
Talita – niegodna ust i pierścioneczka.
Kumi – bo nie wstrzymasz rozpedzonych sań.
Talita – to już nie dziewczeczka.
A kumi – nie znaczy już wstań.

Kiedyś marzenia, a teraz kobiety.
Wracają. Płaczą. Kłamią jedną łzą.
A tamtych dziewcząt, już nie ma, niestety.
Zniknęły, umarły – a może wciąż śpią?

Panie Janie, oniemiałem i nie mając zamiaru bawić się
w komentarze, wysyłam zaraz ten grzeszny wierszyk Panu.
A miejsce mojego ulubionego fragmentu *Ewangelii wg św.*

Mateusza, od dziś znakować będę lekkim piórkiem młodego Anioła.

„Dzień będziesz witał zarzynaniem trupa” – obrzydlistwo!
Panie, to pisał chyba jakiś wariat!

Pozdrawiam serdecznie

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Tam, gdzie przed wiekami stało drzewo, marzec 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The tree is covered in green leaves, some of which are pointed and serrated. At the base of the tree, a small brown and white dog is sitting on a patch of yellow ground, looking up towards the tree.

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

Zabrze – moja obecność. Pańskie – stare, bo ja wiem – wspomnienie. Rytuał zawsze ten sam. Najpierw coś tam, dalej jedna, a może i następna noc w pracowni Romka Nowotarskiego. Długa rozmowa tak naprawdę będąca monologiem wielkiego malarza. A potem już tylko odrobina wyczekiwanej samotności. Noc. Po niej dzień przerywany astmatycznym wiatrem, rodzącym się gdzieś na jedenastym piętrze wieżowca.

Jakoś niewesoło, Drogi Panie. Okazuje się, że zbliżająca się właśnie sześćdziesiątka niewiele znaczy. Stare kujawskie powiedzenie „po kopie – po chłopie” nie pozwala zapomnieć o straconych złudzeniach.

Jakieś telefony, proszę Pana, jakieś zawsze uzasadnione reprimendy, jakieś permanentne poczucie winy, którego za żadne skarby nie pozwoliłbym nigdy i nikomu zmasać. Chyba że gumką, która nie zaciera sensu.

Biedakowi nie wolno odbierać zabawek, nawet tych bez rąk i tych bez nóg. Bo cieszą i trzymają go przy życiu – jakiegokolwiek by było.

Wstydzę się przed Panem – dlaczego? Bo jestem tu w sprawie suki. Ona powinna mieć szczenięta, ale pies Ben do wczoraj nie wiedział, o co chodzi. Jedno z najdziwniejszych zdarzeń mojego życia. Patrzysz Pan na jeszcze nieświadome swej dojrzałości zwierzęta i nie wiedząc czemu, krępuje cię własne rozeznanie.

Zostawiłem Tinę w cudzym domu – może coś do jutra odkryje.

A wychodząc stamtąd, czułem się sutenerem, który małej suce nie ma odwagi spojrzeć w oczy.

Mówi Pan, że wiosna? Dobrze, może być i ona. Tym razem zobaczę Kirgizję i przysięgam Panu, że jak wszędzie przyjrzę się tylko liczbie psów i być może kotów.

Wrócił Zbyszek Preisner. Mieliśmy się zobaczyć, ale nie wyszło. Żałuję, bo chyba się za nim stęskniłem. Im dalej w las, Drogi Panie, tym mniej mnie stać na rezygnację z przyjaciół.

Na dole, z lewej – boli mnie ząb. Kiedyś z takich powodów cierpiałem, ale teraz tylko cieszę się, że stać mnie na ból.

Piszę do nas nasi Czytelnicy i całkiem jak w życiu pozdrawiają. Widać nie wszystko stracone. Tylko dlaczego Jerzemu T. wyznaczył Pan spotkanie w taki nieprzychylny dzień?

Uściski dla Pana, dla Niego ukłony

Pański Jan Nowicki

PS Ostatnie wiadomości z „frontu”. Psy objęte łapkami leżą na łóżku. Pani Beata chodzi na paluszkach, a one wciąż śpią i może śnią o bezpotomności. Poddaję się, Drogi Panie.

Zabrze, marzec 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

słońce dziś nie pali – tylko grzeje! Pewien uśmiechnięty księżyc, bez niczyjej pomocy, sam zawiązał się odświętnie w krawat! Gwiazdy, w takich chwilach całkowicie zależne od naszych upodobań, przemieniały się w piłki do: tenisa, basketu, ping-ponga i futbolu. Na całym nieboskłonie i żółtych łąkach rozgrywamy teraz wielkie spotkanie, w którym nie będzie zwycięzcy. Bo dzisiaj radość za przeciwnika ma szczęście.

Ożyły, śpiące przez cały rok w szczelinach skał, robaczki świętojańskie. Przylepione pazurkami do skrzydeł Aniołów, świecą zachwycającym miliardem. I nucą coś, co w porywach przypomina zwykły wiosenny wiatr. Z Ziemi, Panie Janie, z krakowskich Plant.

Zepsute zegary, od lat niczyją ręką niedotykane, znowu zaczęły odmierzać godziny. Ze szczęścia, a także z powodu zardzewienia trybów i ze spopielenia wskazówek, każdy z nich pokazuje inny czas. Jednak nikomu to nie przeszkadza, bo dzisiaj od dzwonienia dzwonów, brzęczenia budzików, trąbek, syren, od kukania drewnianych kukulek, no a przede wszystkim od walców, którym wzruszenie pomieszało rytm – zapomnieliśmy patrzeć. Trochę szkoda. Złota tancerczka, wmontowana w pozytywkę wiedeńskiego zegara, przestała właśnie wirować i ze wstydem obciąga jedwab sukienki, którą uniósł świętojański wiatr.

Nawet Anioł-Boryna się rozchmurzył. Stoi teraz na górze, świątecznie przygryza zębami sumiasty wąs, obejmuje wzrokiem bezkresne pastwiska Nieba i szepcze bez przekonania swoją obsesyjną śpiewkę o... zmarnowanym sianie. Cyryl od-



stąpił lepsze łóżko Metodemu. Księżniczka Justyna brata się z ludem. Anioł-Matejko zabiera się do malowania pierwszej w „życiu” miniatury. Ayrton Senna gładzi swojego śnieżno-białego osła i od rzeczy szepcze: – „Mój ty osle, mój osiołku mechaniczny”!

Jakaś bliżej nieokreślona nadzieja ogrzewa nasze serca. Myślimy z trwogą, czyli po ludzku, że skoro ON – to może kiedyś my także...! Bo nawet Pan nie przypuszcza, jak bardzo chciałoby się wrócić do tej gorszej sfery bytowania dusz. Do małych przewinień, ścieranych szeptem konfesjonału. Do smaku wina. Do zapachu bzów, chłodnego kształtu kasztana, skrytego w dłoni. Do młodych ziemniaków z mlekiem. Zarywanych nocy. A nawet do łez, które można zetrzeć ustami.

Jednym słowem do życia, Drogi Panie, do życia. Kochałem je i... Kocham.

Jego jeszcze tu nie ma. Pozostanie u Was, niby na zawsze, ale tak naprawdę wróci, jak wraca każdy król – na swój osamotniony, bursztynowy tron. I dobrze, bo z Nim powróci miłość, o której kiedyś pisałem, że uleciała. Autorytet Ojca, nawet jeśli Absolutny – nie wystarcza. Oczekujemy w Niebie na kogoś, kto kiedyś umiał być człowiekiem. Bo tylko człowiek potrafi do końca zrozumieć człowieka.

Alleluja! Alleluja! Alleluja! Chrystus zmartwychwstał!!!

Przepraszam, ale w świetle tak ważnych wydarzeń, prawie zapomniałem o Pana ostatnim liście. Niejasny on, oj, niejasny! Coś Pan tam opowiada o telefonach, psich zalotach, wietrze oraz straconych złudzeniach. Za dużo tego. Czy nie lepiej byłoby przyznać od razu, że tamtego dnia bolał Pana ząb?

Uchyłam kapelusza i pozdrawiam świętecznie

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. W powietrzu, kwiecień 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

zauważył Pan, ile w naszych listach świąt? Pisaliśmy dotąd o Bożym Narodzeniu, Nowym Roku, Świącie Zmarłych. Teraz Wielkanoc. Mój Boże, ma Pan rację, to dobre święto – wiosenne. A wie Pan, co w nim cenię najbardziej? Kolor powietrza! Proszę nie myśleć, że się pomyliłem – mnie naprawdę chodzi o kolor powietrza. Wiele mu zawdzięczam.

Tak się jakoś porobiło, że tamte schyłki marca i początki kwietnia wypchnęły na margines dzisiejsze. Jak dzieciństwo i młodość, które choć dawno umarły, biorą w litościwe łapki zdekompletowaną, świadomą kresu dojrzałość.

Ale to chyba nie jest do końca tak, że szarotki, sasanki, srebrne okonie, po które wystarczyło sięgnąć ręką, zdeptał sam człowiek. To może być tak, że tamto piękno, tak nierozdzielnie związane z umykającym dzieciństwem, musiało odejść razem z nim.

Zatem każda dojrzałość u końca styka się z grabarzem, który wlecze za sobą trupy tamtych kwiatów, tamtych drzew, tamtych ptaków.

A co się tyczy koloru powietrza, który zgubiłem kiedyś, a potem odnalazłem, to było tak, proszę Pana.

Pierwszy dzień chłopców Wielkiejnocy rozpoczął się zawsze postrzępionym od wybuchu kalichloru świtem. JUTRZNIA! Powietrze barwy starego srebra, przydymione i chłodne. Nieliczne strzępy porannego słońca, odbite od uczestników procesji, osiadały na złotych kolecach monstancji, płonącej nad głową księdza Rudzińskiego. Stoję i trzęsę się na przemian z zimna i zachwytu. Ten świt, ten dzień – Drogi Panie – został mi bardziej w oczach, nozdrzach niż w sercu. Ale kto by wtedy przypuszczał, że wiarę w Boga można zobaczyć i powąchać.

Minęły lata, Panie Piotrze, dużo, dużo lat.

Młode, a potem dojrzałe życie wypełniały miasta, kobiety, praca, kontynenty i apetyt. Wilczy apetyt na wszystko. Zaspokajany latami, od rana do wieczora. Umykały gdzieś pory roku. Wdychały i wydychały płuca. Żołądek wchłaniał i pozbywał się. Świty witałem nierzadko w hotelach o nieznanej nazwie. Rodziły się dzieci, ktoś umierał, mijały uczucia, pojawiały się nowe. Poniedziałek? – a może środa? Czwartek? – nie, to chyba piątek. Co się stało z sobotą, kiedy minęła, gdzie teraz jest?

No i wreszcie musiała nastąpić ta chwila, kiedy to wywłócił mnie z nocnego lokalu trzeźwy kac i kazał dłużej niż zwykle spacerować po płycie Głównego Rynku. Tam spotkałem zamiatającego ulicę ciecia, który zdumiał mnie informacją, że dzisiaj... niedziela. Przydepnąłem papierosa, odetchnąłem wiosennym powietrzem o smaku palonej gumy i po raz pierwszy od wielu lat rozejrzałem się w poszukiwaniu koloru tamtego powietrza. Na próżno.

Stałem sam, w sercu swojego miasta i nie widziałem nic.

Po tygodniu, a może po dwóch, poszedłem na mszę do kościoła Sióstr Wizytek. Potem poszedłem tam drugi, trzeci, siódmy raz i nagle stwierdziłem z radością, że coś wraca. Tę rzecz ktoś bardziej romansowy nazwałby, pewnie słusznie, powrotem do Boga. Mnie w zupełności wystarcza odzyskanie kolorów niedzieli, dostrzeganych tylko wtedy, kiedy po odrzuceniu wszystkich mądrości doczesnego świata, stać cię na to, żeby rano ubrać w coś ten drobiazg, który nazywamy istnieniem. I udać się do świątyni po to, żeby odgrzebać w sobie człowieka, który szczęśliwie uniknął choroby zwanej daltonizmem.

Rozpisałem się, Drogi Panie, przepraszam i ciepło pozdrawiam

Pański Jan Nowicki

Kowal, kwiecień 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

księżniczce Justynie odbiło. W czasie intensywnego bratania się z ludem ta piętnastoletnia dziewczeczka, a zarazem arystokratka czystej krwi, bardzo się pogubiła. Dziwne. Bo przecież u nas nie ma tych Waszych pączków na krzewach i omdleń. Rwących potoków tęsknot. Skurczonej przestrzeni tlenu ludzkich pragnień. Pary długich – ale psiakrew – istniejących przecież oddechów, wplątanych w przychylny kołnierz poety Dobromira Kożucha. Nie ma dygotów i zahamowań, bo... Ziemia – jeśli nawet zmęczona – to jednak ciągle dyszy.

Do nas nie przyszła wiosna, której początek trudno jest uchwycić, która ogłasza się bezrozumną sieczką śpiewu ranego ptaka i pornograficznym kwileniem kotów. Ale coś do nas dociera. Niewiele – to prawda. Może tylko mgła wspomnianych oddechów. Nadzieje szybujące i zmierzające donikąd. I jeszcze marzenia o szczęściu, wysyłane w białych kopertach wypełnionych kurzem Ziemi.

Tu nie ma Waszej wiosny, Drogi Panie. Nie ma maja, z jego bolesną kruchością trwania. Tutaj zawsze jesteśmy i zawsze będziemy, my kresowiaci – u kresu.

Chociaż...

Przedwczoraj Justyna zaprosiła mnie, tak naprawdę po raz pierwszy, do swojego domku skrytego w pięknej dolinie, otoczonej z dwóch stron płaskowyżem z piasku i światła księżyca. Nad chałupką zobaczyłem okrągły kurhan, a na nim gniazdo, w którym kamienny bocian czekał, płacząc, na powrót swoich dzieci. Rezydencję księżniczki otaczała żółta trawa, z której ta oszalała dziewczyna starała się stworzyć coś na kształt pałacowego ogrodu. Justyna objęła moją dłoń srebrną

ręką i wbijając w nią delikatnie niebieskie paznokcie, poprowadziła do środka. Przez okno!

– Dlaczego tędy? – spytałem.

– Zapomniałeś?

Wewnątrz był tylko jeden pokój z małym okienkiem. Moja dłoń czuła bliskość księżniczki i dziwnie marzła. Wstydziła się i drętwiała. Drętwiała i wstydziła się. Chcąc uwolnić się z uścisku, podniosłem nasze ręce do góry i wtedy zrozumiałem, że jestem bez szans, bo jej niebieskie paznokcie, na moich oczach, śpiewnie zapadały się w czerwień.

Justyna zaczęła opowiadać o swoim domku nabożnym szeptem. Zupełnie tak, jakbyśmy spacerowali po komnatach wspaniałego zamku. Wciągała mnie w tajemnice, które odkrywałem na nowo.

– Zobacz, Piotrze – jedno okienko. W okienku dwie firan-ki. Niżej dwie zasłoneczki. Teraz spójrz na wnętrze. Poduszki, poduszcзки, widzisz? Popatrz, tam wisi dzwoneczek ze złotym sercem w środku.

A przecież ja to wszystko już kiedyś widziałem, Panie Janie. Widziałem to wszystko wcześniej – na pewno! Żyłem wystarczająco długo, żeby mieć na sumieniu dziesiątki rozbitych szyb, wiele zdartych ze złością, albo przez przypadek, firan i zasłon. Miałem w rękach i pod głową niejedną poduszkę. Nie raz, nie dwa, dzwoniłem dzwoneczkiem. A serce? Mój Boże, mnie chyba nie wypada teraz o tym mówić.

Milczałem więc i tylko przysлуchiwałem się gorącym słowom księżniczki, której daleki oddech wiosny tak bardzo pomieszał rozum, że dzisiaj umiała tylko proste rzeczy nazywać prostymi imionami.

A obok mnie milczała, przytulona do metalowego krzyża, dobra Madonna.

Dziwne. Ale przecież Pan się domyśla, że tutaj idzie o coś ważniejszego – niż miłość.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, kwiecień 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The tree is covered in green leaves, some of which are pointed and serrated. At the base of the tree, a small, white dog with brown patches is looking up towards the branches. The ground is a simple yellowish-brown color.

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

przyznam się, że nie do końca rozumiem, w czym rzecz. Co tak naprawdę stało się z Justyną? Dlaczego, jak Pan to elegancko ujął, odbiło jej? Pan wybaczy, ale mam wrażenie, że list Pana otacza jakiś przenikliwy chłód skrywanej emocji. Może setki lat, dzielące księżniczkę od śmierci, nie wystarczają na to, żeby mogła z powodzeniem oprzeć się skutkom przyciągania Ziemi.

Ona, proszę Pana, wygląda mi po prostu na zakochaną. A jeśli ciągle ma te swoje piętnaście lat, to znaczy, że kocha i bez sensu, i bez pamięci. A wie Pan kogo? Pana! I co Pan na to? Pański ojciec był, co prawda, pułkownikiem wojsk polskich, ale to za mało i Justynie grozi klasyczny mezalians.

A wiek? Czy Pan wie, ile Pan ma lat, Drogie Dziecko?

O czym ja piszę, w co mnie Pan wciąga?!

Trzymajcie się tam raczej anielskiej odmiany miłości bliźniego. Bo ludzka miłość boli czasem i poniża. A że jest w tym miejsce także na pewną przyjemność? Mój Boże, to tylko jeszcze jeden grzech – nic więcej. A jeśli księżniczka kocha Pana... poniekąd?

Czerwień paznokci odbieraj Pan raczej jako objaw wstydu, nie namiętności. Justyna swój – rodzący się dopiero – odruch serca umieszcza być może w podświadomej wiedzy o nieuchronnej dojrzałości. Ona może i kocha, ale jakie to ma znaczenie? Młoda jest, Panie Piotrze, i wbrew pogłoskom, źle urodzona. Jej arystokratycznych żył nie wypełnia błękit, a banał tajemnej perspektywy.

Ale niech się Pan nie martwi. Kobiety, nawet te piętnastoletnie, potrafią stać twardo nie tylko na Ziemi – w Niebie tak-



że. Zamiłowanie do porządku znakomicie przenoszą z kuchni do sfery uczuć. Dlatego je kochamy. Dlatego nie rozumiemy ich i boimy się.

Proszę poczekać. Ma Pan czas.

Księżniczka być może jeszcze raz zaprosi Pana do swojego domku. Ale wtedy proszę się strzec. Jeśli to prawda z tymi płonącymi dłońmi, to za jakiś czas może Pan być świadkiem nieprzyjemnego pożaru serca. A jak serce płonie, to od razu słyszeć – płonę! płonę!! płonę!!! I robi się głupio.

Więc, nie słuchaj Pan raczej. Nie zabieraj się do gaszenia, ale i nie podsycaj. Szkoda czasu – One tak naprawdę nigdy nie zamieniają się w popiół i wychodzą z pożaru nietknięte. I dalej dumnie niosą nad głową sztandar płci. Do nowego domu, w którym już czeka... następny.

Piękne, dziewczęce, senne, wyczekujące. Z niewidocznymi dla oka śladami oparzeń. Mówię panu.

Pański, bądź co bądź, syn strażaka

Jan Nowicki

PS Jestem ciekaw rozwoju wydarzeń.

Kraków, kwiecień 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

dzisiejsza noc znowu bez snu. Gorzej – dzisiaj w ogóle nie było nocy!

Leżałem więc z otwartymi oczami, które kiedyś Joanna – w przypływie nadmiernej sympatii – przyrównała do pary górskich jezior, i patrzyłem z nadzieją w słońce. Marzyłem naiwnie o skrawku ciemności, kryjącym się za plecami tego wszechobecnego debila – słońca. Mój sen nie nadchodził, nie mógł nadejść.

W taką „noc”, nam, wybrańcom losu, lepszym i gorszym, odbiera się prostą możliwość zamknięcia powiek. W taki „dzień” zmarli leżą, siedzą, stoją – zapatrzeni w jeden punkt. Złota kula słońca przegląda się tymczasem w lustrze naszych otwartych oczu. I zamiast grzać – mrozi. Długie rzęsy młodych Aniołów przemienia w sopte, bielma starych – w lód.

W tym niebiańskim szczęściu nieprzespanych nocy – żeby nie oszaleć – uciekamy w marzenia.

À propos... czy Pan wie, że gdzieś tam, na niebieskich peryferiach Nieba, w wydrążeniu skał, znajdują się przepastne archiwa naszych ziemskich przewinień? Kto nimi zarządza, nie wiem, bo dokument, który do mnie dotarł, przyleciał na skrzydłach wielkiego mola książkowego. Mól zawisł nad hacjendą, zrzucił zdjęcie i odleciał. A za nim chmura zetlątych woluminów.

Podniosłem tajemną przesyłkę i spojrzałem na skromną fotkę, na której rozpoznałem siebie i twarz stosunkowo młodej kobiety. Ja, jak to ja, ale jej uśmiech wydał mi się niezna-ny. Gdy próbowałem rozpoznać tę twarz, z koperty wyleciała

karteczka z wykaligrafowanym starannie krótkim komentarzem: „Skrzynecki Piotr – syn Mariana. Skazany na żywotni pobyt w Niebie. Uzasadnienie wyroku: krótkie sny na głowach pięknych kobiet”.



Zobacz Pan, taki drobiazg, a zdecydował.

Dowód winy, ze stosownymi życzeniami, wysyłam do Krakowa.

Zdziwiony niepomiernie

Pański Piotr Skrzynecki

PS Do sprawy księżniczki Justyny wróć niebawem, bo Pański list w tej sprawie wydał mi się tak trafny, że aż niestosowny.

Niebo. Hacjenda, maj 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The leaves are green with prominent, serrated edges. At the base of the tree, a small brown and white dog is looking up towards the branches. The ground is a simple yellowish-brown wash.

*Pan Piotr Skrzyneczki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

Marta Meszaros nakręci w Kirgizji swój kolejny autobiograficzny film *Mała Wilma*. Ekipa w większości składać się będzie z najbliższej rodziny reżyserki, która twierdzi, że pieniądze z takim trudem zdobytych, nie wolno rozdawać obcym. Ale to tylko pozory – Drogi Panie. „Stara” Marta wybiera się przecież w dziwną, być może ostatnią podróż, do tragicznej krainy wczesnego dzieciństwa. W góry Tien-szan, nad Issyk-kul. Tam, gdzie w niezlokalizowanych grobach leżą jej najukochańsi. Ojciec i Matka. A ci, których teraz zabiera w podróż, mają jej raczej pomóc w powrocie do domu – na własnych nogach, z ocalałym kawałkiem niezbędnego do życia serca. Wilma – to imię matki Marty. Wilma – to imię bohaterki, którą w filmie zagra 10-letnia wnuczka Marty – Cleo.

STARA MAŁA WILMA

Pamięci późna,
Czemu opóźniasz
Nasze spotkanie?
Spraw, żeby w końcu
Koniecznie w słońcu,
Wspomnieć – wezbrane
Issyk-kul!!!

Jeziro ciemnym
Nurtem tajemnym,
Mami witrażem
Roztrzaskanych szkieł.
Pastelem marzeń.

Kaleczeniem mgieł.
Issyk-kul!!!

Dwa serca – topnieją w górach.
Sople lodu – w kirgiskim słońcu.
Serce matki – najwyżej, w chmurach.
Serce ojca – ktoś przestrzelił ojcu.

Wspomnienia o tym ukrył mój Balaton.
Bezradne, małe, skute – ćmiący ból.
Przestałam ufać śpiewającym ptakom.
Łzom, co soliły – piękne... Issyk-kul!!!

Miłości późna,
Czemu się spóźniasz?
Może coś zmienię.
Dziś mała Wilma
Starość zaczyna,
Wistuje cieniem.

Treflem przebija,
Bo życie mija.
Zaciska szczękę
I patrzy w niebo.
Ma ostatniego
Pokera... z ręki.
Issyk-kul!!!

Dwa serca – topnieją w górach
Sople lodu – w kirgiskim słońcu.
Serce matki – najwyżej, w chmurach.
Serce ojca – ktoś przestrzelił ojcu.

Wspomnienia o tym węź, Panie, pod sąd!
Bezradne, małe, skute – ćmiący ból.
Issyk-kul! Issyk-kul!

Znaki. Grobów nie ma.
Na pustej mogile, zamiast krzyża –
Purpurowy błąd. Maki, maki.
Issyk-kul! Issyk-kul!!!

Co Pan o tym sądzi, Panie Piotrze?

Pański Jan Nowicki

Budapeszt, maj 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

za moim oknem dwa kurhany. Na szczycie tego z prawej leży wielki kamień – wyzbyty nadziei. Na stromym zboczcu tego z lewej, leży mniejszy i – ciągle czeka. Od czasu, kiedy tu nastąpiłem, każdy dzień zaczynam otwarciem okna.

Przyzwyczałem się, Drogi Panie. Polubiłem kształty moich kamieni, kolor i ciszę w którą się przyoblekli. I święty spokój!

Przez długie miesiące nic się nie działo. Rzadkie świty i równie rzadką ciemność, spiekotę albo chłód duży kamień niezmiennie ignorował – dawno temu zapadł w sen. A mały, jak to mały, czepiał się gasnącego pragnienia.

Najstarsze Anioły powiadają, że lawiny w niebie zdarzają się rzadko – prawie nigdy. Cisza przed nimi trwa zatem całymi latami, a nawet dziesiątkami lat. Ludzie by tego nie zniesli, ale Anioły potrafią.

Kiedyś, o świtaniu, zobaczyłem, jak mniejszy kamień drgnął. A po nim ten drugi, na moich oczach przemówił niespodziewanie miękkim szeptem. I nagle zakochane kamienie zaczęły spadać w dół. Najpierw powoli, potem szybciej i jeszcze szybciej. Podskakiwały zabawnie na nierównościach terenu, krzeszały skry i zmierzały wyraźnie do siebie – czyli donikąd.

Niedobrze – pomyślałem.

I rzeczywiście. Po chwili wyły już niebieskie syreny, ostrzegające przed lawiną ludzkich uczuć. Uśmiechnąłem się. Wiedziałem przecież, że kamienie tuż przed spotkaniem i tak zwolnią bieg. Staną i, z braku ust, przywrą do siebie za ledwie zdyscyplinowanym cieniem.

Alarm odwołano.

Za moim oknem dwa samotne kurhany. Na szczycie tego z prawej leżał kiedyś wielki kamień, który mądrze... wyzbył się nadziei. Na stromym zboczu tego z lewej leżał wcześniej mniejszy i słusznie... czekał.

Jeden spał, drugi czuwał, i chyba dlatego bardzo się pokochały. Minęły tygodnie, aż wreszcie nastąpiła noc. Ta jedna, jedyna. Księżyc zabłądził, posnęły planety, gwiazdy przymknęły utrudzone oczy, słońce zmądrzało, potem zaszło. I tylko chór Anielic cierpliwie ćwiczył proste motywy cykad.

Mały kamień cicho mówił o swojej miłości: że czekał od dawna, że tęsknota go nie opuszcza, że nadzieja jest matką mądrych, że twarde granity bywają miękkie jak wosk. Mówił o żwirze, z którego kamyki, o kamykach, z których kamienie, o kamieniach, z których skały, o skałach i łańcuchach skał, o łańcuchach wiążących dłonie. A skończył na górach, które można przenosić.

Duży tymczasem milczał i trwał.

W kamiennych żyłach topniała mu skamieniała krew. Wysznięte wiekiem usta szeptały bezdomne wyznania. W kalekim sercu – niegroźny zator. Próbował zbliżyć się, ale nie miał nóg. Usiłował objąć, ale nie miał rąk. Z wąskiej szczeliny spłynęła jedna, zdziwiona sobą – łza.

A potem ciepłe mądrością ręce Najwyższego podniosły skaleczone kamienie i litościwie przeniosły je na stare grzędy. Trwają tam do dziś. Wielki – wyzbyty nadziei. Mniejszy – wiecznie czekający.

Czas zamknąć okno, Drogi Panie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, maj 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

dzisiaj trochę o ziemi pługiem odwróconej w stronę słońca.

Uciekam przed wiosną, Drogi Panie, bo jej krucha uroda najpierw zachwyca, potem paraliżuje cierpką zapowiedzią końca. Ma rację Marta, twierdząc, że brzydkie kobiety w nagrodę na starość pięknieją. Pańska Justyna to co innego. Ona spadła z konia na cztery łapy. Te piętnaście lat zatrzymała dla niej śmierć na wieki wieków, amen. Niebo konserwuje.

À propos, Panie Piotrze, może gdzieś Go Pan spotkał? Wie Pan, taki duży, z wielkimi skrzydłami i siwą brodą. Teraz chyba wygląda inaczej, bo jesienią minie rok. Ale i tak pozna Go Pan po delikatnych dłoniach. Proszę obserwować Anioły w czasie wieczornego posiłku. Bo jeśli jakiś spojrzy na łyżkę tak, jakby próbował ją od nowa pojąć, to może być On. Proszę także obserwować, czy ktoś pośród Was nie szuka korzeni drzew. A może przygląda się drewnianym kolcom bron, skorodowanym pługom, widłom i kosom...

A jeśli Go Pan nie znajdzie, proszę lecieć dalej. Może na żółte łąki, gdzie obok nieistniejącego drzewa stoi chałupa Anioła-Boryny. Widzi Pan drzewo? – to dobrze. Teraz proszę zapytać o drogę narysowanego gołębia. Tego co siedzi w nieistniejącym gnieździe. Nie widzi go Pan? Przecież tkwi tam od wieków i z braku lepszego zajęcia wysiaduje każdej wiosny ptasie marzenia. Nie ma Go? To może teraz w stronę skał. Ktoś pazurami wydrapał na nich krótki list. Znowu nie On? Niech Pan usiądzie, Panie Piotrze. Proszę odpocząć. Sam przyjdzie... Ale się zapodział, co? A wie Pan, że mi go brakuje? Że za Nim czasem tęsknię? Nie miał nigdy własnej garderoby z mosiężną tabliczką: JERZY BIŃCZYCKI. Siedział razem z nami, ze wszystkimi – to jasne.



Jak Pan otworzy drzwi to zaraz w pierwszym rzędzie, na końcu. Po lewej stronie zwykle krzesło, zwykle lustro. A w nim odbite – Jego zmęczenie. Nie ma Go tam – powiada Pan? Żle Pan szuka, Drogi Przyjacielu, proszę kontynuować. Aha! Myśli Pan, żeby udać się po znajomości do swojego patrona? Proszę bardzo... I co? Św. Piotr powiedział, że nikt o takim nazwisku Niebieską Bramą nie przechodził? Panie Piotrze, to znaczy, że Jego wśród Was nie ma. Dziwne. Ten, który najbardziej zasłużył, nie znalazł dla siebie miejsca w Niebie?

– Panie Janie...

– Pan coś mówił, Panie Piotrze?

– Chyba, że... On został.

– Gdzie został?

– Z Wami został. Bo tak bardzo ukochał ziemię, że teraz nią przykryty nigdy nie opuszcza Krakowa. I trwa tam ciągle z twarzą odwróconą w stronę nieba. Z oczyma, które przykrywa ciężka powieka końca.

– Pójdę do Niego i pogładzę ziemię.

Pański Jan Nowicki

Kraków, maj 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

czy nie lepiej czytać prawdziwych poetów?

Wiersz naprawdę piękny jest sztuką i dzięki temu staje się od razu własnością ogółu, wspólnym dobrem. Biednemu pocie, оголоconemu w jakimś sensie z własności, sprawia to na dodatek wielką przyjemność. Piękne, przyzna Pan, ale i straszne. A jeśli idzie o ewentualną zawiść, na którą i tak nie starczy Panu energii, to da się ją przecież zdusić spojrzeniem w głąb koszy, stojących przy kasach zachodnich supermarketów. Gdzie książki wielkich poetów od lat kisa w towarzystwie papierosów, gumy do żucia i damskich rajstop.

Więc niech Pan nie pisze wierszy, Drogi Panie.

Trochę inaczej mają się sprawy z piosenką. Tutaj, proszę Pana, dotykamy czegoś tak specyficznego, że aż trudno się rozeznąć. Prawdziwa poezja w większości przypadków czuje się skrepowana towarzystwem nut. Rozumieją to prawdziwi kompozytorzy i w większości przypadków wspierają się tekściarzami, do których Pana także trudno zaliczyć. Dobry tekst, napisany z myślą o piosence, wcale nie musi być dobrą literaturą. Tak jak nie bywa nią scenariusz filmowy. W jednym i drugim przypadku chodzi o pretekst – nic więcej.

Więc niech Pan nie pisze piosenek, Drogi Panie.

Panie Janie, dobrze wiem, że Pan mnie nie posłucha i zrobi to, na co będzie miał ochotę.

Lubię ten moment, kiedy pisząc do Pana, mogę się równocześnie delektować Pańską rozmową z Beatą Malczewską, która z takim ożywieniem mówi o konieczności powstania przy Teatrze Starym kabaretu. Niech się Pan nad tym zasta-

nowi, to może być niegłupie. Zawsze uważałem, że skończy Pan nisko, czyli... wysoko. Cieszę się Pańskim spotkaniem z Beatą Fudalej, jedyną kobietą na świecie, którą Pan kocha miłością czystą – powiedzmy.

Ale się w Panu naskręcało. I ta dzisiejsza rozmowa z Niną T., bo Pan się jej jednak obawia, te telefony rzucające Panem raz w lewo, raz w prawo. No i przede wszystkim pies, który tak naprawdę dopiero wczoraj okazał się suką. Proszę pogłodzić ode mnie trójkę żyjących szczeniąt, a martwe pożegnać spojrzeniem i wysłać do orszaku św. Rocha.

Pisz Pan, Drogi Panie, pisz.

Raz lepiej, raz gorzej.

Lubię Pana

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka, maj 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

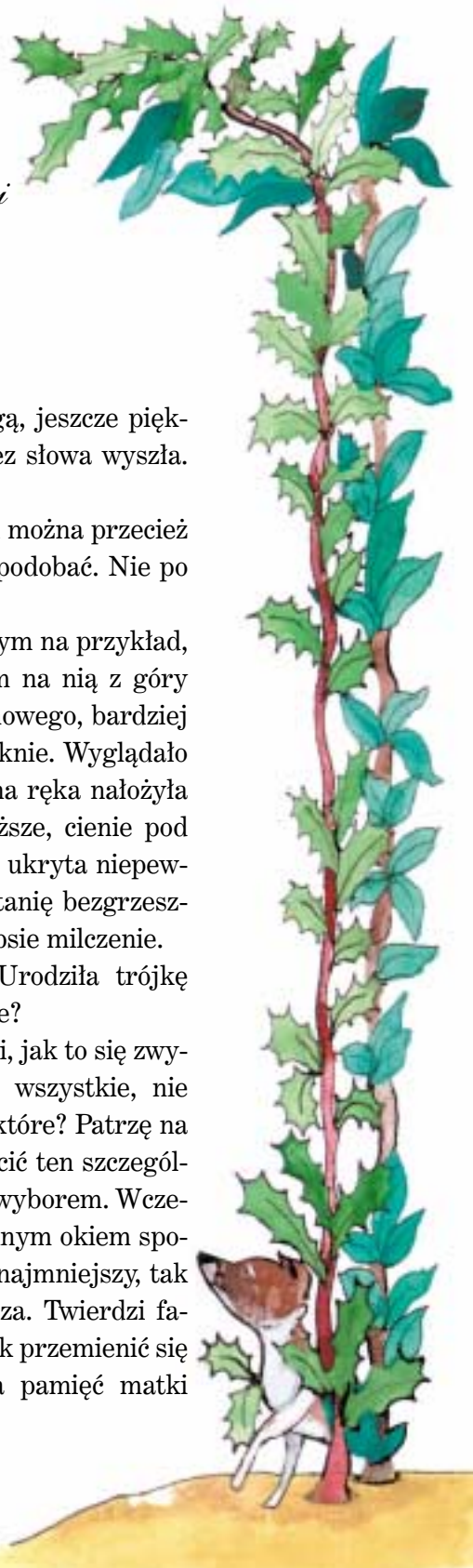
któregoś dnia pewna Pani zrobiona na drugą, jeszcze piękniejszą, srogo zmarszczyła cienką brew i bez słowa wyszła. Na stole pozostał Pański list. Więc cóż?

Może niech nas po prostu nie czyta. Z tym można przecież żyć. Nie po to pamiętamy o sobie, żeby się podobać. Nie po to! A ta Pani tymczasem...

No dobrze, pomówmy o czymś innym. O tym na przykład, jak opadła na miękkie posłanie. Spojrzałem na nią z góry i poczułem zachwyty. Jej oczy wyrażały coś nowego, bardziej dojrzałego, z dnia na dzień postarzałego pięknie. Wyglądało to tak, jakby na jej śliczną twarz przewrotna ręka nałożyła jeszcze jeden makijaż. Rzęsy stały się dłuższe, cienie pod oczami głębsze, a w nich, pod warstwą bólu, ukryta niepewność i dużo oczekiwania. Na co? Może na litanie bezgrzesznych przewinień, którymi chciała przerwać psie milczenie.

Tinka została matką. To wzruszające. Urodziła trójkę szczeniąt. Dwie suczki i psa. I co teraz będzie?

Szczenięta muszą dorosnąć, a potem z nimi, jak to się zwykle brutalnie określać... do ludzi. Ale nie wszystkie, nie wszystkie. Bo jedno zostanie ze mną. Tylko które? Patrę na całą trójkę i bez powodzenia próbuję uchwycić ten szczególny odruch serca, który kieruje ostatecznym wyborem. Wcześniej myślałem o drugiej pani, ale teraz tęsknym okiem spoglądam na małego chłopca, bo on, mimo że najmniejszy, tak bardzo chce żyć. Jednak weterynarz odradza. Twierdzi fachowo, że to laciate maleństwo za głupi roczek przemieni się może w ponurego Edypa, którego krótka pamięć matki grzesznie zaakceptuje. Więc cóż mi robić?



Na wszelki wypadek wyjadę, Panie Piotrze. Wiedziony także innymi koniecznościami pojadę daleko i tam poczekam na rozwój wydarzeń. W domu tymczasem pozostanie niedokonany wybór, który będzie pisał i rósł. Będzie ze zdumieniem przecierał coraz bardziej widzące oczy i będzie... mała. Aż w końcu zapomni, że miał w ogóle miejsce i przestanie istnieć. W daleką drogę zabiorę, Drogi Panie, ludzką pamięć o ulomnej miłości, która nawet w psim koszyku nie umie postawić na właściwego konia.

Pański Jan Nowicki

PS Panie Piotrze, za parę dni wylatuję do Kirgizji. Mówią, że z Frunze do Nepalu tylko trzy godziny lotu. Z początku broniłem się, bo Pan wie, jak u mnie z podróżami. Ale w końcu dałem się przekonać, bo mój syn twierdzi, że stamtąd bliżej do Pana.

Do bliższego niewidzenia zatem

J. N.

Kraków, czerwiec 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

Anioły czasem mówią – czasem... Dlaczego milczą – myślałem – czyżby nie miały nic do powiedzenia? Od pewnego momentu jednak zrozumiałem i zacząłem szanować ich milczenie. No bo niby o czym One mają?... Wszystko było już kiedyś albo będzie. Każdy Anioł tak naprawdę jest kopią poprzedniego i kopią przyszłego Anioła. I jak tu z taką świadomością fruwać? – Drogi Panie.

No dobrze – przestaję bredzić i coś opowiem.

Jakiś czas temu poznałem w Niebie francuskiego Anioła-Samobójcę. Dziesiątki lat przeleżał w cieniu pokrzyw wiejskiego cmentarza, aż wreszcie w wyniku korekt, jakie tam poczyniliście, sprowadzono go do nas. Przez dłuższy czas nie nie mówił, prosił Pana. Tak długo, że zaczęliśmy już tracić nadzieję. Ale pewnego dnia przypadkowo spotkany Monsieur Ange powiedział do mnie tak:

– Wiesz, dlaczego to zrobiłem, Pierre? Dlatego, że nie potrafiłem znieść na Ziemi... udręki ciszy. Mówiłem trochę do siebie, ale to było chore. Czasami do kogoś, szeptem zdesperowanej beznadziei. Ludzie, słuchając mnie, zamieniali się przecież w okrutnych sędziów. W pijawki grzejące brzuchy w zimnym ogniu cudzego nieszczęścia. Milczał także ON – Główny Interlokutor. Milczał, przyglądał się i... czekał. Wtedy ja zaczynałem mówić do Niego. Dużo mówiłem. Największym gadułą stawałem się wtedy, kiedy czułem, jak wysycha mój udręczony mózg. Musiałem mówić, bo przepelniała mnie grzeszna nadzieja, że w milczeniu Wielkiego Interlokutora jest tyle samo zakłopotania, co w moim gadulstwie.

Mówiłem czasem: Panie mój, Pan i ja, Pański robak, tkwimy przecież w tym samym NIEWYPOWIEDZIANYM. Szeptalem do Niego: Dlaczego tak patrzysz na mnie, tymi zielonymi oczyma Największego Dalekowidza? Dlaczego ciągle milczysz? Czy Cię już nie męczy ta Twoja dostojna nieostrość? Dlaczego jesteś chmurny? Proszę, nie odwracaj głowy, nie zamykaj oczu.

Pomilczmy... chwilę... razem!

I wtedy, Pierre, nastąpiło to, co musiało nastąpić.

Wypiłem ostatnią szklanekę czerwonego wina, wypaliłem ostatniego papierosa i przemieniłem się w oszalałą z przerażenia ćmę, w owada, który podjął ostateczną decyzję o podróży do niepoświęconej ziemi. No i... udało się – jak widzisz.

W ciągu przepisowej minuty świat zamarł, a w grobowej ciszy można było usłyszeć posępną muzykę końca, graną z nut rozsypanych na pięcioliniach drutów jutrzejszych telegrafów. Na pięcioliniach polnych dróg, pachnących wolno stygnącym grzechem wyrzuconej z wozu... „baby”.

Pierre, zapytaj koni, czy im teraz lżej.

Coś takiego, opowiedział mi któregoś dnia pewien francuski Anioł-Samobójca. Po czym, trochę bez sensu uśmiechnął się i odfrunął.

Bonne nuit, Drogi Panie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Na większym kamieniu, czerwiec 1999

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

nie dalej jak wczoraj w pewnej kawiarni usłyszałem fragment rozmowy, który mnie rozbawił. Otóż jedna pani stłumionym altem wyznała drugiej pani, że przejadły się jej... trójkąty. Obejrzałem się dyskretnie. Nie wyglądała na nauczycielkę geometrii, ale przy jej gabarytach przejeżdżenie uznałem za możliwe. Dalej nie wypadało słuchać, bo czułem, że wyznanie to dotyczy wyraźnie tzw. trójkąta małżeńskiego. Wyszedłem więc z kawiarni i wachając po drodze różę, otrzymaną z rąk naszej Zuzanny, szedłem Rynkiem i uśmiechałem się pod wąsem. Bo mam teraz wąs.

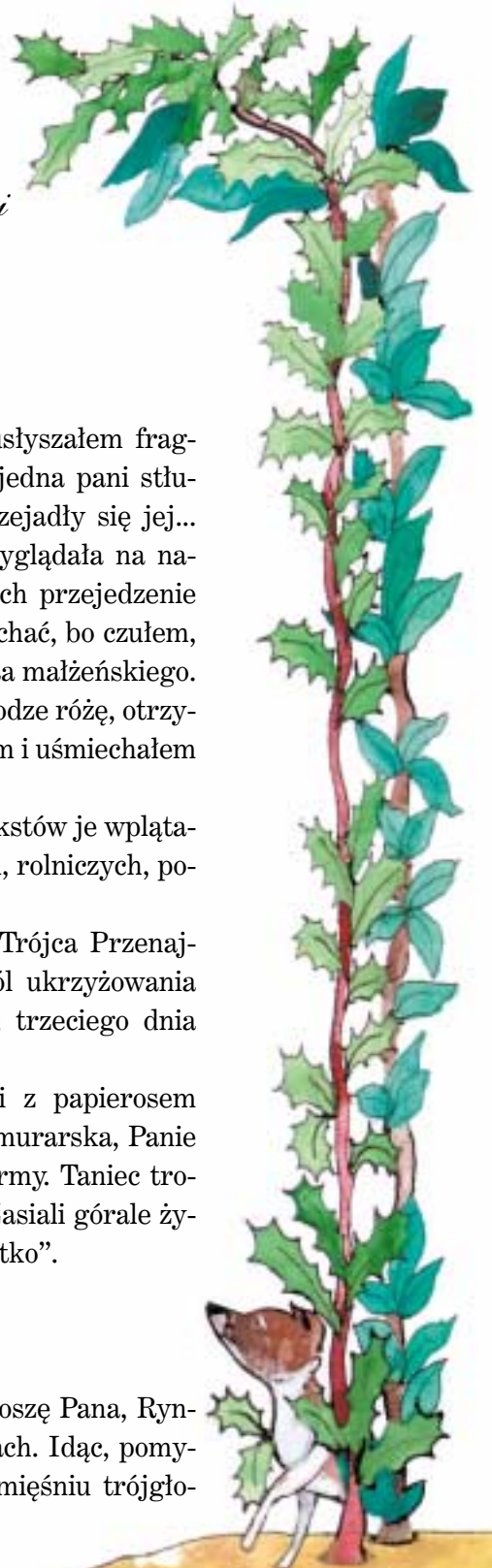
Trójki i trójkąty, Drogi Panie. W ile kontekstów je wplątało, w ile zdarzeń. Historycznych, religijnych, rolniczych, politycznych, muzycznych.

Zdjąłem kapelusz i zacząłem od góry – Trójca Przenajświętsza, Proszę Pana; 33, liczba, która ból ukrzyżowania przemieniła w największą ludzką nadzieję; trzeciego dnia zmartwychwstał. To na początek.

A teraz, już z kapeluszem na głowie i z papierosem w ustach, zabieram się do dalszych. Trójka murarska, Panie Piotrze. Ile wspomnień, ile emocji, jakie normy. Taniec trojak, wspomnienie ze szkoły podstawowej: „Zasiali górale żyto, żyto. Od końca do końca wszystko, wszystko”.

- Słucham?
- Ja nie do pana.
- Rozumiem.

Odszedł i nic nie zrozumiał. A ja dalej, proszę Pana, Rynkiem w stronę ratusza, z różą w trzech zębach. Idąc, pomyślałem radośnie o Trójkącie Bermudzkiemu, mięśniu trójgło-



wym, trójpolówce, trójnogu, trójzębie. Wspomniałem przez moment Zbyszka Joachimiaka z Trójmiasta, po czym nie wiadomo dlaczego, biegiem ruszyłem do „Vis-à-vis”. Po drodze moja róża upuściła trzy płatki. Minałem ławkę, gdzie staruszkowie rozgrywali we dwóch intymnego pokera. – Bóg lubi trójkę – powiedział jeden i zgarnął wszystko.

– Jestem trzeciorzędnym aktorem – wyszeptałem z radośną ulgą.

– Słucham?

– To znowu pan? Ja tak do siebie.

– Rozumiem.

Przeciął mi drogę, dziwnie zamyślony. Brodaty jak Pavarotti z trójki tenorów. Bistro.

– Pani Krysia – trzy razy trójniak proszę! Trzeci na trzecią nóżkę. Że nie mam? Poczekam – może wyrośnie. Trzeciorzędny dowcip? Przepraszam, ja dzisiaj jestem bardzo, bardzo szczęśliwy, pani Zosiu.

– Jestem Krysia!

– Pani Krysia – oczywiście. Proszę się nie gniewać, po tym trójniaku troi mi się w oczach. Troi? Troja! Nie byłem, szkoda. Pani je pomarańczę – smaczna?

– Niezła.

– Zaraz, zaraz *Miłość do trzech pomarańczy*. Pani nie wie? Prokofiew. Tak, tak, tak. Trzy razy tak. W Krakowie nie chwyciło, mieli za złe. Mogiła. Nie, ja nie o tym. Wychodzę.

Na rynku wózek z trojaczkami w środku. Próbuje z trzech metrów wrzucić do niego różę. Pierwszy raz nie wpada, drugi nie wpada, za trzecim razem tak. Do trzech razy sztuka. Sztuka? Muzyka, teatr, nie... film! Zaraz, zaraz, był taki aktor, który wyrąbał drogę dla chłopskiego aktorstwa... Trzeciak! Trzeciak się nazywał!

Szewską w stronę Plant. Przy Szewskiej 3 – maj, maj, maj.

3 Maja! Konstytucja 3 Maja. Trzy-maj mnie za rękę. W głowie radość i „trojka” galopujących trzech szklanek trójniaka. Na rogu Basztowej śpiewa i tańczy tercet egzotyczny. Na

trzy, odrzucając czwarte. A przy końcu Reformackiej, jeszcze jeden trójkąt, tym razem dla panów. Trzej Królowie, trzy gracje. Niebieski, czerwony, biały – trzy kolory. Trzymajcie mnie, bo ten maj mnie rozczył, rozśmieszył, podniecił.

Całuję Pana po trzykroć

Pański Jan Nowicki

Kraków. Bistro „Vis-à-vis”, czerwiec 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

nie wiem, jak Pan, ale ja czuję się wciągnięty w jakieś kretyńskie rejony, które męczą nas, a przy okazji Bogu ducha winnych Czytelników. Mam swój udział w tym pretensjonalnym smętku i tej nadętej powadze, którą od pewnego czasu ociekają nasze listy. Byłem, proszę Pana, całe życie wesołym człowiekiem i nie zamierzam tego zmieniać. Ze skrzydłami czy bez, zrobię wszystko, żeby nie zmarkotnieć.

Panie Janie, z tego co pamiętam, ćwiczyliśmy się raczej w rozmawianiu, w poznawaniu innych i siebie. A do tego, obok sztuki, książek, miłości i trunków, najbardziej nadają się ludzie, ta nasza – pożał się Boże – sól ziemi czarnej.

Zabraniam Panu i zabraniam sobie bleblania. Zamiast tego przytulmy człowieka ciepło do serca i spróbujmy zgłębić.

Od dziś, proszę Pana, proponuję zabawę: ja będę charakteryzować jakiegoś faceta lub damę, a Pan spróbuje zgadnąć, o kim mówię.

Mamy czerwiec 1999 roku. Myślę, że to dobry czas na to, aby rozpocząć zgadywanke pt. *Kogo miał autor na myśli*.

Zacznę od drobiazgu, bo zaczynać należy skromnie i czule. A potem będzie już łatwiej, zapewniam Pana. Na koniec jeszcze jedno. Nie ze strachu przed ludźmi – bo ci, wiadomo, są na tyle mądrzy, że się nie obrażą, albo tak głupi, że nie ma sensu ich oszczędzać – poszczególne charakterystyki proponuję lekko gmatwać po to, żeby zabawa nabrała wymiaru prawdziwie intelektualnego.

Drogi Panie Janie, co to za zagadka?

Czarne to, eee... chyba nie czarne. Ze słuchem, ale co to za słuch. Jednoznaczne i wielostrunne. Jedno oko ma z miedzi, drugie za szkłem. Wąs ma pod nosem, a brodę na brodzie. W tym oryginał. Broda czarna, wąs żółty, od wyszukiwania zapachów wyłącznie nieprzyjemnych. Ma do nich wyraźną słabość. Chłopisko mówi smacznie, głośno, pełną frazą i z całą konsekwencją... bez sensu. Ale zawsze z poczuciem racji, a nawet misji, którą mu każe spełniać od lat przypisana małżonka. Przy niej właśnie, w czasie zajęć domowych, ładuje akumulatory, które mają razić prądem w ulubionym bistro.

Wpada tam czasem, łypie okiem w kierunku darmowej wódki i papierosa. A nie powinien palić, Panie Janie. Bo tenor w końcu, baryton, bas.

Lubi mówić o Polsce. Ogólnie i w szczegółach. Bo ta bida, proszę sobie wyobrazić, ogląda wszystko i o wszystkim wie. A dlaczego? Bo nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się szansa na uruchomienie negacji i krytykanctwa.

A to jego karma. Jego przystawka. Jego pierwsze danie, drugie i deser. Zawsze chce być w pierwszym szeregu. Staje tam zresztą, a potem dziwi się, że ludzie, których w głębi duszy uważa za szeregowców, tłumnie rezygnują z jego towarzysztwa w poczuciu śmieszności i zażenowania.

Mój bohater może jednak spodziewać się szczęśliwego dla siebie końca, bo mądrzy ludzie długotrwałą niechęć z nudów i tak zamieniają w końcu na sympatię. Bo mniej męczy.

Kogo miałem na myśli, proszę Pana?

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. W altanie J. S. Bacha, czerwiec 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

groźną zabawę Pan proponuje. Opinie o ludziach – spisane? Drogi Panie, trudne to i nadzwyczaj odpowiedzialne. Co innego rozmowa, bo poza słowami, dysponujemy jeszcze spojrzeniami, gestami i różnorodną intonacją głosu. Pisząc, skazani jesteśmy na tęą dosłowność naszych sądów, przypominających wyroki. Żywe słowa ranią mniej, bo rozwiewane wiatrem wpływającego czasu, zmniejszają ewentualną krzywdę i łatwiej ulegają przedawnieniu.

NIE NA PIŚMIE! – wrzeszczą co sprytniejsi i chyba się nie mylą. Nasze dalekie od precyzji listy bywają niesprawiedliwe i bezlitosne. Lubimy to w nich, prawda, proszę Pana? Ale miejmy się na baczności, bo nieważne jak, ale my jednakże... piszemy.

Pan chce o ludziach? Proszę bardzo, ale odważę się pod jednym warunkiem. Inaczej – nie mogę, nie wolno mi, nie mam upoważnień. Przyjmuję zabawę w zagadki, ale pod warunkiem, że każdemu bohaterowi ofiarujemy co najmniej jedną alternatywę.

Drogi Panie, przez moment myślałem, że Pański pomysł ułatwi nam korespondencję. Ale to był tylko moment. Bo już po chwili dostrzegłem, że Pan stawia przede mną kolejną, nie do końca zabawną powinność.

Drogi Panie Piotrze, oto rozwiązanie Pańskiej zagadki: ten pan jest siwiejącym szatynem. Ze słuchem całkiem dla niego wystarczającym. Jest jednoznaczny i jednostrunny, do czego ma prawo. Patrzy na świat ładnie i niegłupio. Widzi wystarczająco dużo i niesłusznie uchodzi za głupca. Od lat nie oddała się na dłużej od swojej kobiety, bo bez niej czuje się zagu-

biony w świecie, który być może stał się dla niego, od pewnego czasu, obcy. Świat estrad zwalnających od odpowiedzialnego myślenia, świat barów, gdzie łatwo zapomnieć. Nosi wąsy i brodę? Bo nosi. Mówi głośno, za głośno – to prawda. Ale może zagłusza tym niewesołe myśli? I zwątpienie, które od pewnego czasu go męczy. Cóż z tego, że nie lubi wydawać pieniędzy? Przecież za to ma nabożny do nich stosunek. Codziennie, przed każdym wejściem tam, gdzie płacą, rozpoczyna modlitwę do bożka, w którego nie wierzy, ale który zapewnia mu (o czym wie) mały komfort, potwierdzający jego wartość. Jest więc po trosze dramatyczny, po trosze samotny. Pod marynarką nosi serce, stymulowane portmonetką pełną bilonu, z którym tak trudno się rozstać. Ale ten bilon któregoś dnia sam się rozsypie, zobaczy Pan. I wtedy zobaczymy, że nie ma co zbierać.

Nawiasem mówiąc, kiedyś na uwagę T., żebym się nie rozmieniał na drobne, odpowiedziałem, że robię tak po to, by dłuższą chwilę trwało zanim dojdę do sumy swoich dokonań. Znaczących na początku i byle jakich na końcu.

Kończę, Drogi Panie, bo czas na moją zagadkę. Kto to?

Z posiwiiałymi w służbie skroniami. Z charyzmą, którą da się przeliczyć na kilogramy. Nikodem Dyżma naszych czasów. Pełen historycznego wdzięku i wiary, którą raz po raz przekuwa w definicję nie do podważenia. On, którego wykreowała historia, charakter i talent. Ale przede wszystkim ludzie, którzy pomogli mu w tym, żeby stał się cud. Teraz modlą się do fałszywego cielca z poczuciem wdzięczności, ale też niesmaku i zażenowania.

Życzę odpowiedzialnej zabawy

Pański Jan Nowicki

Kraków, lipiec 1999



Pan Jan Nowicki Zemia

Drogi Panie Janie,

w ostatniej zagadce, wspomniał Pan coś o nadkilogramach charyzmy i posiwiiałym wasie. Wydaje mi się, że wiem „kogo autor miał na myśli”, ale nie nazwę smoka po imieniu. To bezcelowe i szkodliwe, bo na miejscu odciętej makówki wyrosnąć mu może następna, jeszcze większa. Pełna samouwielbienia i poczucia nieomyślności.

Przecież ten smok, ten słoń polski, uwielbia być atakowany. Przez łatwe do strącenia muchy. Jeden ruch trąbą, Panie Janie, i spokój. Można zająć się wachlowaniem oblicza. Z miesiąca na miesiąc dorodniejszego, z roku na rok dostojniejszego. Nasza ogólnonarodowa trąba zbliżona jest kształtem do trąbki każdego statystycznego Polaka. Ale o ileż dorodniejsza, dłuższa, zrogowaciała od publicznej służby i ponad wszelką wątpliwość – historyczna za życia.

À propos charyzmy. Czy zauważył Pan, ile się tego w ostatnich latach nazbierało? Kiedyś charyzmem miał Chopin, Piłsudski, w porywach Kiepura. A teraz, Panie, co dziesiąty, co piąty żyje wesoło i charyzmatycznie. A spróbuj Pan takiemu trochę tego odebrać. Będzie gryził, kopał, wył. Będzie kwilił jak dziecko, któremu odbierają ulubioną zabawkę.

Albo z tymi geniuszami. Kiedyś prawdziwy geniusz obcinał sobie ucho, zapijał się, umierał z głodu. Umierał, Drogi Panie, bo taka była cena – wybrańcy bogów żyli krótko. Dzisiaj wprost przeciwnie. Przy czym prym wiodą generałowie piechoty, którzy żyją tak długo, że jednego – jak wieść niesie – trzeba było w końcu zastrzelić.

Dzisiejszy geniusz nie odczeka, nie odpuści. Kiedyś ludzkie dokonania – te wyjątkowe – potwierdzał bądź przekreślał obiektywny czas. Dzisiaj ludzie chcą zaraz, tutaj i teraz. Wobec czego i piosenkarz bywa genialny, malarz, czasem sportowiec. Geniusz współczesny nie odcina uszu... tylko kupony.

Dobrze, że Pan wspomniał o tym człowieku. Słuszne to i pouczające. Dla nas, bo już nie dla niego, niestety. Grzech pychy, którego nie zmaże miniaturka Madonny, wciągnął go tak dalece, że na naszych oczach ten symbol narodowego odrodzenia przemienia się w narodowego clowna. Szkoda. Żal. Smutek.

A jednocześnie przestroga, żeby pamiętając o niezbadanych wyrokach boskich, brać pod uwagę skazańców każdego szczebla, bo nawet charyzmatyczny geniusz jest tylko... człowiekiem. Aż człowiekiem i tylko człowiekiem – niczym więcej.

A teraz moja zagadka, Drogi Panie.

Kto to jest? Mieszka w Krakowie przy ul. Focha. Dobiega sześćdziesiątki i jest aktorem. Wzrost średni. Lubi piosenki Hanny Banaszak, stare rowery i łaciate psy.

Serdecznie pozdrawiam

Pański Piotr Skrzynecki

PS Kiedy Pan w końcu wyjeżdża do tej Kirgizji? Już tyle razy o tym słyszałem, a tymczasem Pańskie listy ciągle przychodzą ze stemplem Krakowa.

Niebo. Na żółtej łące, lipiec 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

znam trochę tego z ulicy Focha. Wiem, że lubi pisać o kamieniach, do których ma nieuleczalną słabość. Ten chyba nie do końca wesoły gość, gubi się, jak sądzę, w domysłach na temat samego siebie i chyba bardzo Pana kocha. Kiedyś spotkałem go. Padał deszcz, a on siedział na ławce obok Błoni i gryzł w zębach dawno zgasłego papierosa. Butem czule dotykał żwiru, który jego zdaniem zwierzał się z czegoś przemokniętej zelówce.

Niech Pan posłucha, proszę, o czym mówił żwir.

„Miłość? – wiadomo. Mniej więcej wiadomo. Czego to nie opowiedziano na jej temat, czego nie napisano, nie wyśpiewano. O pierwszej, że z wiatrem gna. O drugiej, że drwi z pierwszej, bo zna życie. A potem, że tak naprawdę to: każda miłość jest pierwsza, najgorętsza, najszczerza, wszystkie inne usuwa w cień.

Zapewniano o tym, jak miłość wybacza, jak jest... świętem ruchomym. Powstawały i będą powstawać wiersze na temat miłości czystej, platonicznej, obozowej, sezonowej, szczenięcej, młodzieżowej, dojrzałej. No i tej najpiękniejszej, bo – wreszcie ostatniej. Dotąd, a także potem, już w XXI wieku, ludzie będą się prześcigać w kolejnych nazwach, określeniach, refrenach. Wspieranych rekwizytami typu: księżyc, niezapominajka, fiołek, miedza Maciejowa, siedem czerwonych róż, łyż szczęścia czy choćby najzwyczajszy w świecie kamyk.

Kamyk? Właśnie. Pomyśl o kamyku Zelóweczko, co leży nad brzegiem morza. W jego otoczeniu setki i tysiące innych kamyków. Ale on jeden tylko, przesuwany z miejsca na miejsce przyplwem, żywi nadzieję. Ten mały, stary kamień, ście-

rany latami falą, ciągle wierzy. Sens życia czerpie z małych przemieszczeń w piasku nadmorskiej plaży. Liczy, że ktoś go dostrzeże, podniesie, pokocha.

I stał się cud. Nastął lipiec i ten dzień, który zdecydował o wszystkim. Brzegiem szła dziewczynka i wśród pięknych muszelek dostrzegła właśnie ten szary, podobny do innych kamyk.

Podniosła go i skryła w kieszeni lnianej sukienki. A potem zanosła do domu. Przyglądała mu się chwilę, wzięła do ust jak jakiś Demostenes i odłożyła na stolik obok łóżka. Zapomniała.

Leżał tam długo i czekał, kiedy sobie dziewczyna przypomni. Żył jeszcze jakiś czas, karmiony wspomnieniem jej warg, ciepłem pięści, w której go zacisnęła, śladem spojrzenia. A po wielu latach, kiedy kobieta znów wyjechała nad morze, kamień rozsypał się w drobny żwir. Z tęsknoty za kolejnym przypływem. We mnie, Zelóweczko.

Takie albo inne dyrdymały mogę wymyślać bez końca.

Czy nie lepiej jednak, czy nie ciekawiej, pochylić się choćby przez chwilę nad drobiną wstydliwie omijanej – miłości kupionej? Przez tego pierwszego z brzegu szpetnego pana, który dla swej starości postanowił nabyć młode ciało prostytutki. On przecież pod obleśnym rechosem skrywać może dotkliwy ból świadomości swej cielesnej i duchowej brzydoty. Bolesną pamięć o tym, co minęło. I co już nie wróci.

Miłość, ta strwożona najbardziej, nocą w obawie przed światem, przylepia do poduszki marzenie – nie do spełnienia. I czeka. A pod poduszką, jak w starej anegdocie, zawinięta w gazetę żałosna cegła banknotów. Klucz do nadziei, śmieszny klucz, niedobry klucz. I znowu ja. Żwir. Żwir, Zelóweczko, nie życie.

Nie wysypuj go na zieleń stolika, nie brudź. Sięgnij raczej po inne, czyste pieniądze, za które możesz czasem wygrać uśmiech czterech króli naraz. W ich towarzystwie odjedziesz, być może w mniejsze szczęście. Ale za to karetą, Zelóweczko”.

Moja zagadka: Dawno tam nie byłem, bo to zbyt bolesne. Chodzi o miejsce, które już zawsze będzie kojarzyć się z Panem. W tym miejscu, ktoś zastąpił Pana. Niewysoki, dyskretny. Dla utrudnienia dodam, że ma na imię Marek.

Proszę się dobrze zastanowić

Pański Jan Nowicki

Lublin, lipiec 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

Marek – powiada Pan? Marek, który zajął moje miejsce w „Piwnicy”? Nie wiem, Panie Janie. Po pierwsze czegoś takiego w kabarecie nie ma. Bo ponad wszelką wątpliwość, nie ma wśród Was mnie. Miejsce można zająć komuś w pociągu. W chwili, gdy ten udał się na moment do Warszawy, a potem wraca i widzi, że ktoś siedzi na jego fotelu. Nie może też ktoś mnie „zastąpić”, bo ja, niezależnie od tego jaki byłem, byłem nie do zastąpienia. A razem ze mną Pan, Grzesiu i każda, za przeproszeniem, łachudra.

Ludzie udając, czy też autentycznie przeżywając odejście najbliższych, przesadzają najczęściej. Zamiast wspomagać w myślach i uczynkach obecność NOWEGO żyjącego, wspierają nieistniejące już interesy STAREGO nieżyjącego. Wyprzedając tym samym produkty z kramu, który się już dawno rozleciał i nie wróci.

Byłem z Wami dość długo. Wobec czego rozumiem, że przy różnych okazjach wracam do Was echem minionych dni. Ale przeszłe daty są ważne tylko dla stąpających twardo po ziemi. Tutaj w chmurach przeszłość jawi się nam jak coś bardzo niedorosłego, śmiesznego i ponad wszelką wątpliwość... nieistotnego.

Reasumując: nikt nie zajął mojego miejsca i nikt mnie nie zastąpił. A jeśli chodzi o Marka, to naturalnie wiem o kogo chodzi. Chodzi o Pacułę. Marka Pacułę.

Drogi Panie, od momentu, kiedy On wszedł na scenę, zaczyna się pisać nowa historia. Jego historia. Przyrównywanie Marka do mnie jest głupie, płaskie, okrutne i w ogóle do niczego.

Bo z kim jak z kim, ale z duchami nikt jeszcze nie wygrał. Wydaje mi się, że Marek jest całkiem w porządku. Nie cierpiałem opuszczać wieczorów w kabarecie. Nienawidziłem nocy, które miały wrócić mi zdrowie. Nie przepadałem, co tu ukrywać, za abstynencją. Ale w końcu trzeba było, Drogi Panie, na coś przystać i ja przystałem na Niego. Przestańcie więc zawracać Markowi głowę Piotrem. Bo mnie to nudzi. I wspominajcie mnie tam u siebie, czule, ale z umiarem.

Obserwowałem ostatni program kabareciku w amfiteatrze radia przy ulicy Szlak. I powiem Panu, że całkiem, całkiem. To i owo można by poprawić, szkoda że nie występował Grześ Turnau. Ale czy to ważne, skoro ludzie się spotkali, byli szczęśliwi i wypili po piwku. A poza tym, Panie Janie, Ewa, Beata, Ola, Halina, Ruda Dorotka i jeszcze inne, niekoniecznie gorsze. Sama radość wynikająca ze śpiewania i piwnicznej obecności. Nie wszyscy przychodzą. Dlaczego? – nie wiem. I zastanawiam się, czy chcę wiedzieć.

Najważniejsze, że przeżyliście noc, którą dla Was wyprosiłem. Najsmutniejsze, że tak niepotrzebnie szybko się z nią rozstaliście.

Miałeś Pan imieniny. Mój Boże, no cóż... przecież Pan wie.

Miałem imieniny... przecież Pan wie.

Co to za zagadka – dwie kulki i armatka?

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka, lipiec 1999

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

jakie głupstwa Pana się trzymają, jakie głupstwa. Myślę o... „kulach i armatce”! Przecież Pan wie, że ja tę zagadkę znam jeszcze ze szkoły podstawowej. Panie Piotrze, nie uchodzi, naprawdę. Nieważne. Zmieniamy temat. Znam Pana zdanie dotyczące mojego pisanie tekstów piosenek. Znam i podzielam je. Ale słabościom, jak Pan mnie uczył, trzeba ulegać.

Pan wystrzelił z „armatki”, ja będę kontynuował.

Zdumienie grabarza razem z Janem Kantym Pawлуśkiewiczem zamierzamy ofiarować Hani Banaszak na imieniny. W ten sposób stanie się Ona j e d y n ą właścicielką tej opowieści o życiu pozagrobowym, które jak się okazuje, może być także udane.

ZDUMIENIE GRABARZA

Czekam w tym miejscu,

sama – bez sensu.

Na grobu dnie.

Zasypiam, zwlekam,

od dawna czekam.

Tu nie jest źle.

Możesz być chmurą,

skroploną w słojach

przysypanych drzew.

Ja będę dachem,

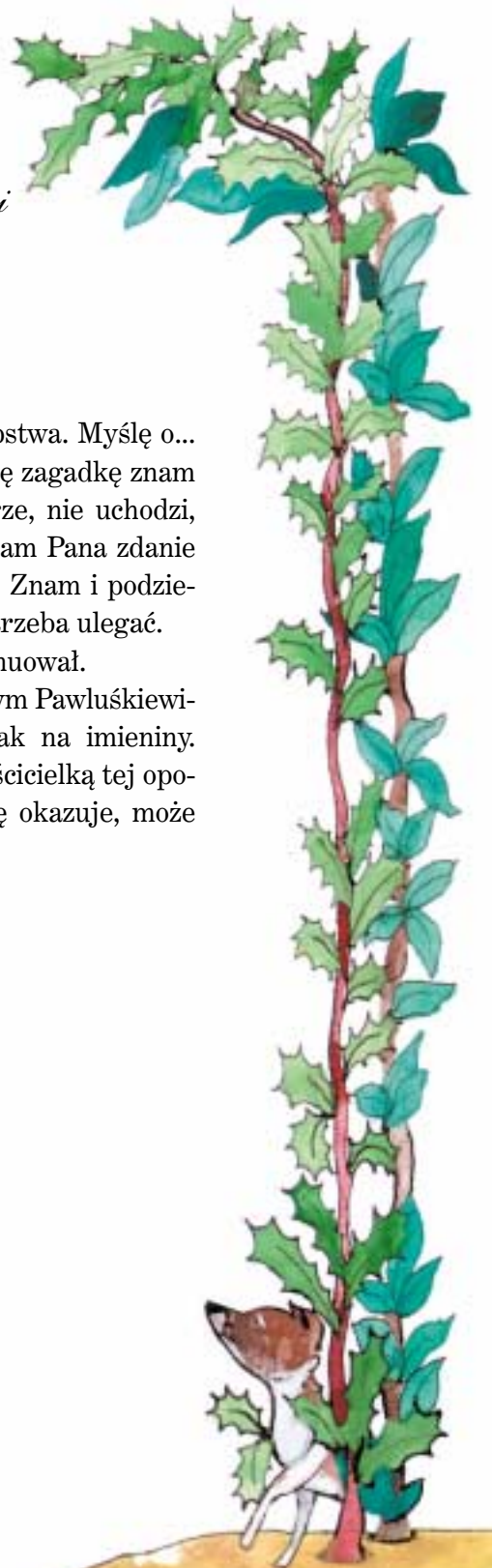
który namiętnie

krople zmienia w śpiew.

Ref.

Pospiesz się, miły, nie traćmy czasu,

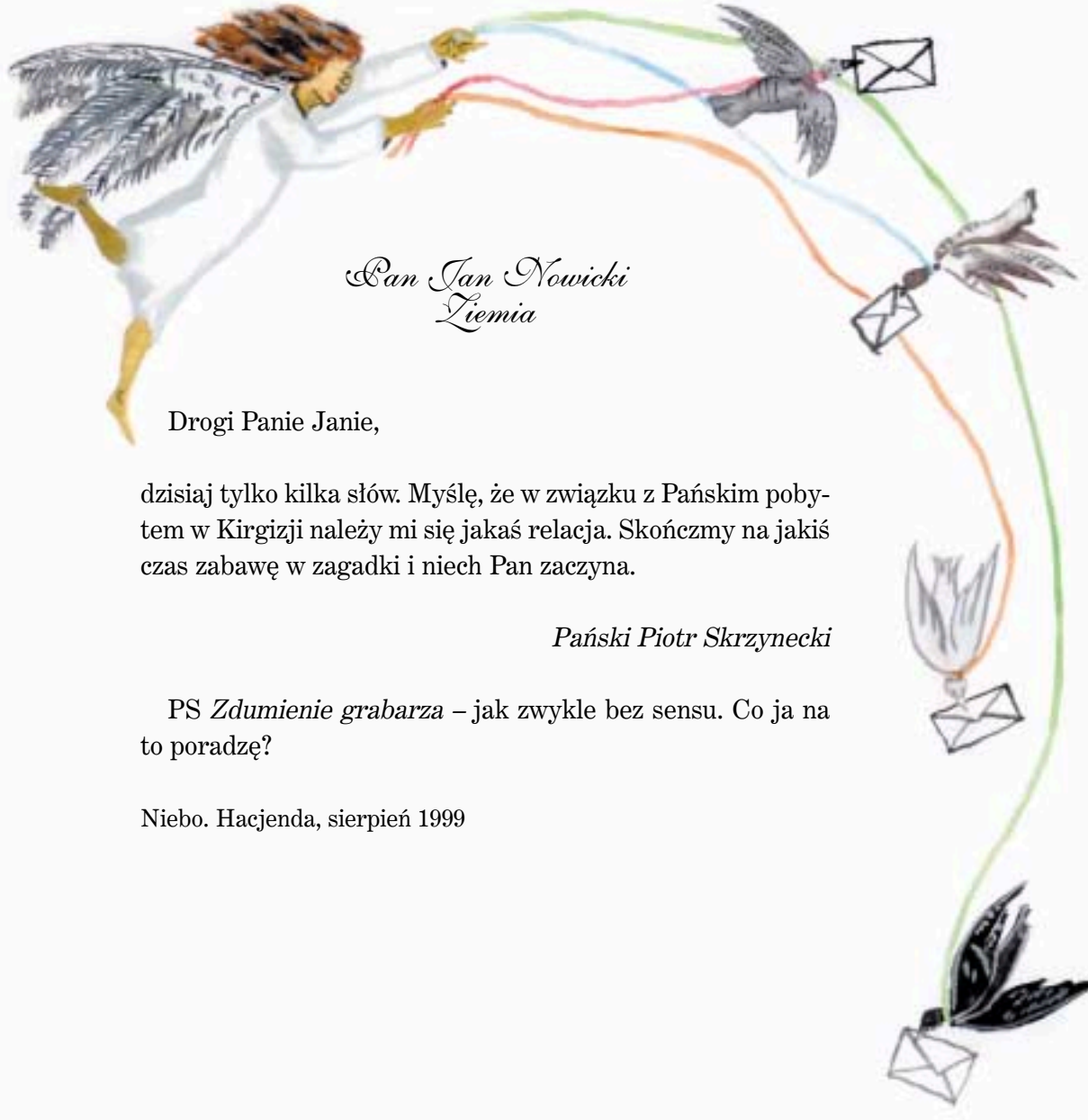
Może byś wreszcie tam na górze zmarł.



Ja tu pod ziemią, w ciszy bez hałasu,
w kościach dłoni zduszę twój chłopięcy żar.
W trumnie bez firanek,
Cztery deski, zamek.
Starczy miejsca. Wejdz.
 W tej dębowej niszy
 nikt nas nie usłyszy.
 Chodź wreszcie i... leż!
I nie śpiew, a jęk.
Twoich ust, moich warg.
Twoje – szach. Moje – mat.
Twoje – mat. Moje – szach.
 Jesteś już w miejscu,
 gdzie tak czekałam –
 na twój twardy... sens.
Nie myśl teraz chłopcze!
Zwijają się końce
rozpalonych rzęs!!!
 Ten wstyd tak zachwyca.
 Cóż, że ktoś rozlicza,
 mój oddech, twój... mur.
Że gdzieś ponad nami,
nad trawą, drzewami,
pieje kur, trzeci kur.
Ref.
Nie będziesz chciał wracać. Twoje ciepło, miły,
ciężkie wieko trumny leciutko otwiera.
Posłuchaj! Przechodzi tuż obok mogiły,
stary grabarz i zrzędzi, że trzęsie się ziemia.
 I już śpiew – nie jęk!
 Twoich ust. Moich warg.
 Twoje – szach. Moje – mat.
 Twoje – mat. Moje – szach.
Tyle tego, Drogi Panie.
Serdecznie pozdrawiam z Kirgizji

Pański Jan Nowicki

Kraków, sierpień 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

dzisiaj tylko kilka słów. Myślę, że w związku z Pańskim pobytem w Kirgizji należy mi się jakaś relacja. Skończmy na jakiś czas zabawę w zagadki i niech Pan zaczyna.

Pański Piotr Skrzynecki

PS *Zdumienie grabarza* – jak zwykle bez sensu. Co ja na to poradzę?

Niebo. Hacjenda, sierpień 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

dłaczego ciągle czepia się Pan tych moich biednych tekścików? Ja nie twierdzę, że są to jakieś rewelacje, ale żeby zaraz wszystko „bez sensu”?

Wiem, w Pańskim kabarecie zawsze obowiązywał staranny dobór literackiego tworzywa, ale ja, za przeproszeniem, nie piszę dla „Piwnicy”. Ostatni raz przypominam Panu: pisanie piosenek cieszy mnie i bawi – nic więcej. Zbyszek Preisner zaproponował mi (traktuję to jak wyróżnienie) napisanie kolędy dla Pana. I zrobię to, mimo Pańskiego malkontenctwa. Choć do zimy daleko. Rezultat będzie... jaki będzie. Zresztą, jeśli okaże się całkiem od rzeczy, nie ma powodu się przy nim upierać.

Panie Piotrze Drogi, rymowanie nigdy nie było i już nie będzie moją najsilniejszą stroną. W krótkich wersach, tak mile widzianych przez kompozytorów, trudno zawrzeć amatorowi sens. Nawiasem mówiąc z „głębokością” też trzeba uważać. Bo w piosence często im głębiej – tym głupiej. Im mądrzej – tym mętniej. Tekst musi być bardzo przejrzysty, ponieważ bisy zdarzają się coraz rzadziej. Pisanie piosenek może być całkiem zabawne, tylko trzeba się tego po prostu nauczyć. Więc niech Pan nie podcina nóg, które jeszcze nie wyrosły – OK?

Relacja o Kirgistanie – powiada Pan? Dobrze, zacznę od masażystki, która przy swoich dziewięćdziesięciu kilogramach żywej wagi nosi zwiewne imię Anara. Polecono mi ją pierwszego dnia. A ja z niewyspania, z niewygasłym szumem tupolewa w głowie – uległem. Panie, rezultat tego taki, że ten potwór dusi mnie co dnia. Dzisiaj siódmy raz. Ona z jakimś azjatyckim zapamiętaniem każdego ranka o siódmej wbija mi

z całych sił swój gruby paluch za ucho, w krtań, pod kolano, poniżej kostek. Wszędzie tam, gdzie mocniejszy ucisk spowodował ból nie do opisania. Torturuje mnie ze wschodnim uporem, bez cienia wyrafinowania. Któregoś dnia ten babochłon zwierzył mi się, że porzucił ją mąż. Nie dziwię się. A może ona mści się na mnie? Może to rasistka? Nie wiem, naprawdę nie wiem. Różne myśli przychodzą mi do głowy. Kiedy indziej powiedziała, że pieniądze, które zarobi, zamierza przeznaczyć na kupno nowych mebli. Spytałem, czy wystarczy na katafalk dla mnie. Nie zrozumiała.

Z dnia na dzień chodzę coraz bardziej przygarbiony. Dzisiaj wypadła mi z ręki szklanka piwa, bo tracę czucie w palcach. Anara zajęła się także moimi kręgami szyjnymi, co spowodowało, że od wczoraj mogę patrzeć tylko przed siebie. Broń Boże na boki. Knykciami palców regularnie jeździ mi również po kręgosłupie, który po nagraniu prawie dymi.

Panie Piotrze Kochany, co ja mam robić? Jak tak dalej pójdzie, wrócę do Polski kaleką.

Kiedyś, w latach sześćdziesiątych w Rembertowie, zjadłem utopiony w szczawiowej zupie pokaźny lok, który wypadł ciotce Heli z peruki. I nie pisałem słowa – nie mogłem, bo ona tak się cieszyła z mojego przyjazdu, że zjadłem wszystko, do ostatniego włosa. Ze łzami w oczach.

Minęły lata, życie się kończy, a ten świat dalej pędzi mnie wyboistą drogą cierpień. Chciał Pan o Kirgizji? Bardzo proszę. Za tydzień będzie więcej, jeżeli utrzymam pióro w ręku

Pański Jan Nowicki

Biszkek, sierpień 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The tree is covered in green leaves, some of which are pointed and serrated. At the base of the tree, a small brown and white dog is looking up towards the branches. The ground is a simple yellowish-brown color.

Pan Piotr Skrzynecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

muchy, muchy, kolejne muchy. Jakby nie można inaczej. Muchy na wysokości większej niż 10 tysięcy metrów. Wbity w fotel ostatniego rzędu samolotu radzieckich linii lotniczych, z kolanami pod brodą, otoczony stajennym zapachem pobliskiej toalety, śledzę, jak beztróska skaczą po moich gołych stopach, rękach i spoconej od upału głowie.

Pisząc „radzieckich”, wiem co robię. Przecież samolot relacji Moskwa–Biszkek znakomicie pamięta dostojne oblicze Breżniewa i nieodgadnioną maskę Gromyki. Że nie wspomnę o słonecznej fizys nieodżałowanego Nikity Siergiejewicza Chruszczowa.

Muchy tak wysoko, że prawie już u Pana.

Jak one się tu dostały? Nie sędzę, żeby nawiedziły nas przed odlotem. Robią wrażenie wyluzowanych i zadowolonych. Wśród starych, mądrych much, które z niejednej tacki chleb jadły, daje się zauważyć rozochoconą młodzież. A nawet dziatwę, przeżywającą, być może, pierwszy w życiu rejs.

Dojrzałe egzemplarze, wiedzione doświadczeniem, lądują cichutko w sosie i wspólnie z pasażerami ze spokojem zabierają się do jedzenia. Odganiane ręką, odfruwają leniwie, ale zaraz wracają, żeby nie wystygło.

Odnoszę wrażenie, że na tych szczególnych liniach ciągle obowiązuje humanitarna aż do bólu zasada „każdemu według jego potrzeb”.

Gorzej z młodzieżą i muszą dzieciarnią, która oprócz napychania żołądków, próbuje jeszcze umilić sobie czas frywolnym nawiedzaniem nosów i uszu drzemiących pasażerów. A także, co jest dla mnie kompletnym zaskoczeniem – gałek ocznych. Jeden z Basedowem, to wprost nie mógł się opędzić.



Zupełny brak respektu przed człowiekiem. Te wyniesione na niebotyczną wysokość, bądź co bądź boskie stworzenia, całkowicie gardzą niebezpieczeństwem. To nic, że ludzka ręka czasami zada im morderczy cios. Gina, ale na ich miejsce nadlatują zaraz następne, aby z beztroskim, pozbawionym cienia żaloby brzęczeniem, znowu lądować gdzie popadnie. Od czasu do czasu słyhać głośniejszy lot matek wracających z rekonesansu w toaletach. Wpadają na chwilę, sprawdzają samopoczucie rodziny, a potem odlatują w kierunku kabiny pilotów, gdzie głodniej, ale za to ciekawiej.

Patrząc na zachowanie rosyjskich much, fruwających we wnętrzu radzieckiego samolotu, myślę ze zgrozą, że one są tu od zawsze. Nie wleciały, ot tak sobie, tylko trwają od dziesiątków lat. I trwać będą aż do ewentualnej katastrofy, którą, jak sądzę, przeżyją. No, może nie wszystkie, bo część – jeśli samolot rozbije się dajmy na to nad tajgą – padnie w kontakcie ze świeżym powietrzem.

Drzęmię nerwowo i myślę także o tym, czy na pokładzie samolotu żyją jeszcze inne stworzenia. Drobne ssaki na przykład. Starzy Kirgizi utrzymują, jakoby od lat ich nie widzieli. Poza tą jedną małą myszką przytuloną do dna butelki pełnej jasnego piwa. Ale to było dawno. Piwo zresztą wycofano.

Ćmiący ból zęba, Drogi Panie.

Proszę sobie wyobrazić, że ten dziwak zaczyna mnie pobołować wyłącznie po zapadnięciu zmierzchu. Nocny ząb, można powiedzieć. W dzień uśmiecha się, a wkrótce po zachodzie słońca daje pierwsze, zrazu nieśmiałe, sygnały. Przyznam się Panu, że takiego zęba jeszcze nie miałem. Jest do tego stopnia wrażliwy, że buntuje się nawet po włożeniu ciemnych okularów. W cieniu – boli. Wychodzę z cienia – nie boli.

Panie Piotrze, Pan nie uwierzy, ten skurwiel reaguje nawet na zamknięcie oczu. Zamykasz – boli. Otwierasz – przestaje.

Nie wiem, jak się dalej akcja rozwinie, ale jeśli zajdzie konieczność, wyrwę go któregoś dnia. Za dnia. Czyli bez powodu.

Kłaniam się nisko

Pański Jan Nowicki

Biszkek, sierpień 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The leaves are green with prominent, serrated edges. At the base of the tree, a small, white dog with brown patches is looking up towards the trunk. The ground is a simple yellowish-brown wash.

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

prosił Pan, żebym pisał o pobycie w tych stronach. Zgodziłem się, a teraz tęsknię, bo wołałbym wiedzieć, co u Pana.

Opowiedzieć coś o Kirgizji? Mój Boże, można by to i owo. Tylko – po co? Dla mnie, Drogi Panie, powoli wszędzie... tak samo. Przypadłość wieku, cecha wrodzona – nie wiem. Sam Pan wie, że każde ludzkie istnienie składa się z nielicznych ważnych zdarzeń, które choć pod różnymi szerokościami geograficznymi, bardzo są do siebie podobne.

Wszędzie przychodzimy na ten świat, wszędzie kochamy, w każdym miejscu rodzą się dzieci. Gdzie się da, realizujemy ambicje, będące beznadziejną próbą uchwycenia głębszego sensu.

A potem umieramy. Także wszędzie.

I odchodzimy po cichutku, u boku takiego Boga, na jakiego było nas stać. Ostatnie chwile ułatwiają nam czasem pośrednicy z gębą pełną uniesień. Życie po życiu – Pan rozumie. Ale nie oni są najważniejsi, bo nadzieją i tak musi się zająć każdy z nas – osobno.

Był taki strach, Panie Piotrze, strach zapamiętany z czasów komuny, który występował w różnym natężeniu, ale zawsze obecny.

Tamten nie najlepszy czas permanentnie oblepiał nas poczuciem jakiejś trudnej do uchwycenia winy. Wobec kogoś lub czegoś. Zjawisko, nawiasem mówiąc, obecne w zderzeniu z każdym totalitaryzmem i fundamentalizmem. Także religijnym. Ten strach, cudem oderwany przed laty od naszych gardel, odzywa się czasem. Przy przekraczaniu granicy – na przykład. W czasie wyborów do czegoś – o dziwo. Na widok odklejonej przesyłki pocztowej – o zgrozo.

Niby go nie ma, nie powinno być, a jednak trochę jest. Kiedyś prawdopodobnie opuści nas na zawsze. Jednakże teraz ma się wcale... wcale. Zniknie ten strach, ale na jego miejsce przyjdzie inny. Bo człowiek nie byłby człowiekiem, gdyby nie zafundował sobie następnego.

Kiedyś nasze wnuki poczują się, być może, obywatelami świata. Nie ze względu na otwarcie granic, ale głównie z powodu ostatecznej śmierci robaka, który podgryzał w nas poczucie wolności samostanowienia.

Trzeba się tylko jeszcze wyzbyć części limuzyn, za firankami których niech raczej ukrywają się dziwki, a nie wybrańcy narodu. Jeszcze trzeba odsunąć od rządów starość, bo ona niezależnie od opcji... boi się. I z tego właśnie strachu rozda je na lewo i prawo za dużo. Zarówno z miłości, jak i nienawiści.

Bo ktoś, kto żył w atmosferze strachu przez dziesiątki lat, nie może tak nagle przestać się bać, więc boi się nadal.

Spoglądam na piękną aleję Manas obsadzoną rzędami białych topoli, wiodącą od kirgiskiego „Białego Domu” do rezydencji prezydenta Askara Akajewicza Akajewa. Widzę przeplatujące wyboistą jezdnię czarne ptaszyska samochodów rządowych. Patrzę z rozbawieniem na brązowe krowy, które niechętnie ustępują im z drogi. I myślę, że strach, obecny w oczach skośnookiego brata, nie jest mi obojętny. Jest przecież lękiem dwóch niewolników, z których zaledwie jeden ma nadzieję.

Dziwne, prawda?

Pański Jan Nowicki

Biszkek, sierpień 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The leaves are green with prominent white veins and serrated edges. At the base of the tree, a small brown and white dog is looking up towards the branches. The ground is a simple yellowish-brown wash.

Pan Piotr Skrzynecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

Kirgistan, sierpień 1999 roku. Napisałem dwie wersje kolędy dla Pana. Proszę wybrać jedną i którejs nocy – najlepiej we śnie – przekazać Zbyszkowi Preisnerowi swoją decyzję.

NAJBARDZIEJ CZEKANY

I

Vis-à-vis hotelu „Bels” w słodkim Jeruzalem,
Pętla autobusów – obok Central Banku.
Gwiazda w kapeluszu, otulona szalem,
Do Betlejem wsiada. Stacja: Żłóbek w Sianku.

Ref.

Gdzie taki – malutki,
Najzłociej – złociutki.
Najczulej wybrany
Mały chłopczyk śpi.
Najcieplej – cieplutka,
Najciemniej – ciemniutka,
Najdłużej – czekana
Noc w Betlejem 3.

II

Vis-à-vis baru „Smok” w dworca okolicy,
Brama, saturator; autobusów rzędy.
Piotr słucha z uśmiechem, jak konduktor krzyczy:
Wsiadaj! Bo odjeżdżasz – z Worcella, pod dęby!

Ref.

Tam leży – słabiutki,
Najmocniej – lichutki,
Najczulej – kochany,

Duży chłopczyk – śpi.
Najdłużej – dziś zwleka,
Najdłużej – bo czeka,
Najmilsza – Zosieńka,
Z bistra „Vis-à-vis”.

III

Vis-à-vis – cień krzyża. Nocą, w czarnym słońcu.
W ziemi odpuszczoną grzebiesz, Boże, winę.
Panie Miłosierny, powiedz, to jak w końcu?
Zabrałeś Starego – oddajesz Dziecinę?
Ref.
Zobaczysz – gdy wrócisz,
To jasne – że zrzucisz,
W ziemi już zetlały,
Czarny całun pchli.
Jak dobrze – że sidziesz
Przy barze – gdzie będziesz
Najczulej – witany
Wśród nas. W „Vis-à-vis”.

NAJBARDZIEJ CZEKANY (II WERSJA)

I.

Vis-à-vis hotelu „Bels” – w słodkim Jeruzalem,
Pętla autobusów – obok Central Banku.
Gwiazda w kapeluszu, otulona szalem,
Do Betlejem wsiada. Stacja: Żłóbek w Sianku.
Ref.
NAJ-naj-naj
 małutki
BAR-bar-bar
 Złociutki.
DZIEJ-dziej-dziej
 Wybrany
 Mały chłopczyk „śpi”.

NAJ-naj-naj
– ciepłutka
BAR-bar-bar
– ciemniutka
DZIEJ-dziej-dziej,
– czekana
Noc w Betlejem... 3.

II

Vis-à-vis baru „Smok”, w dworca okolicy,
Brama, saturator, autobusów rzędy.
Piotr słucha z uśmiechem, jak konduktor krzyczy:
Wsiadaj! Bo odjeżdżasz – z Worcella, pod dęby!
Ref.
NAJ-naj-naj
– słabiutki,
BAR-bar-bar
– lichutki,
DZIEJ-dziej-dziej,
– kochany,
Duży chłopczyk – „śpi”.
NAJ-naj-naj
– dziś zwleka,
BAR-bar-bar
– bo czeka,
DZIEJ-dziej-dziej,
Zosieńka.
Z bistra – „Vis-à-vis”.

III

Vis-à-vis – cień krzyża. Nocą w czarnym słońcu.
W ziemi odpuszczoną, grzebiesz, Boże, winę.
Panie Miłosierny, powiedz, to jak w końcu?
Zabrałeś Starego – oddajesz Dziecinę?
Ref.
NAJ-naj-naj
– gdy wrócisz,

BAR-bar-bar
– to zrzucisz,
DZIEJ-dziej-dziej
– zetlały
Czarny całun pchli.
NAJ-naj-naj
I siędziesz
BAR-bar-bar
Gdzie będziesz,
Witany
Przez nas. W „Vis-à-vis”.

Pański Jan Nowicki

PS Zobacz Pan, do czego doszło. Latem w Kirgizji zaczynamy już myśleć o zimie w Krakowie. A mówią, że świat nie oszalał.

Biszkek, sierpień 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

czuję się tak, jakbym utracił dziewictwo!

W życiu okradano mnie wiele razy, choć na szczęście nie zawsze byłem tego świadom. Nigdy jednak nie zadałem sobie trudu, żeby przesadnie bronić się przed utratą tak zwanych dóbr doczesnych.

Uważałem, i dalej uważam, że pielęgnowanie braku zaufania do ludzi jest zajęciem zbyt uciążliwym. Lepiej już po drodze coś tam stracić, niż od rana do wieczora mieć na wszystko i na wszystkich otwarte oczy.

Jeśli kradli mi srebrną papierośnicę, kupowałem następną srebrną albo stalową. Gdy skradziono mi wieczne pióro, sięgałem po długopis i pisałem dalej.

Pewna gazela wylazła z buszu naszego raczkującego kapitalizmu i okradła mnie w biały dzień na setki milionów starych złotych. Nie kobieta i nie zwierzątko, Drogi Panie, tylko, że się tak wyrażę, męsko-budowlana łachudra, która – z tego co słyszę – leży teraz w domu dla umysłowo chorych. A ja tymczasem, mimo utraty znacznej sumy, dalej chodzę ulicami Krakowa uśmiechnięty i, jak na moje wymagania, wystarczająco zdrowy.

Kiedyś w Warszawie skradziono mi piękny scyzoryk, kupiony w Locarno za szwajcarskie pieniądze. W tamtych czasach, po przeliczeniu, wystarczyłoby na wypłatę półrocznej renty mojego Ojczyrna. Też nie żałowałem. Żałował za to złodziej, bo wspomniany scyzoryk, po upływie trzech lat, zatoczył złowrogi łuk nad matką ziemią i któregoś dnia wrócił do mnie przypadkiem na siódme piętro hotelu „Inter Poczdam”.

Biedny złodziej wiedział, że ja wiem. Milczałem jednak, z rozbawieniem patrząc w jego chabrowe śleпка i myślałem,

zupełnie jak poeta, że chwila ta powinna trwać wiecznie, bo rzeczywistość jest piękna.

Co tam scyzoryk. Opłaciło się mieć tę rzadką okazję oglądania człowieka, który jak u Andersena, przemienia się w żabę.

Był taki czas, proszę Pana, że straciłem wszystko, co miałem. Ale nawet i to się przydało. Bo tylko w praktyce można przekonać się, jak nadęte „wszystko”, może oznaczać tyle samo co sflaczałe „nie”.

Dzisiaj jednak – powtarzam – czuję się tak, jakbym utracił dziewictwo. Wydarzenie, o którym będzie mowa, miało miejsce na największym w Biszkeku bazarze „Osz”. Kupowałem truskawki, wiśnie, melona i właśnie miałem płacić za maliny, kiedy stwierdziłem, że z mojej torby zniknęła portmonetka. W tej samej chwili usłyszałem za plecami miodowy baryton, który bez cienia współczucia stwierdził po rosyjsku: „okradli was”.

Moment, w którym nas czegoś tak brutalnie pozbawiają, ma w sobie – przyzna Pan – jakiś magiczny wdzięk, jakąś bez mała seksualną tajemnicę. Patrzyłem więc tylko na (jak mawia pewna piękna Pani) smukłe pęciny uciekającego małego Kirgiza i... nie czułem żalu. Potem w towarzystwie komentarki Marty i Łukasza, które na szczęście nie trwały zbyt długo, wróciłem do malowniczo położonego hotelu „Issyk-kul”, gdzie w chłodnym apartamencie stwierdziłem, że przez moją skórzaną torbę przejechał ktoś sprawnie od dołu do góry żyłką.

I wtedy właśnie przyszedł mi na myśl stan, o którym wspominam w pierwszych słowach listu.

Pański, bądź co bądź nieco odmieniony,

Jan Nowicki

Biszkek, wrzesień 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

co u Pana? U mnie lato jednakowo gorące i tydzień przemieniające w dzień. Bezchmurne niebo i powietrze wokół tnie świergot jaskółek nazywanych tutaj „karyłkaszor”. To nawet sympatyczne, że wszystkie balkony hotelu „Issyk-kul” oblepiają gniazda tych śmigłych istnień.

Wczoraj jedna jaskółka wpadła do mojego pokoju, obleciała kąty i wyfrunęła. Chciałoby się zobaczyć w tym jakiś znak, ale nie zobaczyło się.

Żyję w Kirgistanie już trochę i cały czas staram się czegoś o nim dowiedzieć. Wiadomości czerpię z rozmów, ale te są nieprecyzyjne i często sprzeczne. Mówią, że w tym kraju żyje około 5 milionów ludzi. Z czego około 1,5 miliona rdzennych Kirgizów. Reszta to: Rosjanie, Białorusini, Ukraińcy, Radżycy, Koreańczycy, Kazachy, a na końcu chińscy muzułmanie zwani Dunganami. Ci ostatni, z tego co widzę, stanowią najbardziej zaradną grupę, która chyba najlepiej pojęła sens zmian, jakie nastąpiły po rozbiciu imperium.

W Biszkeku mieszka milion ludzi, z czego 300 tysięcy nielegalnie. Bez zameldowania i bez pracy, jak przypuszczam.

Na ulicy Młoda Gwardia siedzą w kucki setki bezrobotnych i coś tam palą. Sądząc po zadowoleniu malującym się na ich twarzach, można przypuszczać, że to coś więcej niż zwykłe papierosy.

Nasza dzienna dieta to 40 amerykańskich dolarów. Po wymianie na somy (miejskowa waluta) otrzymuje się 1400 somów. Emerytura miesięczna wynosi od 300 do 600 somów. Pensja ministerialna – 100 dolarów.

Ale wszystko, choć biedne, jakoś się kręci. Dzięki szarej

strefie, korupcji oraz żyłtkom, które w sprawnych rękach potrafią tak wiele. Ci, którzy żyją tu nielegalnie, zeszedli z gór. Jak ludzki lodowiec stopiony tam wysoko nędzą i brakiem jakichkolwiek szans. Mały Kirgiz imieniem Tałaj ma dopiero 14 lat, ale już myśli o przeniesieniu się do Europy.

Szkoda tych jaskółek za oknem, które lecąc gromadą, przy nagłej zmianie kierunku robią wrażenie, jakby zamiótl nimi nieistniejący wiatr. Innym razem pędzą prosto przed siebie, przypominając miniatury pocisków „katuszy”.

No i tych zębów z żelaza, srebra i złota – też jakoś szkoda. Bo po pierwszym odruchu niechęci – złoty komplet wciąga, robi demoniczne wrażenie i coś oznacza. Hasan, mój kierowca, twierdzi, że znał kobietę, która w testamencie zapisała swemu wnukowi szczękę, z myślą o rowerze dla chłopca.

Minęliśmy półmetek w nakręcaniu *Małej Wilmy*. Odnoszę wrażenie, Panie Piotrze, że uczestniczę w czymś ważnym i szlachetnym. Myślę, że Marta Meszaros tym filmem żegna się ostatecznie z Kirgizją. W otoczeniu najbliższej rodziny, tworzącej ekipę, spojrzeniem omiata góry Tien-szan, u podnóża których historia rozsypała prochy jej najbliższych. Ona, zbliżająca się do starości, rękoma swojej wnuczki dotyka ostatni raz twarzą ojca i matki.

Na planie filmu wyczuwa się prostą, ludzką energię. A ta, jak uczy doświadczenie, nie może zostać niezarejestrowana przez kamerę. Jestem więc dobrej myśli, Kochany Panie. Liczę na to, że w zalewie szmiry powstanie film, który pozostawi potrzebny ślad.

Czule Pana pozdrawiam

Pański Jan Nowicki

PS Panie Piotrze, mam już dość Pańskiego milczenia. Wyśle stąd może jeszcze jeden list, ale potem nieugięcie będę czekał na słowo od Pana.

Biszkek, wrzesień 1999

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The tree is covered in green leaves, some of which are pointed and serrated. At the base of the tree, a small brown and white dog is looking up towards the branches.

Pan Piotr Skrzypecki Niebo

Kochany Panie Piotrze,

w ciemnościach, u podnóża gór Tien-szan, zaszczeakał pies!
W każdym miejscu Ziemi psy szczekają tak samo. Tutaj, na
Alasce, w Zduńskiej Woli, w lasach Amazonki – wszędzie jed-
nakowo. A ludzie, zamiast się dziwić – nic, tylko słuchają.

Od zawsze miałem nabożny stosunek do dalekiego ujadania
psa. Wydaje mi się, że tam skąd ono dochodzi, żyje ktoś, kto
czeka na mnie, w pozbawionej sprzętów chacie, przed którą
stoi czarny pies i swym wołaniem wyręcza zdławioną przez
noc – czyjąś tęsknotę.

Drogi Panie, do dziś nie zdobyłem się jeszcze na samotną
wędrowkę śladem psiego wezwania. Ta droga pozostaje dla
mnie ciągle tajemnym i boleśnie niespełnionym obowiązkiem.
Dziwne, przecież przez całe życie nic tylko czekam na długi
list od kogoś, kto przy nazwisku dopisze cztery krótkie słowa
– „tam gdzie pies szczeka”.

Dlaczego więc nie zakładam kapelusza i szala, dlaczego nie
zapalam latarki i nie wyruszam? Nie wiem. Ciemność mnie
nie przeraża, nie boję się ludzi, droga nawet jeśli trudna, za-
wsze jest do przebycia.

A ja – nie wychodzę.

Może boję się, że jak już dotrę do celu, chata okaże się pu-
sta. Z człowiekiem w środku – pusta.

Jestem słabym wędrowcem. Bez nóg i bez wiary, Drogi Pa-
nie.

Pani Beata – siedzi na ławce z książką w ręku i w zapadają-
cych ciemnościach domyśla się liter.

Pan Dobromir – patrzy na pusty obraz wziętej malarki i nie zapala światła.

Pani Anna – piękną dłoń przesuwając po włosach dziecka i zapala cienkiego papierosa.

Pan Dyrektor – toczy pianę. Pani Dyrektorowa – warczy. Dyrektorzątko – skiełczą. Mąż stanu – przy pełnej misce zasypia nerwowym snem i z przyzwyczajenia merda ogonem.

Nocą ze wszystkich tych miejsc dochodzić będzie szczekanie domowych psów. Bezdomne wybiegną w pole.

Co robić?

Opowiedział mi jeden gość, jak to kiedyś odważył się podążyć za dalekim szczekaniem. Szedł, szedł i przez cały czas czuł, że narasta w nim beznadziejne pragnienie spełnienia ostatnich chłopięcych oczekiwań. Przewędrował wiele dróg, przedzierał się przez gęste krzewy, mijał zamki z uspionymi stadami kawek na wieżach. Aż wreszcie dotarł do celu. Tam stracił nietoperza, który w ciemnościach wkręcił mu się we włosy, pogłaskał psa i zajrzał przez małe okienko do wnętrza chatki.

Na podłodze, wciśnięta w kąt, siedziała skulona niebiesko-oka księżniczka i pięknym głosem syreny, w pieśni bez słów – obiecywała manowce. Plakała. Wtedy uciekł, potrącając po drodze psa, który przeciągłym skowytym zmylił mu powrotną drogę.

No i chodzi teraz, pozbawiony dachu nad głową, a nocami znowu czeka na dalekie szczekanie psa. Zachwycające przez to, że przywołuje na myśl marzenia, które nigdy i nikomu nie mogą się spełnić.

Pański Jan Nowicki

PS Od miesiący stolica Kirgizji, Biszkek, nie ma ciepłej wody. Nikt się nie dziwi. Niech Pan już pisze, Kochany Panie.

Biszkek, wrzesień 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

znowu jestem. Dziękuję za listy z Kirgizji, a choć – jak to zwykle z Panem bywa – niewiele się o tym dalekim kraju dowiedziałem, czasami pośmiałem się jednak – to prawda. Najbardziej śmiałem się nad listem, w którym opowiada Pan o mu-chach w samolocie.

Dobrze, że Pan wrócił do Krakowa, Drogi Panie, przecież w tamtych stronach teraz porywają. Cieszę się, że Pan wrócił wymasowany przez Panią Anarę, cały i zdrów.

Panie, znowu Pan nabazgrał piosenkę. Kolędę – tym razem. Tyle razy ostrzegałem, a Pan ciągle swoje.

Za długie to, Panie Janie, i niebezpiecznie... lokalne. Przecież jeżeli ma „chwycić”, musi być proste jak drut i jasne jak słońce.

A już za frazę „wsiadaj, bo odjeżdżasz – z Worcella, pod dęby”, powinien Pan smażyć się w gorącej smole.

Kolęda dla mnie – powiada Pan? Czemu nie! Uwielbiam, jak śpiewacie o mnie. Róbcie to jak najczęściej.

Pański tekścik przekazałem do obróbki najbardziej zapyziałemu Aniołowi, który w Niebie nosi ksywę – „tekściarz”. Oto co mi przyniósł:

NIBY KOLEDA

I

W słodkim Jeruzalem – nocka już zapada.

Śpiące stada bydła – przeżuwiają dzień.

Zamyślona gwiazda – kapelusz zakłada.

Niesie nad Betlejem: ciepło, światło, cień.

Ref.

Gdzie taki – malutki.

Najzłociej – złociutki.

Najczulej – wybrany.

Mały chłopiec – śpi.

Najcieplej – ciepłutka.

Najciemniej – ciemniutka.

Najdłużej – czekana.

Noc w Betlejem... dziś.

II

W słodkim Jeruzalem – mijają godziny.

W małej stajeneczce – sennie kwili czas.

Wtulony w kącie nocy tuż obok dziecińcy,

Czuwa Święty Józef. Czuwa – każdy z nas.

Ref.

Gdzie taki – malutki.

Najzłociej – złociutki.

Najczulej – wybrany.

Mały chłopiec – śpi.

Najcieplej – ciepłutka.

Najciemniej – ciemniutka.

Najdłużej – czekana

Noc w Betlejem... dziś.

III

Jezu Miłosierny – przynosisz nam siebie.

Jak trudno zrozumieć. Czy to nasza wina?

Odpowiedz po prostu: czy zawsze tam w Niebie,

Gdy Stary „zasypia” – budzi się dziecińca?

Ref.

Dlaczego – malutki.

Najzłociej – złociutki.

Najczulej – kochany

Duży chłopiec – „śpi”?

Kto zimnem – zimniutkim.

Kto mrokiem – ciemniutkim.
Sypnął w oczy śniegiem?
Pusto w „Vis-à-vis”.

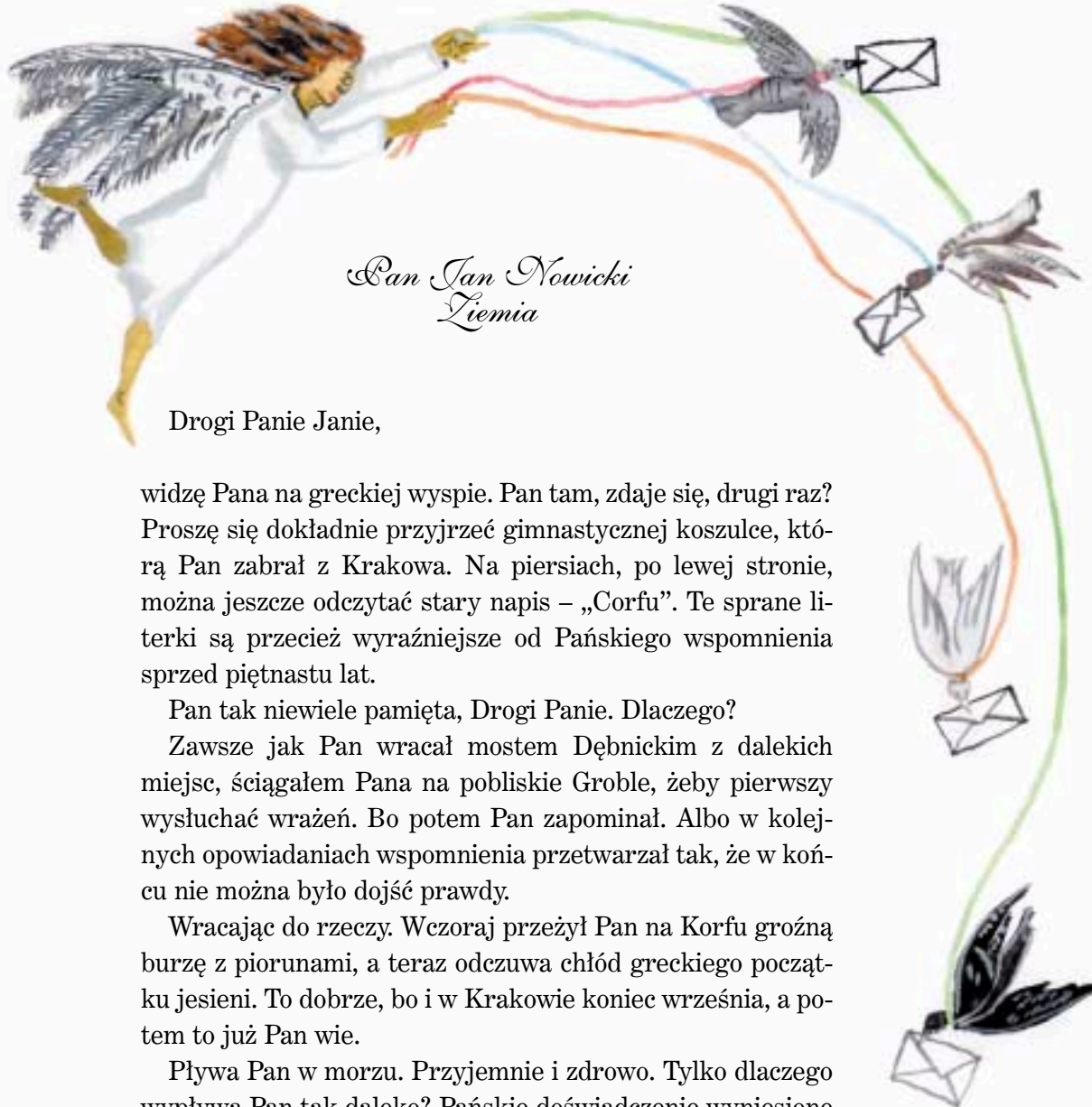
Coś takiego przekażę we śnie Zbyszkowi Preisnerowi. Zobaczymy, może się nada.

Wiem, że wyjeżdża Pan do Grecji. Proponuję więc odwrócić role. Tym razem ja opowiem, co Pan tam zobaczył.

Kłaniam się

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Nad wyschniętą sadzawką, wrzesień 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

widzę Pana na greckiej wyspie. Pan tam, zdaje się, drugi raz? Proszę się dokładnie przyjrzeć gimnastycznej koszulce, którą Pan zabrał z Krakowa. Na piersiach, po lewej stronie, można jeszcze odczytać stary napis – „Corfu”. Te sprane literki są przecież wyraźniejsze od Pańskiego wspomnienia sprzed piętnastu lat.

Pan tak niewiele pamięta, Drogi Panie. Dlaczego?

Zawsze jak Pan wracał mostem Dębnickim z dalekich miejsc, ściągałem Pana na pobliskie Groble, żeby pierwszy wysłuchać wrażeń. Bo potem Pan zapominał. Albo w kolejnych opowiadaniach wspomnienia przetwarzał tak, że w końcu nie można było dojść prawdy.

Wracając do rzeczy. Wczoraj przeżył Pan na Korfu groźną burzę z piorunami, a teraz odczuwa chłód greckiego początku jesieni. To dobrze, bo i w Krakowie koniec września, a potem to już Pan wie.

Pływa Pan w morzu. Przyjemnie i zdrowo. Tylko dlaczego wypływa Pan tak daleko? Pańskie doświadczenie wyniesione z kujawskich glinianek może nie wystarczyć.

Chce Pan być dalej od ludzi? Chce Pan poczuć się wolnym? Ale mimo wszystko, niech Pan nigdy nie wypływa za horyzont. Stamtąd często się nie wraca. Zresztą, za horyzontem jest jeszcze jeden horyzont. A za nim następny.

Zamów Pan raczej szklaneczkę greckiego wina i pomyśl o czymś. Choćby o tej szwedzkiej parze, która siedzi przy sąsiednim stoliku i przeżuwa milczenie.

Nie wiem jak Pan, ale ja odnoszę wrażenie, że oni są ze sobą bezgranicznie szczęśliwi. Z prostego powodu, Drogi Panie. Dobrali się jak w korce maku. Swój trafił swego w samo serce. Zna Pan przecież przypadki, kiedy to on albo ona z rozmarzeniem w oczach mówią o radości spotkania. O cudzie, który zdarza się tylko raz. O spełnieniu. O wzajemnym zaufaniu.

Nie do końca im ufam – wie Pan? To znaczy nie do końca wierzę. Myślę, że tę jasnowłosą parę szczęście rozleniwia i wpędza na manowce, o których Pan wspomniał w jakimś liście z Kirgistanu. I mimo że sam pozostaję w stanie spoczynku, Wam, Ziemiakom, polecałbym raczej ciągłą i nigdy niekończącą się próbę odnalezienia szczęścia. Także osobistego.

Dążenie, Panie Janie, nigdy spełnienie. Ot co! Bredzę trochę. Odzwyczaiał mnie Pan od pisania – może dlatego.

Kończę ten krótki list i proszę, by Pan pamiętał, że miejscowość, w której Pan spędzi dwa tygodnie, nazywa się Acharavi. A pieniądze, którymi się Pan posługuje, to drachmy, a nie dioptrie.

Serdecznie ściskam i proszę o wiadomości

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Na małym kamieniu, październik 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

mówi się, że ktoś trafił w toto-lotka, sierżant Baryła trafił w „dziesiątkę”, emerytowi trafił się prawdziwek, napastnik Wisły Kraków trafił do bramki przeciwnika, a ktoś inny tylko kulą w płot.

Jednak wszystkie te przypadki błędą wobec rzadkiego zjawiska, kiedy to kosa trafia na kamień. Przypadek? Być może. Kto nie zna siły przypadku? Ale może również świadomy sygnał jakiejś energii, którą – zdaniem pewnej Pani – wyrzucamy niepotrzebnie w Kosmos?

Piszę o tym trochę w nawiązaniu do Pańskiego ostatniego listu, gdzie z umiarkowanym entuzjazmem mówi Pan o pewnej milczącej szwedzkiej parze.

Szkoda, że Pan zamknął za sobą drzwi.

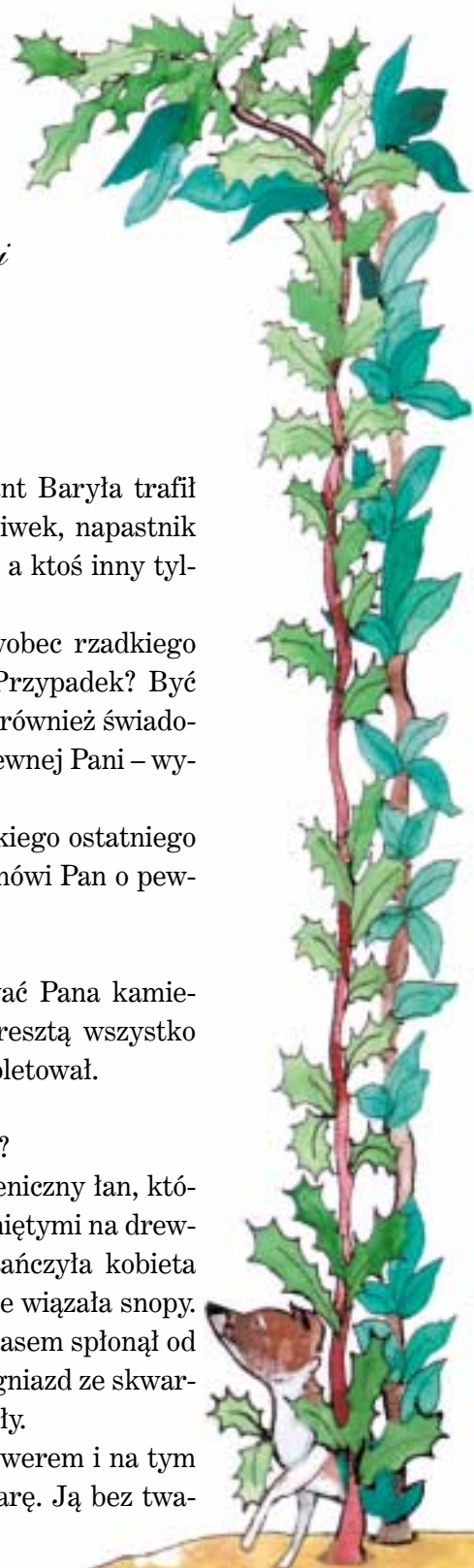
Gdyby nie to, dziś miałbym ochotę nazwać Pana kamieniem, a siebie kosą. A może odwrotnie? Zresztą wszystko jedno, skoro Pan nas tak beztrzesko zdekompletował.

No nic... rozmawiajmy dalej!

A więc – TRAFIŁA KOSA NA KAMIENIŃ?

Widziałem kiedyś pole, a na tym polu pszeniczny łan, który kładł pokosem krępy facet z rękami zaciśniętymi na drewnianym stylisku kosy. Parę metrów dalej tańczyła kobieta z twarzą zwróconą w jego kierunku i zręcznie wiązała snopy. Ze snopów mendle, z mendli stóg. Który z czasem spłonął od pioruna, a razem z nim ludzka miłość i setki gniazd ze skwar-kami ślepych myszek, które ledwie się poczęły.

Jakiś czas potem znowu przejeżdżałem rowerem i na tym samym polu jeszcze raz zobaczyłem moją parę. Ją bez twa-



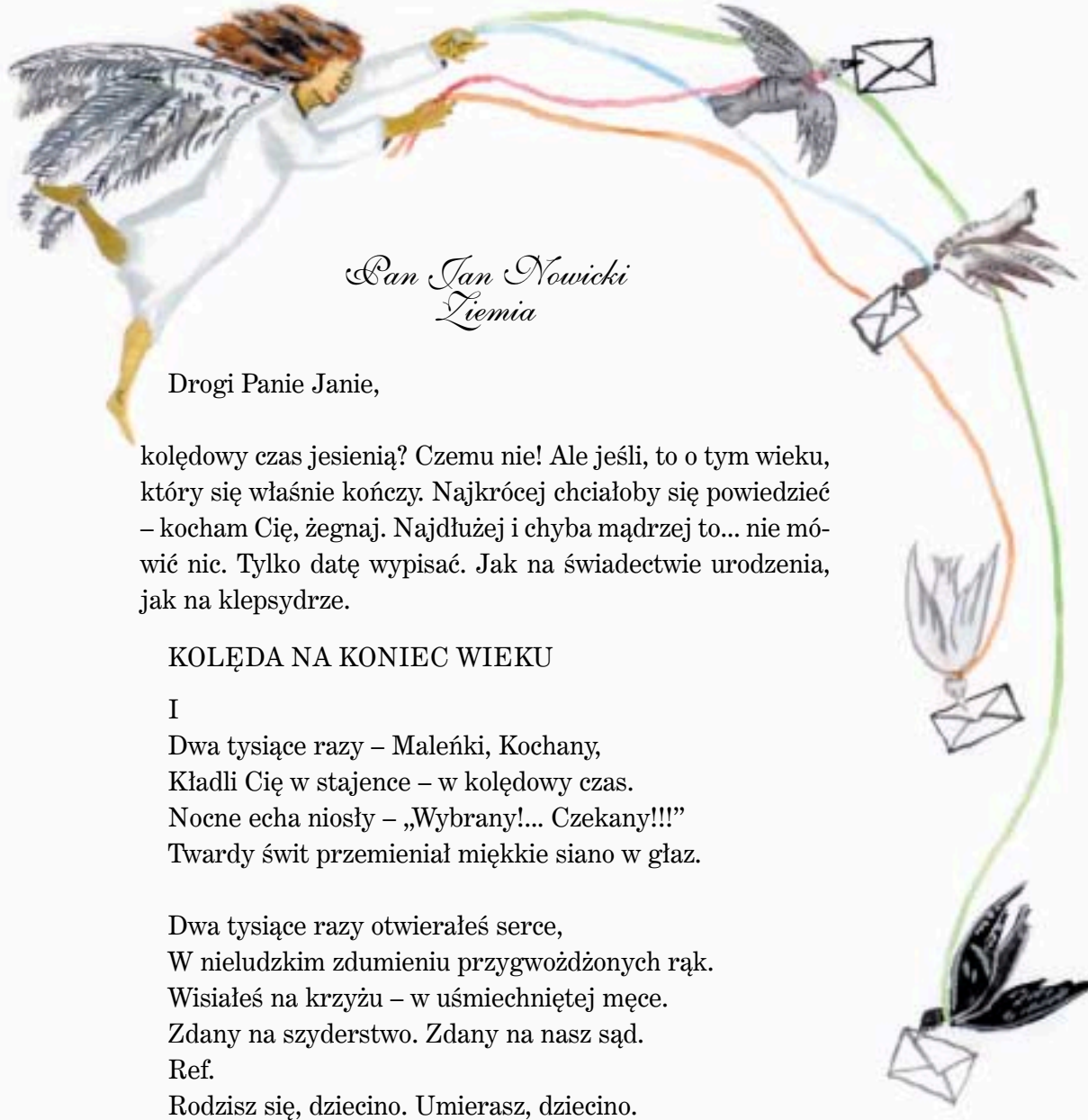
rzy, jego z kosą w ręku, z oczami wbitymi w ziemię i tęsknie czekającego. Może na kamień?

Jak przyjdą następne żniwa, pojedę tam jeszcze raz, Panie Piotrze. Albo nie, powlokę się piechotą. Noga za nogą. Jak za trumną niesioną na wątłych ramionach nadziei, w której spoczywa oczekiwanie na prawdziwą miłość.

Oczekiwanie na traf, Panie Piotrze. Na traf!

Pański Jan Nowicki

Kowal, październik 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

kolędowy czas jesienia? Czemu nie! Ale jeśli, to o tym wieku, który się właśnie kończy. Najkrócej chciałoby się powiedzieć – kocham Cię, żegnaj. Najdłużej i chyba mądrzej to... nie mówić nic. Tylko datę wypisać. Jak na świadectwie urodzenia, jak na klepsydrze.

KOLEDA NA KONIEC WIEKU

I
Dwa tysiące razy – Maleńki, Kochany,
Kładli Cię w stajence – w kolędowy czas.
Nocne echa niosły – „Wybrany!... Czekany!!!”
Twardy świt przemienił miękkie siano w głąz.

Dwa tysiące razy otwierałeś serce,
W niehumanicznym zdumieniu przygwożdżonych rąk.
Wisiałeś na krzyżu – w uśmiechniętej męce.
Zdany na szyderstwo. Zdany na nasz sąd.
Ref.

Rodzisz się, dziecińko. Umierasz, dziecińko.
Serca nam przepełniasz nadzieją i łzą.
W Kanie Galilejskiej zmieniasz wodę w wino.
A ludzie nie wierzą. A ludzie wciąż kpią.

Rodzisz się, dzieciątko. Umierasz, dzieciątko.
W ten rok dwutysięczny szepnij Matce, śnij,
Że my kolebiemy boskie zawiniątko.
Zabierz nasze serca – w małych rączkach skryj.

II

Roślino zielona. Chłopcze złotowłose.
Bosy na klepisku w tak siarczyste mróz.
Pobłogosław dzieci – wodę, trawę, wrzosey.
A na klawiaturach – pieśni nowe złóż.

Przekreślmy tysiące! To cóż, że są dwa.
Zacznijmy od nowych i piękniejszych wierszy.
Słyszysz? To harmonia pożegnaniem łka.
Dwutysięczny! Dwu-tysięczny! Dwu-ty-się-czny!
Ref.

Umierasz, dziecko? Rodzisz się, dziecko?
Serca nam przepelniasz nadzieją i łzą.
W Kanie Galilejskiej zmieniasz wodę w wino.
A ludzie nie wierzą. A ludzie wciąż kpią.

Umierasz, dzieciątko! Rodzisz się, dzieciątko!
Gasną dwa tysiące – w tę czarowną noc.
Która chowa księżyc i zapala słońko.
A pastuszek wierzy – ŻE TRUCHLEJE MOC!!!

Pański Piotr Skrzynecki

PS Dzisiaj lubię Pana bardziej niż zwykle. Przyda się –
prawda? Przyda się.

Niebo. W cieniu skały, październik 1999

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

przysłał Pan tekst kolędy na koniec wieku? Ambitnie, Panie Piotrze, bardzo ambitnie. Tyle że ani słowem nie wspomina Pan, kto jest jej autorem. Może Pan? Jeśli tak, to z radością myślę o tym, że udało się nakłonić Pana do wspólnej zabawy.

À propos. Tego lata wziąłem ze sobą na Korfu mój magnetofonik, na którym Pan kiedyś usiadł, i dwie kasety. Jedną czystą do nauki tekstu, drugą z nagraniem piosenek Kayah i Bregovicia. Hit sezonu, jak słyszę.

Na okładce kasety zdjęcie piosenkarki i kompozytora, jakieś takie sentymentalne, trochę weselne, na pewno zabawne. Nie trzeba nawet słuchać utworów, by już na podstawie wspomnianej fotki gołym okiem zobaczyć, że twórcy zapraszają słuchacza do wspólnej zabawy, w której sami zamierzają wziąć udział.

A potem były dwa tygodnie słuchania. Międzynarodowe towarzystwo siedzące na tarasach hotelu „Acharavi” pod koniec wakacji nuciło (niby po polsku) *Tabakierę*, *Śpij kochanie*, *Byłam różą* i inne kawałki. KAWAŁKI – Panie Piotrze. Bo nie wiem, czy Panu wiadomo, że na weselach gra się właśnie... kawałki. Z czego znakomicie zdaje sobie sprawę zarówno pan Bregović, jak i pani Kayah.

Pan Bregović połączył motywy polskich górali z rytmami i nastrojem Bałkanów. Z tego połączenia wyszedł kawał zabawy i kawałek wzruszeń. Zachwyty słuchaczy przeszedł wszelkie oczekiwania. Na jakimś koncercie zebrały się ponoć tysiące ludzi. Mówią, że od niepamiętnych czasów, po raz pierwszy na tego rodzaju imprezie można było spotkać słuchaczy różnych generacji. Od 60- do 20-latków. I na tym, Dro-



gi Panie, powinienem skończyć, gdyby nie ten piskliwy głosik, który doszedł mnie ze szpałt poczytnego tygodnika „Wprost”.

Zapisał Raczek. Pan Tomasz Raczek. W felietonie pt. *Etno polo*, kiedy już wymienił miasta, w których ostatnio bywał (Londyn, Monachium, Kopenhaga), pisał w końcu – po warszawsku – że „etno” (do którego zalicza piosenki Kayah i Bregovicia) znalazło – „sobie drogę do polskich serc: trochę kuchennymi schodami i trochę podstępem”. Że sprowadził je do nas „muzyk z Sarajewa – Goran Bregović”. Dlaczego nie muzykant – panie Tomaszu? Myślę, że Goran, mimo międzynarodowego uznania, jakim się cieszy, nie miałby nic przeciwko temu.

Czytamy dalej: „Etno polo to raczej muzyka knajpiana, niż etniczna. Szczerze mówiąc, wyjątkowo piękne brzmienia bałkańskie wolę z innej ręki niż Bregovicia, a Kayah – no cóż, chyba sama czuje, że nie jest to najlepsza płyta w jej karierze. Moda etno przyszła więc do nas przez kuchnię, a właściwie przez barek z wódką i piwem, co jest skądinąd tutaj charakterystyczne” – pisze Raczek.

Panie Tomaszu Drogi, a skąd Pan wie, że Bregoviciowi nie jest bliższa muzyka knajpiana od etnicznej? A może pan Goran brzmienia bałkańskie także woli z innej ręki niż własna? A jeśli sponiewierana niesłusznym sukcesem Kayah rzeczywiście uzna wspomnianą płytę za nie najlepszą w swej karierze, to co ma zrobić? Przekreślić swój wybór, wypiąć się na widownię, skreślić ze swojego repertuaru utwory „muzyka z Sarajewa” tylko dlatego, że spotkały się z nadmiernym zachwytem słuchaczy, do których Pan – bywalec – się nie zalicza?

„Przez kuchnię” – powiada Pan. Przez „barek z wódką i piwem”?

W tej sytuacji została Panu jeszcze toaleta, przed którą Pan się cofnął. Ale tylko przed nią, bo już sformułowaniem – „co jest skądinąd t u t a j charakterystyczne”, daje Pan do zrozumienia, że Pan jest t a m.

Przecież my o tym wiemy. I nie mamy nic przeciwko temu.

My, dorosłe dzieci, świadome od dawna, że świat z różnych powodów staje się coraz bardziej prowincjonalny.

Śpij, kochany, śpij!

Pański Jan Nowicki

Kowal, październik 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

co się tam u Was na dole dzieje? Myślę o aktorach. Co się z Panem dzieje? Czasami odnoszę wrażenie, że Pańska profesja jest na wymarciu. Gdzie te stare dobre czasy, kiedy to chodziło się do teatru „na aktora”? I to niejednego. Gdzie zniknęli starzy mistrzowie sceny? Tacy jak Kazimierz Fabisiak, Wojciech Ruszkowski, Wiktor Sadecki, Marian Jastrzębski? A panie: Bednarska, Zaklicka, Malicka, Niwińska. Ja wiem, gdzie teraz rezydują – spotykamy się. Ale dlaczego ich miejsc nie zajęli inni?

To znaczy jeszcze niby jesteście. Jeszcze się pętacie przed kamerami, na scenie, estradach. Ale tak naprawdę to już nie Wy, tylko Wasze zmęczone cienie eks-aktorów. Prześcigacie się w zarobkach, wchłonęła Was reklama, telenowela. Jeden z Was to jakiś „twardziel” na przykład. Co to znaczy „twardziel”, Panie Janie? Po co mu to? Po co Wam to? Dobrze, niech sobie nawet zagra „twardego”, ale raz, no, dwa razy. Ale żeby tak latami na „twardo”? Dlaczego nie mięknie? Dla zdrowia, urozmaicenia, z nudy, dla zabawy?

Drugi znowu całymi latami... wyłącznie śmieszny.

Gdzie się podziały aktorskie marzenia? Twarze aktorów i aktorek – nie wiem, czy z tej drogi nie ma powrotu – Panie Janie? Obawiam się, że nie ma. Odmóżdżoną widownię zabawiają coraz częściej odmóżdżeni artyści. Jedyna emocja godna uwagi, to teraz może już tylko ziemia z korzeniami drzew, trawą, zapachem pór roku. Zamiast chodzić do kina czy teatru, spacerujecie raczej po lesie. Chowajcie twarze w mech i wrzos. Cieszcie uszy śpiewem ptaka, gdakaniem kur, szumem wiatru. Bo to ma przynajmniej jakiś sens.



Dzisiaj bardziej niż zwykle czekam na Pana. Może Pan powinien już tutaj być? Chciałbym wyciągnąć Pana z odmetów nieprzespanych nocy, papierosowego dymu i alkoholu, który tak w Panu posmutniał.

Chodź Pan – pomilczymy. Przybywaj Pan, a wybierzemy się na długi spacer aleją z białych kamieni.

Patrzyłem na Pana dzisiejszy świt i pomyślałem, że trzeba coś z tym zrobić. Z tym ołowiem za oknem, szczekaniem psa pod koldrą, kaszlem.

Proszę także przemyśleć, czy nasza korespondencja ma dalej sens? Skończyło się lato, kończy się wiek, wszystko zmierza do nieuchronnego końca, więc może i my?

I proszę tyle nie palić. Pan się zabija.

Przepraszam za smutny ton mojego listu, ale cóż... martwię się.

Drogi Panie, niech Pan pamięta, że tu, po drugiej stronie zwierciadła, ktoś myśli o Panu. Czeką na Pana.

Serdecznie pozdrawiam

Pański Piotr Skrzynecki

PS Jeszcze jedno. Doszły mnie słuchy, że czyjeś serce pękło. Proszę kochać to serce i proszę temu sercu o tym powiedzieć.

Niebo. Aleja białych kamieni, październik 1999



Pan Piotr Skrzyniecki
Niebo

Kochany Panie Piotrze,

zdziwił mnie Pana ostatni list. Zdziwił i trochę zasmucił. Pan podaje w wątpliwość sens naszej dalszej korespondencji? Dlaczego?! Może tam, w Niebie, życie po życiu dostarcza Wam takiej satysfakcji, że listy spadające na Ziemię są jedynie zbędnym dodatkiem i niczym więcej.

Ale tutaj, proszę Pana, bywają chwile, kiedy myśli wysyłane ku obłokom pomagają... udźwignąć, przetrwać, żyć.

„Bujanie w obłokach”. Mój Boże! Dla głupców to zaledwie bezproduktywne zajęcie.

Dla ludzi chcących zrozumieć – radość wynikającą z rzadko udawanych prób oderwania się od ziemi, tej koszuli – bliskiej ciała, przez moment tak krótki... tak krótki.

Proszę mi pozwolić pisać do siebie, Drogi Panie. Dzięki temu raz w tygodniu pokonuję bezcenny milimetr, który skraca drogę do Pana – szlak obliczany przez znawców w latach świetlnych.

I proszę mi pozwolić pamiętać o sobie. Częste wspomnianie zmarłych, to rodzaj modlitwy – czuły oręż.

Czasem jedyny, jakim człowiek dysponuje w nierównej walce ze śmiercią. Śmierć nie zabiera człowieka, Drogi Panie. Ona tylko w grobowej ciszy podwyższa poprzeczkę dla naszych miłości.

Od półtora roku co siedem dni pochylam się nisko nad białą kartką papieru i próbuję naiwnie wymazać czarny wyrok przeznaczenia. Pogodzić się z nim i z pokorą czekać na własny. I nie badać go, bo jest... NIEZBADANY. I wierzyć w jego sprawiedliwość, bo jest... BOSKI.

Godzę się pisać do Pana, nie oczekując odpowiedzi. Czas nauczył mnie kochać bez wzajemności. Gotów jestem pamię-

tać – będąc zapomnianym. Potrzebuję tak niewiele, Drogi Panie. Zadowolę się każdym drobiazgiem. Może to być cień ronda kapelusza. Zamulone stawy, wedle których dzisiejsze GROBLE. Wyschnięty strumień wstażki, bo za nią pamięć zatknęła pióro mariackiego gołębia.

A poza tym, Pan przecież pewnie wie, co w naszym Krakowie...

Że dzisiaj np. ksiądz doktor Mieczysław Maliński obchodzi pięćdziesięciolecie kapłaństwa. Jaki tam Mieczysław, jaki doktor, Panie Piotrze. Mietek – po prostu Mietek. Nasz przyjaciel, z tym swoim cieniem uśmiechu w kącikach ust, które bez słowa przebaczą. Z rękoma, złożonymi najczęściej tak, jakby z równą żarliwością obejmowały Boga i Człowieka. Najwyższego i Najniższego. Z prośbą o zwykłą miłość.

Dzięki takim ludziom jak Ksiądz – świat pięknieje. Jemu – księdzu Mieczysławowi – nie ma potrzeby mówić bezmyślnie „Bóg zapłać”. On jest przecież jednym z nas. A więc tym, któremu Bóg (jak wszystkim) zapłaci tylko wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Dlatego Go kochamy. Pan, ja, my wszyscy.

Talent, Panie Piotrze. A talent to boski dar. Powołanie kojarzy mi się raczej z wojskiem.

A tak w ogóle, to wieczorem udaję się na bal do hotelu „Pod różą”. Potańczyć, i... Panu mam mówić?

Kłaniam się nisko

Pański Jan Nowicki

Kraków, listopad 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

rok temu z okazji Wszystkich Świętych, pisałem do Pana o tym, jak to księżniczka Justyna podsłuchała, że na jeden zaduszny dzień mają nam zwrócić ziemskie oczy, którymi będziemy patrzeć na Was. A także uszy, dla wysłuchania rozmów żyjących. I zmysł powonienia, żebyśmy mogli przypomnieć sobie zapach liści kasztanów i stearynowych łez. I jeszcze o nieistniejącym szronie pisałem, w którym jesteście – bo ścieracie go z krzyży ciepłą rękawiczką. O cieniach roztańczonych, że w nich także my.

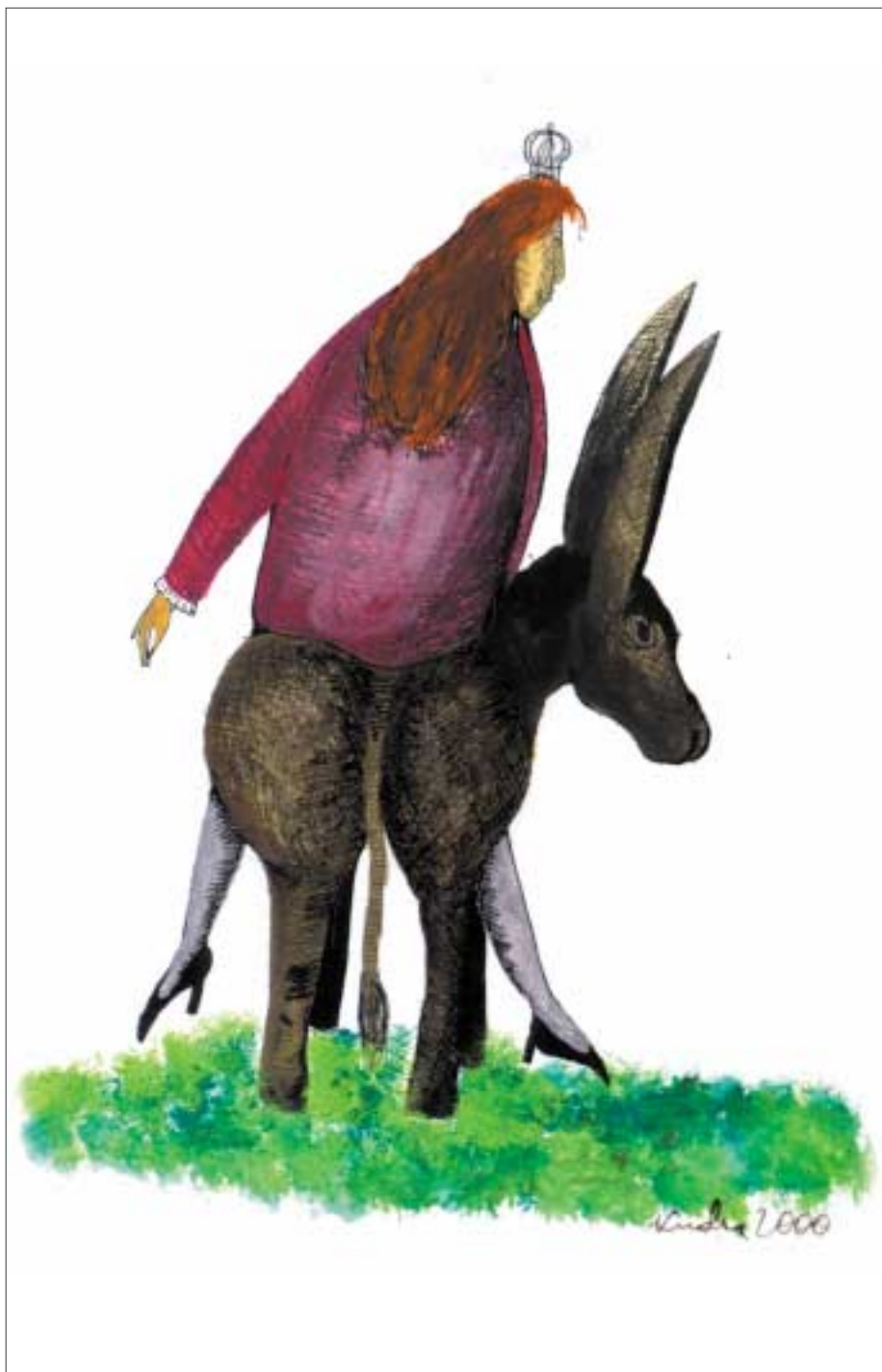
Od tamtego czasu minął rok, panie Janie.

Otuleni niebieską mgłą wiecznego spoczynku, my – Wasze duchy – staramy się unikać wzruszeń. Nie myślimy o tym, co boli tam na dole i co cieszy. Raz do roku, w czas naszego święta i może jeszcze podczas krótkich wizyt na cmentarzach, traktujecie nas serio. Potem jednak, ze zrozumiałych względów, wydajemy się Wam mało realni, a w skrajnych przypadkach nawet zbędni.

No cóż... Niech będzie.

Staramy się unikać wzruszeń – piszę, co nie oznacza, że zawsze nam się to udaje. Wczoraj na przykład wysłuchałem przedziwnego zwierzenia Justyny. Proszę sobie wyobrazić, że minęły setki lat, a księżniczka dalej kocha osła, z którego spadła. (Wiem, że chodziło o kuca, ale nazywam go osłem, bo przecież przez to bydlę straciła życie).

A ta tymczasem: – On nie chciał, Piotrze, nie chciał! Nie zrobił tego umyślnie!!! Potknął się o ukryty w mchu pień, złamał obydwie nogi i teraz na pewno gdzieś płacze.



– Dziecko – powiadam – to o czym mówisz, miało miejsce w XVIII wieku, a teraz mamy XX. Twojego osła już nie ma. Osły są śmiertelne, księżniczko.

– Nieprawda! To co, że go nie ma. Ja go wskrzeszę! – krzyczała i tupiała nóżką.

Oniemiałem, Panie Janie, i obejrzałem się dyskretnie, bo zaczynało być niebezpiecznie.

– Uspokój się, dziewczyno, i powiedz, o co ci chodzi?

Ale ona już tylko milczała. Siedziała skulona na dużym kamieniu, zaciskała pięści i milczała.

– Księżniczko – szepnąłem – śpisz?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Kiedyś zaśniesz, maleńka, a we śnie zobaczysz swojego osła, jak galopuje łąką żółtą od kaczeńców. Jak przeskakuje rowy i strumienie. I ciebie na nim, smagającą spocony bok zwierzęcia grubym warkoczem. I to, jak tym warkoczem rozbijasz na małe kryształki krople rosy, uwięzione w pajęczych labiryntach. Jak szepcesz osłowi do ucha, że jest twoim ulubieńcem, którego ściskasz parą dziewczęcych ud. I boleśnie kłujesz ostrogą. Do krwi. Do pierwszej krwi, księżniczko.

Wiem, dlaczego milczysz. To ty go zabiłaś, nie on ciebie.

No... a teraz czekaj na sen. Będziesz długo czekać, bo następny obiecują tu dopiero za rok. Kto wie, może w tym śnie zobaczysz swojego osła i powiesz mu – przepraszam. Zasłużył na to.

Dotknęła mnie dłonią, w której nie było kropli krwi. Ani błękitnej, ani żadnej. Może zaczeka – pomyślałem.

Wasza Wysokość wybaczy opowiadanie wyssane z palca.

Pozdrawiam Pana, Drogi Panie,

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Ławeczka, listopad 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

noc, godzina 23.30, czwartego listopada 1999 roku, Kowal. Cały dzień i wieczór czekałem na tę godzinę. Chciałem dopaść ją i z Panem spędzić.

Za 30 minut minie północ, która otworzy dzień 5 listopada – dzień moich sześćdziesiątych urodzin.

Co należy zrobić, Drogi Panie, żeby uniknąć smutku?

Kolejno przeżywane dziesięciolecia mijają niezauważone. Utulone nadzieją, radosne i – mimo znacznej dojrzałości – ciągle młode. Ale to...

Na zegarku 23.40. Z początkiem listopada jak zawsze pojechałem na groby bliskich i jakoś mi się dłużej zostało. Nie musiałem przecież, ale... zostałem. Przeczytałem gdzieś: „listopad należy do lepszych miesięcy, jest w nim godność, powściągliwość i uczucie rezygnacji”.

Jesienią sadi się młode drzewa. Na piaskowej górze, która dotyka Jeziora Krzewenckiego, posadziliśmy ich z Andrzejem ponad tysiąc. Wczoraj widziałem, jak maleńkie modrzewie przeżywają pierwszą w życiu jesień.

Patrzyłem na mój płot, taki jak dla bydła, i zadałem sobie pytanie, czy ludzie go uszanują. Rękę zanurzyłem w wodzie, nad którą być może kiedyś stanie mój dom. W tym jest, jak sądzę, odrobina... GODNOŚCI.

Godzina 23.50.

Tylko czy ja w nim zdążę zamieszkać? Mam takie dziwne poczucie, że nie zaznam lat późnej starości. Mówię o tym bez cienia żalu. To tylko... POWŚCIĄGLIWOŚĆ, nic więcej. Mój Kowal zasypia. Pies skrobie pazurkami o deski podłogi. Mruczy gazowy piecyk. Ciemno. Przejżdżające auta, szmerzą.

Oddech krótki i trochę za ciężki. Przywalony milionami papierosów, przebija się teraz przez nikotynową skorupę płuc i ciągle walczy. Stoi ciągle dom, w którym się urodziłem.

Na strychu są być może jeszcze resztki gołębih klatek, zbitych ręką chłopca. Jak dobrze, że w Zaświatach mam Pana. Pan mi przecież pomoże, żebym czas, który mi pozostał, umiał wykorzystać najpiękniej.

W zimowych listach będę pytał Pana o kolejne cele, jakie powinienem stawiać przed sobą. Od Pana oczekiwać będę inspiracji i pomocy. Chciałbym jeszcze czas jakiś nie... REZYGNOWAĆ.

Godzina 24.00.

Mam ją i zwinęta w kłębuszek w całości ofiarowuję Panu – Najbliższemu.

W moim miasteczku przygotowują pewną ważną uroczystość, o której w przyszłości opowiem. A teraz pozdrawiam Pana i proszę o dalszą przyjaźń

Pański Jan Nowicki

PS Drogi Panie, gdy już skończyłem ten liścik, zatęskniłem nagle za majem. Za 61 wiosną, która – kto wie – może będzie tą najpiękniejszą.

Kowal, listopad 1999



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie,

powiada Pan, że skończył sześćdziesiąt lat? A nie mówiłem? Wybacz Pan, ale to bez znaczenia. Na dobrą sprawę w podobnej sytuacji znajdują się również ci, którym dzisiaj stuka dziesięć, czterdzieści, siedemdziesiąt.

Jeżeli dobrze przyjrzy się Pan chwili, zobaczy Pan jedno... jak właśnie mija. To samo dotyczy dni, miesięcy, lat. Bez radości stwierdzam, że co istotne, dopiero przed Panem. Tylko proszę, niech Pan jak ognia unika refleksji, zadumy, podsumowań. Myślącemu człowiekowi przeszłość jawić się może tylko w świetle niewykorzystanych szans – więc po co się męczyć?

W Pańskich stronach rzeczywiście mówią: „po kopie – po chłopie”. Kopa = 60. Młodzi powtarzają to z odcieniem ironii i z kpina. Nigdy ze smutkiem – zauważył Pan?

Bo mają rację. Czego tu żałować? Mlecznych zębów, kruchych jak zapalki? Tych następnych, bolących całe życie i wypadających w końcu? Powrót do bezzębnych dziąseł to jak odnaleziona po latach cudowna kraina niemowlęctwa, kiedy nie trzeba było gryźć niczego i nikogo. Ostatnia dekada życia w istocie przypomina pierwszą.

Dziecko uczy się wypowiadać po raz pierwszy „dzień dobry”. Starzec powinien zrobić wszystko, żeby umieć wyszeptać ostatnie „do widzenia”. To powinno być wymaganą częścią dobrego wychowania.

Drogi Panie, zastanawiam się czasem nad Panem i w takich chwilach czuję się naprawdę od Pana starszy. Jak dziecko we mgle biegnie Pan w stronę marzeń i woli się zabijać, byle tylko nie stanąć oko w oko z rzeczywistością. To silne w Panu

i tak emanujące, że zarazasz Pan otoczenie, a sam żyjesz sobie beztrąsko w tęsknotach, niespełnieniach i wyobrażeniach, budując coraz bardziej rozdygotany scenariusz życia. A gdy ono czasem wyciąga do Pana serdecznie rękę, uciekasz Pan od niej. Robi Pan wrażenie – dość przykre – jakbyś miał monopol na wiedzę o relacjach międzyludzkich. A tymczasem myślę, że nie do końca poznał Pan samego siebie. Czy Pan przypadkiem nie jest przykro zakłopotany na swój własny temat? Nie pytam, czy jest Pan szczęśliwy – nikt nie jest szczęśliwy do końca – ale pomiędzy nieszczęściem a powiedzmy – szczęściem, istnieje jeszcze pogodzenie z zawiłociami losu, przed którymi nie wolno uciekać. Trzeba im w jakiś sposób, najlepiej konkretny, stawić czoła. Niech Pan nie katuje swoich pragnień, niech Pan je raczej zabija. Proszę to zrobić krótkim, zdecydowanym cięciem. Zobacz Pan wtedy, jak usypia swoją tęsknotę, jak znieczula ból wyrządzonej krzywdy. A wtedy powitam Pana w gronie tragicznie rozweselonych starców. Proszę się udać na kompleksowe badania, choćby po to, by wypełnić czymś sensownym czas.

Pański Piotr Skrzynecki

PS Justyna podczytuje mi listy od Pana. Wczoraj rzuciła od niechcienia, że pora już Pana poznać. Ciekawe? Zaskakująco przewrotne bywają kobiety, nawet te, które nie istnieją.

Niebo. Hacjenda, listopad 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

było niezwykle, nadzwyczajnie, przyjemnie, było zmysłowo.

– *Eins – zwei – drei!*

Samo wejście, a potem wędrówka starymi schodami secesyjnej kamienicy przy Laxenburgerstrasse 34 zapowiadały szczęście, które czułem, że nastąpi. Na drzwiach, wiodących do pięknego apartamentu, przekreślony grubą krechą telefon komórkowy.

To lubię – pomyślałem.

Przestronny hol pełen kwiatów i krzaczastej zieleni. W kącie męski parasol, ociekający resztą kropel. Ktoś tu jest. Ktoś przyszedł przede mną. Ktoś przyjdzie po mnie.

Zapach mięty pomieszany z aromatem kawy i markowego koniaku. Stary Vivaldi czwórka czterech pór roku galopuje cicho po ścianach, po skórzanych obiciach kanap, sof i foteli. Na stole trochę kolorowych pism, w nich fotografie nagich ryb.

Zęby rekinów, brzuchy rekinów, krew wokół rekinów. Krew wprowadza rekiny w dziki szał. Za ścianą ni to mruczenie, ni to jęk. W salonie jestem sam.

Ogarnięty poczuciem jakiejś trudnej do zdefiniowania błogości, zasypiam na jednej z kanap – ufny i bezpieczny.

– *Entschuldigung* – szepcze biała Klaudia, która w delikatnym pochyleniu odsłania mimochodem fragment oliwkowej piersi. Jak dziecku odbiera szalik, który zapomniałem zdjąć, a potem prowadzi do małego pomieszczenia dla dwojga, gdzie każe usiąść na miękkim krześle. Tam tajemniczym aparatem dotyka moich ust, a potem dziąseł.

– *Danke* – i znika jak zjawą.

Przy uchylonym oknie palę amerykańskiego papierosa. Patrzę na dachy Wiednia. Na dole dostrzegam kamienną sa-

dzawkę, przy której naga postać gipsowej bogini spowija się w bluszczyk.

– *Bitte* – podaje mi chłodną dłoń, znowu jak dziecku, gdzieś prowadzi.

Idę za Klaudią do głównego buduaru, w którym czeka Sandra, proszę Pana. Kładą mnie, przepłukują w pewnym sensie, po czym otulają białą serwetką, która dla odmiany pachnie rumiankiem. Cały czas mam wrażenie, że jestem w jakimś wiedeńskim gabinecie rozkoszy.

– *Eine – zwei – drei!* – szepcze doktor Serwatka i aksamitną igłą wbija się w aksamit dziąseł. Nie boli. Dlaczego nie boli?!

– Zrobimy ci coś, co wprowadzi kiedyś w zachwyt antropologów. „Musiał to być ważny człowiek, skoro tak dziwne rzeczy nosił w gębie” – powiedzą.

Należy dodać, że całą operację przeżyłem z głową wciśniętą w pierś Klaudii, pod którą biło autentycznie austriackie serce. Czy w takiej chwili wypadało mi zajmować się polskim, Drogi Panie? Nie wypadało.

Achtung i strumień wody o smaku świeżych mandarynek.

Spod przymkniętych powiek patrzyłem na dwie piękne kobiety, ubrane w białe habity niczym siostry miłosierdzia. Nieustrudzone i precyzyjne jak saperzy, a przy tym chłodne i obojętne, jak płatni mordercy. I tak ma być, Panie Piotrze. To jest piękne.

Doktor Franz Serwatka, czyli nasz Franio, w swoim wiedeńskim gabinecie stomatologicznym w miejsce krwawej resekcji, wynerwiania, szycia i borowania, zaproponował mi seans erotyczno-spirytystyczny. Bez strachu, bólu, smarków i poniżenia.

Bądź Doktorze z nami, w każdą NIEPOGODĘ. Bo my jesteśmy z Tobą. Ja tutaj, Jurek Bińczycki – tam.

Marysiu, Maryniu, Maryś, Marysieńko!!!

Uśmiecham się do Pana, bez cienia bólu. Na trzy czwarte.

Pański Jan Nowicki

Wiedeń, grudzień 1999



*Pan Jan Nowicki
Zemia*

Drogi Panie Janie,

dziwny ten Pana liścik o wiedeńskiej wizycie u Franka S. Odniosłem wrażenie, że odwiedził Pan nie gabinet dentystyczny, ale jakiś pachnący raj. No cóż, może... może. Ja w każdym razie uwielbiałem Frania nie ze względu na mistrzostwo w operowaniu wiertłem, bardziej za trunki, którymi mnie podejmował. Na Grodzkiej, pod arkadami, pamięta Pan?

Było, minęło. Jak dawno minęło, jak dawno.

A jeśli już mowa o stomatologii, to kiedyś w piosence poświęconej mojej skromnej osobie napisał Pan: „W Niebie bezzębne anioły – wiem”. Do dziś głowię się, skąd Pańskie przypuszczenie, że Anioły nie mają zębów? Nie mają czegoś takiego jak Wy tam – zgadza się. Ale proszę nie insynuować, że: „Mielą żarnami dziąseł”.

Anioły, Panie Janie, mają usta pełne błyszczących gwiazd, którymi uśmiechając się, oświetają w ciemnościach drogi.

Wracając do Franka, to proszę Go przy najbliższej okazji serdecznie pozdrowić. Marynię ucałować.

Nie wiem, czy Pan zna powód, ten najważniejszy, decydujący o tym, że doktor Serwatka musiał kiedyś opuścić Kraków i udać się wraz z rodziną do Wiednia? On, który tak bardzo kochał nasze miasto, pewnego dnia doszedł do smutnego wniosku, że trzeba się z nim pożegnać. Teraz słyszę, że częściowo wrócił. To znaczy żyje trochę w Wiedniu, trochę w Krakowie. I to gdzie – Na Groblach! Mówiliśmy o Frankowej emigracji. Przecież tak naprawdę nie chodziło o żadną karierę zawodową, bo Jego pozycja w stomatologicznej branży

była od lat ugruntowana. Dlaczego zatem? To był wyjazd, a raczej ucieczka wrażliwego chłopaka – Drogi Panie. On – autor wierszy i piosenek wykonywanych w kabarecie „Cyrulik”, w którym debiutowała sama Ewa Demarczyk, rozkocharny w naszym mieście i przepełniony żalem z powodu twórczego niespełnienia, został pewnego ranka dotknięty widokiem oficera Wojska Polskiego, który pod pomnikiem Mickiewicza oddawał ogólnowojskowy mocz.

Pamiętam, jak o tym opowiadał: „Zobacz, Piotrze, tyle się natrudzę, żeby opisać wiosenną noc w starym Krakowie, a jakiś bydlak oblewa mnie za to strumieniem chamstwa”.

Pamiętam smutek na twarzy Franka i jego mocne postanowienie, które zmieniło go we Franza.

Za parę dni wyjeżdża Pan do swojego rodzinnego Kowala na uroczystość nadania Mu tytułu Honorowego Obywatela. Pan Honorowym Obywatелеm? Czemu nie. Tylko przy okazji proszę zapamiętać, że honorowy pisze się przez „h”, a nie „ch”.

Wczoraj nocą, po raz pierwszy od mojego pogrzebu, był Pan u mnie na cmentarzu, żeby zostawić świeczkę. Cieszę się, że przy zapalaniu sparzył Pan rękę. Świeca zaraz po Pana odejściu zgasła, ale ból pozostał – i to się liczy.

Martwię się trochę o Pana. Pan jakoś dziwnie ostatnio zmarkotniał. Smutek męczy otoczenie, Drogi Panie, i zamiast wzruszać – nudzi. Niech Pan ucieka od siebie, bo od pewnego czasu, to nie najlepsze miejsce dla Pana. Piszę coraz niemądrzej. Proszę zatem pozwolić, że skończę.

Pozdrawiam i zapewniam, że pamiętam

Pański Piotr Skrzynecki

PS Proszę napisać coś o świętach, sylwestrze, Nowym Roku. Proszę pisać raczej o marzeniach, a nie o rzeczywistości. Pozdrowienia od Justyny.

Niebo. Ławeczka, grudzień 1999



*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

pomyślałem, że w ten grudzień inaczej podzielimy się rolami. Pan mi opowie o nocy sylwestrowej na miarę Pańskich aktualnych oczekiwań, ja natomiast odwzajemnię się opowieścią o wymarzonej przeze mnie Wigilii Bożego Narodzenia końca wieku.

Niektórzy twierdzą, że schyłek DWUDZIESTEGO dopiero za rok.

Myślę inaczej. Bo chcę, bo chyba muszę, bo coś mnie ponagla. Zresztą – czy tylko mnie?

Zacznę od szczekania – jeśli Pan pozwoli. Bo w tę szczególną noc przemieniam się dla Pana w łaciatego teriera, który ujadaniem przegania grudniowe chmury, wyciem uwodzi księżyc, a gwiazdę betlejemską wita psim skielczeniem.

Potem, ja terier, proszę Pana, truchtem przemykam do wielkiej sali, tak pięknej, że chyba wawelskiej, wskakuję na skromny zydelek, spojrzeniem omiatam wigilijny stół, oblizuję się i merdającym ogonem przywołuję gości.

A na stole, Drogi Panie, dwanaście tradycyjnych potraw: owies, marchew czerwona, zielona kapusta, brukiew, siano pod obrusem i przygotowana z myślą o kocie, suto podlana walerianą, potrawa z ryby. A poza tym cielece kostki i pedigree z dziczyzny...

Wpada zając, hyc, i już robi „słupka” na krześle. Po nim zamysłony wilk z kryształkami lodu na pysku. Drobnym truchcikiem wbiega kuropatwa i... od razu chce do ziaren. Warknąłem – poskutkowało. Kury przysiadły rzędem na szczycie oparcia renesansowego fotela. Za nimi kot wyrósł jak spod ziemi. Koza zaglądnąca tęsknie pod obrus. Cielak, osioł, klacz z maleńkim źrebkiem zawiniętym w grzywę. Ryby spadające ławicą z żyrandola, prosto do wazy z mlekiem. Żółw wy-

lerowany na glanc, gołąb z jemiolą w dziobie. Słoń, który jak przystało na džentelmena, zostawił trąbę w szatni, tygrys bez zębów i maleńki wieloryb, bo w tę czarowną noc postanowili się stosownie zminiaturyzować. A za nimi inni – cały tłum!

Królewską salę najpierw wypełniły życzenia, potem ciche odgłosy spożywanych potraw, a na końcu kolęda, której nikt nie musiał śpiewać, bo postanowiła śpiewać sama. Zwierzęta słuchały i były szczęśliwe.

O dwunastej w nocy słoń, który miał pamięć jak słoń, przypomniał sobie nagle, że według legendy o tej godzinie ludzie zaczynają mówić „ludzkiem” głosem. Rozweselona gromadka biesiadników zerwała się od stołów, żeby stwierdzić jak najszybciej, czy tak jest rzeczywiście.

Przy stole pozostał tylko stary lis, który drzemiąc, wąpił.

Krowa i koń podreptały w znajome miejsca, gdzie przy żłobach stali, przywiązani mocnymi łańcuchami, byli i aktualni mężowie stanu. Stali nieruchomo i tylko od czasu do czasu wstrząsały nimi dreszcze, za pomocą których bezskutecznie próbowali wytrzepać siano z głów i słomę z butów.

– Przynosimy Wam dobrą nowinę – zarżał koń.

– Beee... – wyraziły wątpliwość pochylone nad korytem głowy.

– Bardzo w was wierzymy – zaryczała krowa.

– Meee... – z wyraźną satysfakcją rozległo się przy żłobie.

Ja tymczasem, Pański wigilijny terier, próbowałem dostać się do własnej budy, którą ktoś mi zajął. KTOS – Panie Piotrze. Bo obok zobaczyłem czarnego mercedesa, z opartym o drzwi ochroniarzem, leniwie drapiącym się pod kuloodporną kamizelką.

– Do budy! – wrzasnął. Ale zaraz zawstydział się, bo przecież mój domek zajął chwilowo jego szef, który nie mając w sereu żadnej kolędy, podlizywał się Bogu zaimprovizowaną naprędce i na poczekaniu.

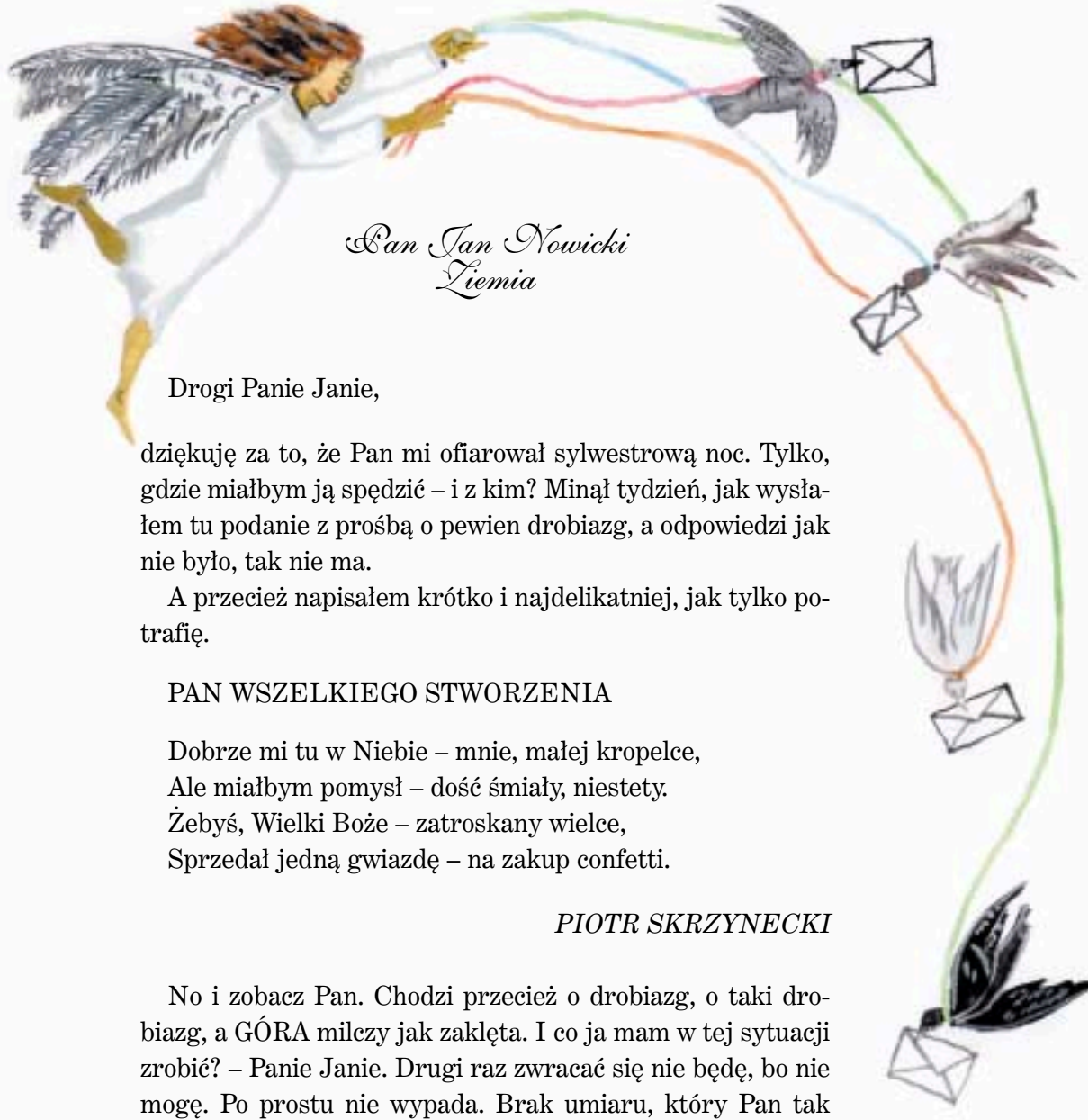
– Czemu prędzej się wybierajcie... – zaszczekałem, jak umiałem.

Ale z budy nie doszedł żaden głos.

Ani... beee, ani... meee, ani... kukuryku – proszę Pana.
Przytulam Pana, łamię się opłatkiem i czekam na wieści

Pański Jan Nowicki

Kraków, grudzień 1999



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie,

dziękuję za to, że Pan mi ofiarował sylwestrową noc. Tylko, gdzie miałbym ją spędzić – i z kim? Minął tydzień, jak wysłałem tu podanie z prośbą o pewien drobiazg, a odpowiedzi jak nie było, tak nie ma.

A przecież napisałem krótko i najdelikatniej, jak tylko potrafię.

PAN WSZELKIEGO STWORZENIA

Dobrze mi tu w Niebie – mnie, małej kropelce,
Ale miałbym pomysł – dość śmiały, niestety.
Żebyś, Wielki Boże – zatroskany wielce,
Sprzedał jedną gwiazdę – na zakup confetti.

PIOTR SKRZYNECKI

No i zobacz Pan. Chodzi przecież o drobiazg, o taki drobiazg, a GÓRA mileży jak zaklęta. I co ja mam w tej sytuacji zrobić? – Panie Janie. Drugi raz zwracać się nie będę, bo nie mogę. Po prostu nie wypada. Brak umiaru, który Pan tak często mi zarzucał, tutaj w Niebie jest bardzo niemile widziany. Jestem zrozpaczony. Rok temu w noc przełomu 1998/99 roku ogrzewało mnie jeszcze wspomnienie tamtych „piwnicznych” bali. Ale teraz, teraz jest mi po prostu zimno, coraz zimniej.

Zimno...!

Czekaj Pan, zimno oznacza przecież mróz. A mróz to lód – Drogi Panie. Panie Janie – mam! Ja w tę sylwestrową noc

końca wieku spróbuję się po prostu przemienić w lód. I co Pan na to? To niezły pomysł. Tylko co dalej, co potem? Nie wiem. Ale jak już będę lodem, to się może przekonam?

(minął jakiś czas)

Wiszę przyczepiony do okapu hacjendy, ja, Pański sopel, i czekam na rozwój wydarzeń. Sylwestrowa noc! U Was powinna być teraz dziewiąta, dziesiąta wieczór. Goście zbierają się w „Piwnicy”. Wchodzi Grześ Turnau z Marynią. Jan Kanty trzymający pod rękę Sylwię. Sebastian. Hania Banaszak w towarzystwie tajemniczego nieznajomego. Dorotka Ślęzak z Internetem przytulonym do serca. Profesor Szczeklik u boku swojej pięknej żony. Ruth z nieodłączną Marysią. Ania Szalapak. Pana nie widzę, bo Pan, jak to Pan, gdzieś się zapodział.

Sopel zaczyna powoli topnieć.

Słyszę pierwsze takty walca. Na parkiet wychodzi pierwsza para, za nią następne. Przy barze pochyłony nad drinkiem Jurk Skarżyński.

Topnieję dalej, bo mi tak... tak jakoś. Może zostało ze mnie pół, a może nawet mniej. Czas szybko płynie – już 23.55.

Ustały tańce, zastygłe w połowie pas – znieruchomiały. Świece wstrzymały oddech. Barman odstawił szklankę i z zamkniętymi oczami stanął oparty o ścianę. Ktoś ścierał parę z okularów, ktoś szeptem powtarzał niemą prośbę.

Moje topnienie dobiegło końca.

A kiedy wybiła 24.00 i rozległ się hejnał z Mariackiej Wieży, goście w kompletnej ciszy próbowali objąć 2000 rok.

W tym momencie ze mnie nie zostało już nic. Może tylko ta jedna kropla, która chociaż słona, w niczym nie przypominała człowieka.

Czegóż mam Panu życzyć w tę noc?

Nie powiem nic. Najpiękniej nie mówić nic.

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Hacjenda, styczeń 2000

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

w pewien grudniowy wieczór 1999 roku, zadedykowaliśmy Panu dwanaście kołęd, którymi Zbyszek Preisner (w towarzystwie licznych wykonawców, a także Pańskich Przyjaciół, zebranych na widowni Teatru Starego) – żegnał XX wiek.

Wchodzimy w XXI bez Pana!

Pan tam, my tutaj. „Panie Janie, urządę taki bal, jakiego nie widział Mariacki Rynek. Będziemy tańczyć! Będziemy śpiewać! Będziemy pić szampana!”. Nie wyszło, Drogi Panie.

Mam nadzieję, że doniesiono Panu o tym koncercie? I że Pan wie, jak ciągle jeszcze – powodowani rozpędem – w naszych kołędach stajnię nazywamy stajeneczką, siano – siankiem, noc – nocką, a kolebkę – kolebusią. Trudno oprzeć się refleksji, że za dziecinną pieszczotą zdrobnień kryje się potrzeba ukrycia wszystkiego, co człowiek zrobił, żeby naszą piękną Ziemię przemienić, jak nazwał to mądry Norwid, w „Planetę łez”.

„Krzyże wyrosły, krzyże i cmentarz
świeże od krwi”.

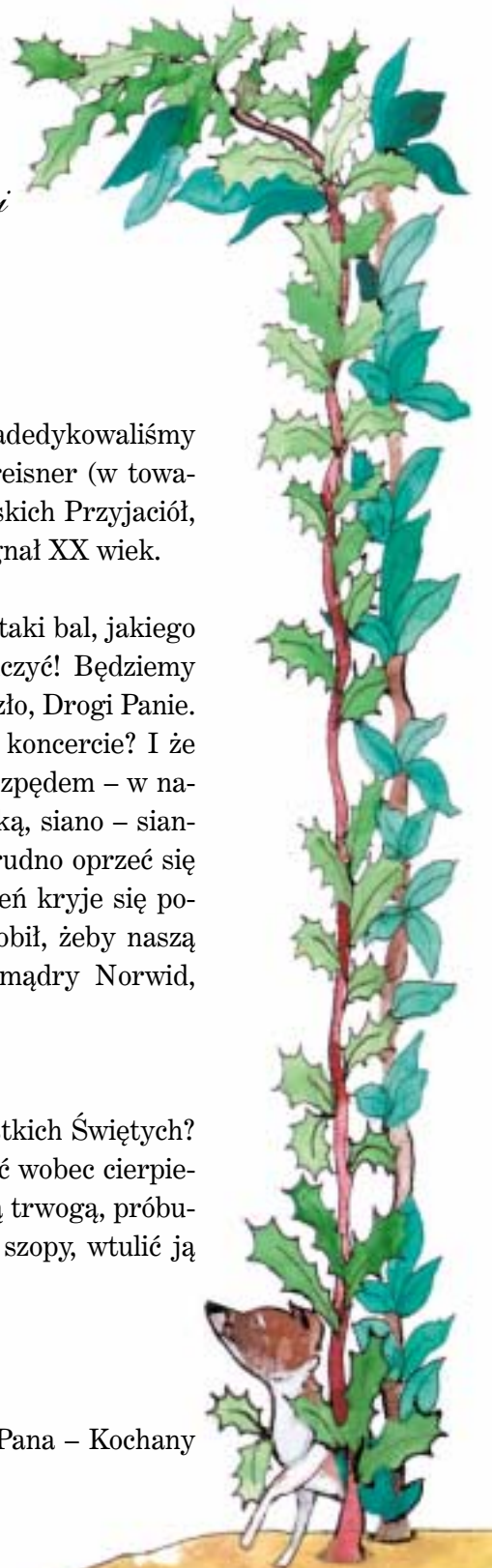
Nie podoba się Panu? Że raczej na Wszystkich Świętych? Nie zgadzam się z Panem. Nasza bezradność wobec cierpienia jest tak wielka, że powodowani dziecinną trwogą, próbujemy ukryć rozpacz w sianie betlejemskiej szopy, wtulić ją w dłoń boskiej dziewczyny.

„Nieobecnych pojawiają się cienie.

Uwierzymy kolejny raz

W jeszcze jedno Boże Narodzenie”.

CIEŃ? Ten cień jest cieniem szansy dla Pana – Kochany Panie.



Na początku, a potem na końcu koncertu, grała orkiestra. Myślę, że to spodobało się Panu najbardziej. Słowa są tak bezradne, Drogi Panie. Lepiej, gdy nasze serca wypełnia muzyka, do której nut każdy z nas potrafi dopisać swój własny tekst – marzeń i tęsknot.

Na końcu zesłaliśmy śnieg dla Pana.

Krótko mówiąc, było bardzo przyjemnie. No, może poza bankietem, na którym postanowiłem nie pić alkoholu. Tak, tak, Panie Piotrze. W ten uroczysty wieczór piłem tylko wodę. Wróciłem więc do domu w doskonałej kondycji. Co nie zmienia faktu, że woda w bucie już jest nieszczęściem, a cóż dopiero w gardle?

Jest późno, idę spać, idę... lulać. Dobranoc, Miły Panie.

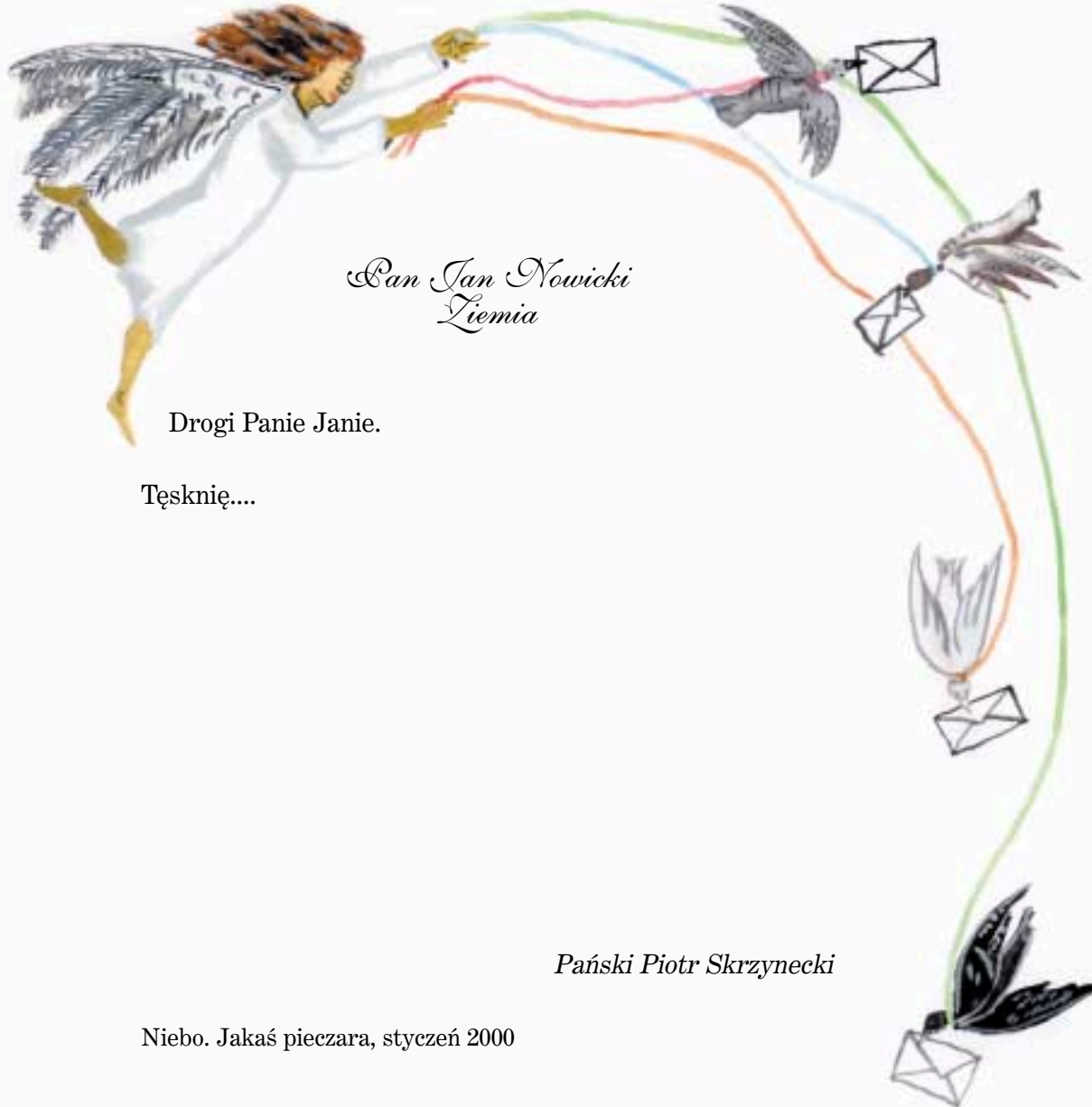
Dobranoc, Panie Piotrze,

Pański Jan Nowicki

PS Całkiem niedawno nasz przyjaciel, nieoceniony ksiądz Mieczysław Maliński, podczas mszy świętej w kościele Sióstr Wizytek po odczytaniu Ewangelii wygłosił kazanie składające się z jednego słowa: CHAMIEJEMY!

I na tym skończył. A ludzie zamarli. Wystarczyło jedno słowo, Panie Piotrze. WIELKIE...

Kraków, styczeń 2000



*Pan Jan Nowicki
Ziemia*

Drogi Panie Janie.

Tęsknię....

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Jakaś pieczara, styczeń 2000

A vertical illustration of a holly tree with a thick, reddish-brown trunk and branches. The leaves are green with prominent veins and serrated edges. At the base of the tree, a small brown and white dog is looking up towards the branches.

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany Panie Piotrze,

napisało mi się coś... wielele podejrzanego. Nie takich myśli spodziewałem się po sobie w pierwszym miesiącu ostatniego roku XX wieku. Wysyłałam list do Nieba, mając przykrą świadomość, że przypomina zwierzenia diabła. Ale czy można uciec od prawdy? Zaryzykowałem klimat, od którego przyrzekam szybko się uwolnić. Proszę zatem czule o mnie myśleć i jeśli to możliwe, wybaczyć potworom – przecież są tylko... ludźmi. Chciałem, żeby było lirycznie. Czule i śmiesznie. A wyszło – nie bardzo. Na dodatek, całość wygląda tak, jakby była jednym wielkim cytatem z czegoś niekoniecznie najlepszego. Czytaj Pan:

NUDA

Miła moja,

Kto cię chwyci?

Śliskim wężem w palcach lśniesz.

Słuchaj – ciszy. Cisza – krzyczy,

Że... żartujesz, że... wciąż kpisz.

Nie zanudzaj potajemnie.

Jesteś przecież siostrą mą.

Ja bez ciebie – ty beze mnie:

Wypełnione garście – mgłą.

Nuda – nuda – nuda – nuda.

Rani myśli – kap... kap... kap...

Oko brzytwy – ostrzem mruga.

W butonierce – więdnie kwiat.

Jestem TYLKO siostrą – wiesz?
(Bliskie wargi szepczą mi).
Oszalały węchem bies,
Gubi zęby! Rodzi kły!

I namawia potajemnie:
Daj obrączkę – jeśli chcesz.
Nie potrafisz żyć beze mnie,
Uduszony pętlą z łez.

Nuda – nuda – nuda – nuda.
Na dnie nudy, wstyd i gniew.
Siny ślad – od brzytwy smuga.
W butonierce – skrzepła krew.

Rozłączone syjamskie psy
Los bezdomny z nor swych śledzą.
I zapomną – bo ich sny
Tam przepadną – gdzie nie wiedzą.

Przejechana łyżwą szyja,
Spływa suchym brakiem krwi.
Martwy chłopiec – piąstkę zwija.
Mroźne maje – ja i ty.

Nuda – nuda – nuda – nuda.
Moja miła, nie bój się.
Będzie tylko tak jak... Bóg da.
A da pejzaż – z TOBĄ W TLE.

Pański zniesmaczony

Jan Nowicki

Kraków, styczeń 2000



Pan Jan Nowicki Ziemia

Drogi Panie Janie!

Przeprowadzki między Ziemią a Niebem mają wielowiekową tradycję, rzadko więc bywamy tu świadkami złej organizacji czy przestojów.

Czasami jednak, wtedy zwłaszcza, kiedy na Ziemi mają miejsce szybko następujące po sobie kataklizmy, epidemie czy wojny, wkrada się do nas minimalny bałagan.

Za dużo zmarłych – proszę Pana. Za dużo – wybranych.

DUŻO! – dobrze Pan przeczytał. Bo wbrew temu, co Wam tam przekazują powołani do tego celu ludzie, Niebo jest otwarte dla... wszystkich. Problem dotyczy nie ilości, ale jakości.

Bóg ofiarowuje światu jasnookie niemowlęta. Mija jednak kilkadziesiąt głupich lat, a już dziecko przemienia się w starca. Ale tak naprawdę, nie chodzi o wiek. Rzecz w tym, że ściągamy tutaj ludzi wymagających kompletnego odnowienia. Ludzkie wraki często. Kolejka do Nieba składa się w istocie z okaleczonych świętych, chorych i grzesznych, a na jej końcu zwykle można zobaczyć najsmutniejszych – bo pozbawionych wyobraźni. Tych mi najbardziej żal – Drogi Panie.

Życie bez wyobraźni – to koszmar, a śmierć bez niej – to tragedia.

Całkiem niedawno, może wtedy właśnie, kiedy wiał nad Polską huragan „Anatol”, wśród papierów aż tutaj dolatujących znalazłem – proszę Pana – mały cud. Rysunek, który wprowadził mnie w osłupienie. Autorką tego drobiazgu (co udało się bez trudu ustalić) okazała się młoda dziewczyna z poznańskiego Liceum Sztuk Plastycznych.



Nieprawdopodobne, skąd pani Agata wie (w tym wieku!), że tak właśnie prezentuje się człowiek czekający w kolejce do Nieba. Kto Jej opowiedział, jak wyglądała po śmierci piękna Marilyn Monroe? Że w takim pochyleniu właśnie łkał genialny Szopen. I że tak czekać będzie też każdy menel, zaproszony litościwym gestem Niebieskiego Ojca.

No. Teraz Pan już wie, ile pracy wkłada się tutaj, żeby z płaza powstał na powrót człowiek. A z człowieka Anioł.

Wesoło pozdrawiam

Pański Piotr Skrzynecki

Niebo. Na jakimś wzgórzu, styczeń 2000

A vertical illustration of a holly tree with a red stem and green leaves, some with serrated edges. At the base of the tree, a small brown and white dog is sitting on a patch of yellow ground.

*Pan Piotr Skrzynecki
Niebo*

Kochany panie Piotrze,

wczoraj wieczorem zadzwonił z Gdańska Adzik Zawistowski (przyjaciół Zbyszka Joachimiaka, który nie pisze teraz swoich pięknych wierszy) z wiadomością, że wydawnictwo Tower Press skłonne jest wydać nasze listy.

Być może W MAJU – powiedział.

Ucieszyłem się podwójnie – w Pana i moim imieniu. A zaraz potem pomyślałem o tym maju. No bo jeśli rzeczywiście, to może szczęśliwie trafimy na okres kwitnienia drzew, bżowego szaleństwa i pachnących bukietów, nad którymi od zawsze króluje Pańska ukochana konwalia. Pamięta Pan, że w ten miesiąc jakoś bardziej chce się żyć? Niezależnie od wieku, stanu posiadania, przynależności partyjnej czy zdrowia – wszyscy próbują wzbąć się do absurdalnego i może przez to wzruszającego lotu.

Kaleka odrzuca laskę, astmatyk – jeśli nawet kaszle – to bez ostentacji i raczej pojedynczo. Starzec chowa szczękę do szuflady i z błyskiem w oku patrzy buńczucznie w stronę koszyka pełnego włoskich orzechów. Ludzie czytają co popadnie – może i nas. A młodzi stają się tak młodzi, że aż w końcu dziecinnieją. Cały świat dziecinnieje.

Od lat przyglądam się temu zjawisku z ogromną sympatią. Przyłączam się do tych, którzy starają się upodobnić do zielonych liści i razem z nimi próbują być szczęśliwi.

Przyjemnie pisać do Pana w lutym – o maju.

Nie potrafię jednak uwolnić się do końca od osobników, którzy zapomnieli, że życie należy kochać... z pamięcią. A nie... bez pamięci. Powiem coś nieśmiało (a upoważnia mnie do tego moje śmieszne 60 lat) o nałogowcach życia. W ostatnich latach – proszę Pana – bardzośmy się pod tym względem rozbuchali. Dochodzą mnie słuchy, że w takiej Skandynawii na przykład,

co piąty Svenson dobiega setki. I jedyne, co mu tak naprawdę zaprzęta myśl, to to – czy normalny rower zamienić na górski. Liczy kalorie produktów gromadzonych w chłodniach ostatniej generacji i z uporem czeka na kolejną wiosnę.

Wróble się zmieniają, na miejsce zmarłych sikorek przylatują nowe, śpiewa młody słowik. A ten siada na ławce, z której sanitariusz postrzącał Bogu ducha winne bakterie, i wciąż mlemle życie. Nałogowiec – proszę Pana. Rozumiem go, kocham, podziwiam, ale nie mogę także oprzeć się (to w tajemnicy!) uczuciu pewnego zażenowania. Przecież on zachowuje się zupełnie jak ta pani, którą dopadł przykry nawyk permanentnego kochania.

Jeden pan z kolei, na moich oczach wpadł w nałóg picia.

Przyglądam mu się w lustrze i z rozbawieniem stwierdzam, że on jeszcze o tym nie wie. Rozgarnia szczecinę siwego zarostu i po pieszczotliwym klepięciu w policzek zamiast się zastanowić nad sobą, wlewa tylko kolejną porcję Visine do zanikających oczu. A potem jeszcze głupio się uśmiecha.

Zastanawiam się, dlaczego o tym wszystkim piszę i z rozczuleniem stwierdzam, jak to wiedziony żelazną ręką podświadomości, cały czas krążę wokół faktu, że w naszej korespondencji doszliśmy do SETKI. Stąd ten stuletni Svenson i ta dama uzależniona od ciągłych wzruszeń.

Panie Piotrze Drogi – sto listów! Dużo, ale ciągle mało. Może dlatego, że wszystkie bez wahania zamieniłbym, jak tu śpiewamy – na uśmiech, słowo, brzęknięcie, szept. Na spacer aleją przylegającą do Błoń, drinka pitego w Pańskim byłym kabarecie, na cichą rozmowę, startą papierosowym dymem.

Pisaliśmy kiedyś, że już czas na spotkanie. Ja obiecywałem, Pan obiecywał i... nic. Pomyślmy o tym. Sądzę, że najlepiej zacząć od Pana wizyty w Krakowie. Panu będzie łatwiej, bo jak by na to nie patrzeć, Pan wydaje się mi... mniej materialny, lżejszy, łatwiej przystosowany do długiej podróży. Pomyślmy o tym – proszę.

Jutro wyjeżdżam do Warszawy. Czekam na wieści

Pański Jan Nowicki

Kraków, luty 2000

